

W Łozku z...

BEZWSTYDNIIE SZCZERE
EROTYCZNE OPOWIADANIA
ZNANYCH PISAREK

Świat Książki

W ŁÓŻKU Z...

Inteligentnie, z reguły na wesoło i niemal bez żadnych zahamowań poczynają sobie znane anglosaskie pisarki, ukryte pod pseudonimami. W tomie m.in. pikantna wersja „Księżniczki na ziarnku grochu” z pistoletem i... szpicrutą, historia ozięblej pracownicy pewnego wydawnictwa, odwiedzającej pisarza, rzecz o tajemnicach alkowy angielskiej królowej i opowieść o naukowcach, którzy wypróbowują specjalny lek na dobry seks. Pyszna zabawa, choć nie dla pruderyjnych!

CAT DEVONSHIRE

Dwadzieścia siedem materaców, czyli bajka na nowo odkryta

Oczywiście, że nie byłam dziewczcą. To było pierwsze kłamstwo - to i że moim ojcem był król. Powinni byli na to wpaść. No bo niby jakim cudem? Piękno i umysł? Przecież większość prawdziwych księżniczek jest głupia jak but, a chów wsobny, ta swoista monotonia genetyczna, nadaje im tępy, koński wygląd, który, choć nie do końca szpetny, rzadko kiedy bywa tematem bajek.

Bo właśnie to im wciskam. Bajki. Jedyłą rzecz, której pragną dosłownie wszyscy, od najgłupszych, najbardziej purytańskich książąt, po najbardziej wyrafinowane i wyuzdane więdźmy. I chociaż zawsze, ale to zawsze przedłożyłabym godziwą pulę genów nad królewską krew, w tym numerze mogłam to sobie spokojnie odpuścić, bo facet nie był porąbanym szajbusem, a jego fantastycznie bogaci rodzice mieli fioła na punkcie dobrego wychowania.

Okantowałam wielu ludzi. Razem ich okantowaliśmy, Wilczek i ja. Wilczek, mój kochanek i współnik. To on wymyślił numer z fałszywym szklanym pantofelkiem, chociaż

na pomysł tego ze złotą gęsią wpadłam ja. Ale naszym najlepszym przekretem był ten ostatni, ten z księżniczką na ziarnku grochu.

Cholera. Brakuje mi go. Brakuje mi jego rąk, które, choć duże, potrafiły grać na mnie jak na akordeonie, naciskając każdy guziczek, który trzeba było nacisnąć; jego oczu, które wypalały ślady na tapecie w sypialni, no i uśmiechu, bo uśmiechał się bosko, jak wielki, zły wilk w skórze małego, zagubionego chłopca. Nie wspominając już o nader imponującej reszcie. Ale biorąc pod uwagę, że nieźle go wyrolo-wałam, że podebrawszy mu fuchę ze szczurami, uciekłam z Hamelin z całą kasą, przez co trafił do paki, bardzo wątpiłam w rychłe, a tym bardziej - miłe spotkanie.

Obiecał mi spod więziennej celi, że jeśli nasze ścieżki kiedykolwiek się przetną, złozi mi tyłek szpicrutą. Ale pomyślałam, że to tylko czcze pogrożki (dobrze wiedział, że bardzo to lubię). Tymczasem czekały na mnie pieniądze nadzianych rodziców, którzy zbili fortunę na handlu i rozpaczliwie szukali księżniczki na żonę dla syna.

Układ był taki: miałam spędzić u nich weekend, żeby starzy obejrzelni mnie i ocenili.

Gdybym się im spodobała i gdyby uznali, że nie jestem „lewą” księżniczką, od których tu się roiło, wtedy ostateczną decyzję miałby podjąć syn.

Bez fałszywej skromności powiem, że nie oczekiwałam żadnego oporu. Czułam, że wystarczy mi godzina sam na sam z synalkiem i będzie po herbacie - to rodziców musiałam przekonać - nie jego. Ale i tak byłam pewna swego.

Udawałam zagraniczną księżniczkę z dalekiej krainy -jakież to wygodne! - i jak na prawdziwą księżniczkę przystało, miałam długiego, barwnego orszak: lokajów, służącą, trębaczka, nie wspominając już o nauczycielu dykcji, garderobianej; nauczycielu tańca; do

tego wachlarze, trzewiki, suknie i biżuterię na każdą okazję. Jak się zapewne domyślacie, sporo mnie to wszystko kosztowało. Ale cóż, kto nie inwestuje, ten nie zyskuje.

Celem był oczywiście syn, jednak, który wrócił niedawno z wojny, młodzian przystojny, ponoć bystry, no i nadziany. Mój plan był prosty. Robiłam to wiele razy. Najpierw uwieść synalka, a potem zdobyć aprobatę rodziców. Cała reszta to już betka: chłoptaś podpisze korzystną dla mnie intercyzę i zaraz po ślubie, zanim ktokolwiek zdąży powiedzieć: „I żyli długo i szczęśliwie”, odjadę z hajsem w stronę zachodzącego słońca.

Już mówiłam, robiłam to wiele razy. Nie oczekiwałam trudności. Możecie więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, kiedy, przyjechawszy na miejsce, odkryłam, że dotarł tam przede mną Wilczek, że właśnie odstawia numer z synem pierworodnym - wielki powrót dawno niewidzianego spadkobiercy - i że ubrany jak spod z igły siedzi między starymi, dumnymi wapniakami, bawiąc się szpicrutą i obserwując mnie palącymi żywym ogniem oczami. Na jego widok moja dolna połowa natychmiast stopiła się jak lody.

- Bardzo mi miło panią poznać, Wasza Wysokość - powiada.

Cóż, oczywiście powinnam się była wycofać, spakować manatki i zniknąć. Ale przeważała ciekawość. Wyglądało na to, że Wilczek szykuje nowy przekręt, a ja chciałam w to wejść. Jak zawsze zarozumiała i pewna siebie byłam przekonana, że uda mi się go przekabacić, bo kiedyś miał do mnie słabość, a widząc jego wyglodniałą minę, odważnie założyłam, że ma ją nadal.

Dlatego postanowiłam ciągnąć to dalej. Bo kto by zrezygnował, zwłaszcza na moim miejscu? Na przygotowania wydałam ostatniego centa i musiałam coś z tego mieć. Tak więc, kiedy Wilczek mnie nie wyrzucił, pomyślałam: super, zobaczymy, co tu jest grane, i wykorzystałam cały swój czar, by urzec, ująć i urobić zarówno jego, jak i moich przyszłych teściów.

Nie było to trudne. Jak już wspominałam, dobra pani Natura była dla mnie więcej niż hojna. Dzięki wąskiej kibici, jędrnemu biustowi i obfitej, acz ponętnej pupie można daleko zajść, a jeśli dodać do tego oszałamiający uśmiech i energiczny sposób bycia (skutecznie wspomagany przez skrawek jedwabnej pończoszki widoczny przez sekundę pod pięknie haftowaną haleczką), rezultat jest zwykle gwarantowany.

O tak, dobry był mój mały Wilczek udający troskliwego syna, potomka czułego i pełnego szacunku. Graliśmy na nich jak na skrzypcach i, kurczę, miło było z nim znowu pracować. Rozumieliśmy się bez słów. Jak zawsze.

Co więcej, byłam mu potrzebna. Udało mu się podać za syna, ale rodzice nie byli tak do końca głupi: założyli swemu dziedzicowi fundusz powierniczy i przed ślubem Wilczek nie mógł wyjąć z niego ani centa. I tu na scenę wydarzeń miałam wkroczyć ja. Ja mu byłam potrzebna jemu, a on mnie.

Mówię wam, to było piękne.

Całej reszty dowiedziałam się późnym wieczorem, kiedy zaprowadzono mnie do sypialni. Sypialni wielkości sali balowej, takiej z marmurową posadzką, srebrzystymi draperiami i wanną wielkości okrętu na szponiastych łapach - zalatywało to trochę nuworyszostwem, ale było niezwykle imponujące, bo czyż mogą nie imponować lustra na suficie, aniołki na posadzce, kapiące kryształami żyrandole czy wielka galeria portretów rodzinnych, kolekcja przodków spoglądających z dezaprobatą na największe łóżce z baldachimem, jakie można sobie wyobrazić?

O rany! To łóżce... Nigdy przedtem takiego nie widziałam. I ten zapach hiacyntów i paczuli, te zasłony z muślinu i jedwabistego brokatu, cieniutkie, bielutkie jak śnieg prześcieradła i poszwy, złocenia i girlandy, ciemne, błyszczące drewno...

1 materace... Dwadzieścia siedem materaców - wysoka na pół ściany sterta gęsiego puchu, mniszka lekarskiego i jedwabiu.

- Mam nadzieję, że będzie pani wygodnie, Wasza Wysokość - powiedział Wilczek, ostrzegając mnie spojrzeniem, żebym tego nie komentowała.

Jakbym zamierzała. Wiedziałam przecież, o jaką gramy stawkę. Wiedziałam też, że później mnie odwiedzi - to

fantastyczne łoże straszliwie kusiło i pomyślałam, że miło by było, gdybyśmy w nim zlegli, aby godnie uczcić nasze spotkanie.

- Jestem pewna, że będę spała jak aniołek - odparłam, patrząc mu prosto w oczy.

Zamówiłam szampana, odprawiłam służącą (tak, żeby to słyszał), ucałowałam kochanych teściów, posłałam mu najśłodszy uśmiech i powiedziałam wszystkim dobranoc.

Kiedy wyszli, rozebrałam się i wykapałam. Potem wspiełam się na łoże (po drabince, którą zapobiegliwie mi zostawiono) i wślizgnęłam nago pod kapę i pachnące prześcieradło.

Czekałam na swego współnika.

Zjawił się pół godziny później, wciąż w stroju do jazdy konnej.

Powitałam go z wysokiego, puchowego gniazdka, wstydliwie okryta prześcieradłem po samą szyję.

- Dwadzieścia siedem materaców? Po co?

- Żeby sprawdzić, czy jesteś prawdziwą księżniczką. - Wilczek uśmiechnął się i drgnęło mi serce (zawsze mnie tym uśmiechem zniewalał). - Podobno wszystkie prawdziwe księżniczki mają tak wrażliwą skórę, że dostają siniaków nawet od jednego ziarnka grochu pod stertą materaców.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Przecież to starość, bajeczka babuni! Wilczek wzruszył ramionami.

- Moi rodzice są tradycjonalistami.

Tym łatwiej mi pójdzie, pomyślałam. Parę uwag przy śniadaniu - bolesne westchnienie, skarga na nierówne łóżko - i żyli długo i szczęśliwie, on i ja. Poza tym tak przyjemnie było znowu z nim być, że na chwilę zapomniałam nawet o obietnicy, jaką mi kiedyś złożył.

- Oczywiście mogę ci trochę pomóc.

Tymi słowami wszedł na drabinę w kurtce, butach, ostrogach i całej reszcie. Zadrżałam pod prześcieradłem i znowu drgnęło mi serce, a kiedy coś drgnęło i między moimi nogami, kiedy coś mnie tam połechtalo, zdałam sobie sprawę, że jesteśmy sami, że służące poszły na noc do domu i że jeśli Wilczek zechce wyrównać stare rachunki, nikt nie usłyszy świstu opadającej na pupę szpicruty ani pisków błagającej o litość damy.

- Czy to jest... szpicruta? - spytałam.

- Och, skarbie, jak ja się za tobą stęskniłem - szepnął, odrzucając kapę. Doszłam do wniosku, że popełniłam błąd -patrzył na mnie zbyt krwiożerczo, poza tym wilki mają dobrą, a nawet świetną pamięć - ale było już za późno, żeby się wycofać. Objęłam go za szyję i delikatnie pocałowałam w usta. Smakował poziomkami. Wiem, że to dziwne, bo wilki tak nie smakują, ale ten smakował i natychmiast poczułam miłe mrowienie, takie od stóp po szyję.

Mrowienie, a zaraz potem dotyk jego rąk i na chwilę uległam: ocierałam się o niego jak kotka, czując szorstkość ubrania na brzuchu i piersiach, drżąc jak z zimna, choć było mi gorąco, bo chwyciwszy zębami mój sutek - nie brutalnie, ale i nie delikatnie - zaczął go ciągnąć, przekręcać i lekko nadgryzać, bo jedną rękę wsunął mi między

uda, a drugą odnalazł to rozkoszne miejsce tuż nad pupą, to z dwoma dołeczkami na górze. Zapomniałam już, jak dobrze do siebie pasowaliśmy, on i ja. Bo pasowaliśmy do siebie jak dwie połówki pękniętego serca: moje piersi - miseczka D - do jego dłoni, jego ciało do mojego ciała. Wreszcie sięgnęłam ukradkiem w dół, do jego krocza, i wymacałam guziki rozporka.

- Nie tak szybko, kochanie - warknął i szybki jak wilk przełożył mnie przez kolano, zapraszając unosząc moje pośladki. - Najpierw coś załatwimy.

Musicie wiedzieć, że Wilczek uwielbia moją pupę. Jest pulchna i wrażliwa. W łóżku zawsze o nią dbał. Ale tym razem zaczęłam się poważnie niepokoić, że dbałość ta przybierze nieco inną, mniej miłą formę, dlatego szarpnęłam się i nieśmiało zasugerowałam, że wygodniej by mu było bez szpicruty.

- Wiesz - odparł - chyba jednak nie.

Już kiedyś tak się bawiliśmy, i to wiele razy. Ale nigdy nie byłam pewna, czy on tę grę tak do końca rozumie, bo chociaż wiedział, że łatwo mnie podniecić paroma klapsami, to karać chyba nie umiał.

Tak przynajmniej myślałam przez mniej więcej pół sekundy, do chwili, gdy na moją wypiętą i odsłoniętą pupę ze świstem opadła szpicruta.

Nie, pomyślałam. A jednak umie. I to jak!

- Auuu! - krzyknęłam i złapałam się za pośladek. Szpicruta opadła na rękę. Zakląłam i szarpnęłam się, próbując uciec.

- Spokojnie, takie zachowanie nie przystoi damie - powiedział i chociaż nie widziałam jego twarzy, gotowa byłam przysiąc, że się uśmiecha. - Zwłaszcza tak młodziutkiej i delikatnej. No i poszedł na całość. Piszczalam, krzyczałam i klęłam, ale na próżno, bo osobiście odprawiłam wszystkie służące. Razy szpicrutą zupełnie nie przypominały klapsów, bo chociaż były silne, otwarta dłoń równomiernie rozkładała ból na cały pośladek; szpicruta natomiast, narzędzie niezwykle giętkie i elastyczne, całą energię skupia na wąziutkiej, palącej prędze. A Wilczek władał nią skutecznie i z wprawą, pilnie uważając, żeby pokryć ciosami jak największą powierzchnię. Wyłam z bólu i żałościem zawodziłam; czułam się tak, jakby znaczył mi pupę rozgrzanym do czerwoności żelazem, zwłaszcza że ta cienka, zwinna paskuda docierała do najwrażliwszych i najintymniejszych części mojej anatomii. Wyłam, zawodziłam, błagałam i groziłam na próżno.

I nareszcie zrozumiałam, na czym ma polegać numer z groszkiem. Wilczek musiał to wszystko starannie zaplanować: wyborny przekręt, a przy okazji mała, wredna zemsta. Doskonale wiedział, że po tej nocy moja pupa będzie przedstawiała widok tak masakryczny, że nawet najwięksi sceptycy uwierzą w królewską wrażliwość delikatnej skóry.

Kiedy w końcu puścił mnie z uśmiechem, szybko odsunęłam się na drugi koniec łoża i usiadłam - z najwyższą ostrożnością - na olbrzymiej poduszce.

- Zawsze dotrzymuję obietnic - powiedział, spoglądając z lubością na moją zaczerwienioną twarz i rozczochrane włosy. - Poza tym zasłużyłaś, prawda?

Moje ręce powędrowały ukradkiem do strefy dotkniętej pożogą. To zadziwiające, jak szybko mija pierwszy ból; pupa była oczywiście obolała, lecz pieczenie ustępowało miejsca odczuciu zupełnie innemu: lekkiemu, natarczywemu szczypaniu, a może podszczypywaniu, dość w sumie miłemu.

Próbowałam o tym nie myśleć. Na pierwszym miejscu mojej listy była zemsta, nie seks. Dyskretnie włożyłam rękę pod poduszkę w poszukiwaniu czegoś, co tam ukryłam i czego przedtem nie mogłam dosięgnąć. Zacisnęłam palce na kulistej rękojeści i od razu poczułam się pewniej. Ponieważ życie pełne przygód bywa niebezpieczne, zawsze mam przy sobie nabity pistolet i gdybym tylko nie była głupia i odpędziła szczęśliwe wspomnienia, mój dwulicowy chytrusek oberwałby w jaja już na szczycie prowadzącej do łoża drabiny. Lepiej późno niż wcale, pomyślałam, wyjmując z kabury swego fallicznego druha. Trzy minuty później sytuacja się odwróciła: pozbawiony portek i koszuli Wilczek leżał na brzuchu z nogami szeroko rozrzuconymi i przywiązanymi do podpór zielonymi jedwabnymi tasiemkami z mojego porzuconego gorsetu.

Przez chwilę rozkoszowałam się tym widokiem, stojąc nad nim ze szpicrutą i zastanawiając się, gdzie zacząć.

Sprawa była prosta i oczywista. Wystarczyło kilka dobrze wymierzonych razów w rozdzielający pupę rowek, a zaczął wyc, błagając, żebym go wypuściła, lecz jedwabne tasiemki są zdumiewająco mocne, dlatego, mimo wysiłków i licznych prób, nie zdołał się

uwolnić, jeszcze bardziej zaciskając okrutne więzy, które natarły mu do krwi skórę na nadgarstkach i kostkach u nóg.

Ale mnie się nie spieszyło - należało mi się to w pełni, a co? Uklękłam, musnęłam mu kark ustami, obeszłam go na czworakach, oglądając każdy zakamarek jego bezbronnego ciała, od czasu do czasu przystając, aby obsypać piśszczotami ręce, stopy, ramiona, klejnoty rodowe i miejsca pod jego kolanami albo zdzielić go nagle szpicrutą, żeby wzdrygnął się i zaskowyczał jak psiak.

Udawał, że sływa to po nim jak woda po kacze. Ale widać było, że jest podniecony. Nalałam sobie kieliszek szampana, wzięłam z kubelka kostkę lodu i przeciągnęłam nią po jego kręgosłupie, od karku aż po różyczkę na pupie. Zadrżał i jęknął.

- Błagam!

- Przysięgnij, że nie będziesz rozrabiał - odparłam. Szczerze powiedziawszy, byłam równie gotowa jak on.

- Dobrze. - Kiwnął głową. - Przysięgam.

No to uwolniłam go z jedwabnych więzów i podniosłam jego ręce do ust, całując i liżąc otarcia na nadgarstkach, czując cierpki smak potu i krwi. Nie omieszkałam przy tym zauważyć, że wciąż ma nader imponujące berło - dobrze je pamiętałam - i nagle znalazłam się na nim, nagle dosiadłam go, przygniotłam do pościeli i ścisnąwszy w pasie kolanami, zarzuciłam mu ręce na szyję.

- Przynajmniej twoje berło nie kłamie - rzuciłam, wsuwając je wprawnie między nogi. Wszedł we mnie z cichym pomrukiem rozkoszy, z jękiem przyciągnął mnie bliżej i niecierpliwie sięgnął do piersi.

Chciał przyspieszyć, ale ja byłam górą i przez cały czas kontrolowałam jego ruchy, odchylając się do tyłu i lekko unosząc biodra, ilekroć próbował mnie dźgnąć, tak że kwilił tylko i chlupał jak sfrustrowany paż.

- Przysięgam na moje życie - wycharczał przez zaciśnięte zęby. - Kiedy znowu cię dorwę, pożałujesz, że się urodziłaś.

Roześmiałam się.

- Przyznaj, Wilczku. Jesteś w siódmym niebie. Zamknął oczy i cicho jęknął, wyginając się w łuk. Jeszcze mocniej zacisnęłam kolana.

- Błagam - wystękał.

- Słucham? - spytałam. - Co powiedziałeś?

Ale jaka kobieta oprze się mężczyźnie, który umie prosić?

Doszliśmy prawie jednocześnie, chyba pierwszy raz, i kiedy coś eksplodowało między nami jak rakietą, na chwilę staliśmy się szczytem przejmującego doznania, pojedynczym punktem paraliżującego odrętwienia w obliczu orgazmu, który wstrząsnął nami jak huragan, rzucił nas na łóżko mokrych, drżących i bez tchu.

Potem, wciąż z pistoletem w ręku, kazałam mu zejść po drabinie na dół, a kiedy zszedł, rzuciłam mu ubranie i szpicrutę.

Nie żebym mu nie ufała - ostatecznie mi przysiągł, i to na swoje życie - ale nie chciałam, żeby zaskoczył mnie podczas drzemki.

- Bez urazy, kochanie - powiedziałam - ale poczuje się bezpieczniej, śpiąc sama. Posłał mi urażone spojrzenie prawdziwego władcy (znam się na tym, bo kilku zaliczyłam), wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Że niby kto? On?
- Tylko bez takich, skarbenku - warknęłam. - A teraz prześpij się trochę. Jutro czeka nas ciężki dzień. Aha, Wilczku? Następnym razem bądź łaskaw...
- Co?
- Zdjąć te pieprzone buty.

SAMANTHA SUTTON-PLACE

Aniol Gabriel

Wszystko zaczęło się od burzy, zamknięcia kilku lotnisk na Wschodnim Wybrzeżu i tego, że w następstwie nawałnicy samolot skierowano na lotniska Dullesa w Waszyngtonie. Na ziemi było jak zwykle: godziny czekania, kolejki pozostawionych samym sobie pasażerów i udęczeni przedstawiciele przewoźnika. Dzięki napadowi złości jej szef zdobył ostatni wolny bilet do Nowego Jorku, podczas gdy ona musiała spędzić bezsenłą noc w jakimś pokoju lotniskowego motelu.

W świecie idealnym poleciałaby do domu już nazajutrz rano, w najgorszym razie po południu, bo zaliczyłaby przedtem wizytę w Smithsonian Museum, żeby załagodzić ból przymusowego postoju. W świecie idealnym nie musiałaby wynajmować samochodu, pokonywać kilkuset kilometrów i - wciąż otumaniona skutkami długiej podróży samolotem - jechać wąskimi serpentynami na zboczach posępnych, przytłaczających gór, rozpaczliwie wypatrując drogi do samotnej chatki w głębi lasu. Co to, do cholery,

było? *Uwolnienie?** A już na pewno nie poszłaby w wymiętym kostiumie na spotkanie z najważniejszym autorem agencji, zwłaszcza w kostiumie z wyraźną plamą po zmieszanej z tłuszczem musztardzie, która spłynęła z kiełbaski prosto na klapę. Boże, czy naprawdę jeszcze wczoraj była na targach książki we Frankfurcie? Nie, lunch z szefem jądra dzień przedtem i to właśnie wtedy, w chwili kiedy zaczęła wycierać klapę serwetką, szef zarzucił jej, że jest przemęczona i zblazowana, po czym wygłosił podnoszącą na duchu przemowę, która - co zauważyłby nawet największy idiota - była wstępem do wyrzucenia z pracy. Nie była przemęczona ani zblazowana, tyle wiedziała na pewno. Nie, dręczyło ją coś innego, coś tak podstępного i zdradzieckiego, że dopadło ją i w tej pracy, tak jak we wszystkich poprzednich.

Ale kiedy się to zaczęło, ta... ta jej przypadłość? Po raz setny próbowała to sobie uzmysłwić. Dzieciństwo miała zupełnie normalne, bez krzywd i urazów. Nie było żadnego wujka, obleśnego zboczeńca, który czytał jej na dobranoc z ręką w mrocznych zakamarkach pod kocem. Rodzice rozmawiali o seksie otwarcie i z wyczuciem. Rozbierali się przy niej, a w upały sypiali nago. Chociaż była jedynaczką, jeździła na rowerze, objając sobie kolana, tak jak wszystkie inne dzieci. W szkole podkochiwała się w kilku głupich sportsmenach, ale kiedy przyszło co do czego, żaden z nich nie porzucił jej zapłakanej tuż przed balem maturalnym.

*** Powieść Jamesa Dickeya i film pod tym samym tytułem (wszystkie przyp. od tłum.).**

Seks odkryła w wieku sześciu lat. Kładła się na brzuchu, zginała nogi w kolanach i w cieniotkich bawelnianych majteczkach ocierała się o dywan. W wieku lat dziewięciu majteczki poszły w ką, bo okryła, że kiedy szorstkie włókna dywanu pocierają bladuróżową szparkę brzoskwinki, przez całe ciało przechodzą miłe dreszcze i zasycha jej w ustach. Pewnego dnia mama poinformowała ją łagodnie, że „w żabkę”, jak to nazywała, najlepiej jest bawić się w samotności - ale była to pierwsza i jedyna wskazówka, że przyjemność, tajemnica i wyrzuty sumienia przynależą do tej samej współzależnej, choć neurotycznej grupy.

Mając piętnaście lat, zaczęła się zastanawiać, jakby to było, gdyby zamiast palca włożyła „tam” coś innego. Pewnego wieczoru położyła się przed wąskim, wysokim lustrem szafy w łazience, by z zafascynowaniem obserwować, jak wsuwa się w nią i wysuwa biała, matowa świeczka z jadalni. W wieku lat siedemnastu przeczytała *Malowanego ptaka* Kosińskiego. I bardzo podniecona perwersjami seksualnymi Kałmuków oraz opisami kopulacji głupiej Ludmiły z końmi i kozłami, zdała sobie sprawę, że najwyższa pora wyjść z zaskłony miłości własnej i spróbować prawdziwego seksu.

Był od niej dwa lata starszy. Podobał jej się zapach jego szyi i dotyk ust, ale kiedy tylko wyjął ze spodni sztywny penis i zaczął gmerać nim między jej udami, kiedy zaczął ugniatać jej pierś i gryźć sutek, zamiast odczuwać przyjemność, wpadła w trwogę. Bo skąd mogła wiedzieć, że będzie musiała dotykać jego lekko pofałdowanej moszny

czy połykać ciekącą z kącika ust ślinę? Ale najbardziej zaskoczyła ją to niesamowite tempo - kto mógł przypuszczać, że chłopcy są jak rowery z dwudziestoma siedmioma przerzutkami i bez hamulców? Absolutna kontrola nad reakcjami ciała, która zawsze dawała jej tak wielką satysfakcję, spłynęła jak woda w klozecie, a wraz z nią spłynęło i pożądanie.

To, że zarówno ta, jak i kolejne nastoletnie przygody łóżkowe kończyły się sromotną klęską, przypisywała początkowo drobnemu błędowi w programie swego seksualnego DNA, usterce, którą można naprawić cierpliwością i doświadczeniem, lecz już wkrótce zaczęła odmierzać lata liczbą nieudanych stosunków, a tych było bez liku.

Sfrustrowanie rozładowywała nocami. Masturbacja wciąż była jej jedyną pocieszycielką, stałym partnerem. Uwielbiała, kiedy oddech stawał się coraz krótszy, by w końcu w ogóle ustać; uwielbiała obezwładniający dreszcz, który ją wtedy przechodził, niemal narkotyczny sen, w jaki potem zapadała. Na stoliku nocnym trzymała buteleczkę lekko pachnącej oliwki. Eksperymentowała z zabawkami różnych kształtów i faktury. Dla kaprysu ścięła kiedyś czubek papryczki chili i potarła nim między udami. Gdy mrowienie przeszło w pieczenie, gdy zalała ją fala podniecenia, wepchnęła do środka całą papryczkę, przeciągnęła nią po delikatnym mostku krocza i wsunęła do odbytu, tworząc ognisty szlak, którym wędrowała przez całą noc.

Pracowała w branży wydawniczej. W staromodnej nowojorskiej oficynie specjalizującej się w amerykańskiej awangardzie literackiej. Jako szefowa działu reklamy bardzo uważała, żeby nie umawiać się z nikim z redakcji, chociaż wytrwale eksperymentowała na pograniczu. Redaktor z jakiejś gazety, rudowłosy szef drukarni, debiutujący pisarz,

któremu towarzyszyła w krajowym tournée promocyjnym. Za każdym razem modliła się, żeby było inaczej. I za każdym razem powalała ją świadomość, że seks zabija w niej całe pożądanie.

Dlatego teraz, gdy skończyła trzydzieści lat, coraz częściej dochodziła do przekonania, że jest oziębła. Oziębła. Jakże nie znosiła tego słowa. Jakże nie znosiła wypływającej z niego gorzkiej implikacji, że jej umysł konsekwentnie zdradzał ciało. Przypadłość ta - nie umiała znaleźć na to innego określenia - burzyła jej życie jak oszalały buldożer. Poprawiła górne lustro i zerknęła na swoje odbicie. Zawsze miała rozmyte źrenice, jakby ktoś upstrzył je tysiącami kropeczek zwątpienia i braku pewności siebie. Czyżby właśnie to zauważył jej szef? Ogarnęło ją oburzenie. Gdyby Isaac był prawdziwym dżentelmenem, siedziałaby z nim w samolocie i to jego by zawiadomiono przez telefon, że ukrywający się gdzieś w górach Jim Gabriel skończył powieść i trzeba ją od niego odebrać.

Nie spytała nawet, dlaczego autor nie może wysłać jej do redakcji przez Internet. Wszyscy wiedzieli, że nie używa poczty elektronicznej, że nie znosi komputerów i nie udziela wywiadów. Jego pierwszą i jedyną książkę okrzyknięto najlepszą amerykańską powieścią dwudziestego pierwszego wieku i dostał za nią Pulitzera. Drugą miał

skończyć przed ponad trzema laty i mimo licznych prób nikomu nie udało się mu jej wydrzeć.

- Czy on chociaż wie, że przyjeżdżam? - spytała.

- Wynajmij terenówkę - poradził Isaac.

Miejsce spotkania znalazła bez trudu, małą przydrożną restaurację z szyldem z lat pięćdziesiątych. Zza kratki zewnętrznego wentylatora bił kuszący zapach świeżego ciasta, ale w środku zobaczyła brudne plastikowe obrusy. Z kuchni wyjechała kobieta na wózku.

- Co podać?

Usiana białymi grudami twarz, odpadające strupy wokół ust - było widać, że pije denaturat. Nie, nikt na nią nie czekał. Nikt nie zostawił wiadomości.

Była głodna, więc zamówiła kawałek ciasta i usiadła. Kobieta otworzyła kasę i zaczęła liczyć pieniądze. Jej wystające spod taniej bawełnianej sukienki nogi wyglądały jak dwie niedogotowane szynki, jednak sądząc po zdjęciach przypiętych do korkowej tablicy nad telefonem, miała synów w mundurach i dziecięte córki. Na skali normalności -i na krzywej ewolucyjnej - ten pozorny życiowy wrak zaszedł całkiem wysoko, gdy tymczasem ona zatrzymała się w miejscu: była kobietą, która zawiodła, która nie potrafiła przyczynić się do dalszego rozwoju rasy ludzkiej.

Kaleka opisała jej drogę, najbardziej charakterystyczne punkty orientacyjne. Czerniały od pioruna świerk, ozdobiony sztucznymi kwiatami przydrożny krzyż, ciąg bobrowych tam. A na końcu chata. Miała tam być i rzeczywiście była. Co za banał, pomyślała z goryczą Elizabeth.

Chatka w lesie. To, że ten cały Gabriel małpował literacką samotność Harper Lee i Thomasa Pinchona, nie schlebiali jego wyobraźni. Kiedy *Ze światła i cienia* trafiła na pierwsze miejsce listy bestsellerów „New York Timesa”, zgodnie z przewidywaniami stała się przedmiotem gorączkowych spekulacji i domysłów. W zależności od tego, kto się wypowiadał, autor był schizofrenikiem, człowiekiem cierpiącym na psychozę maniakalno-depresyjną lub kompletnym dupkiem. Albo trzykrotnie żonatym, cierpiącym na łuszczycę i głuchym na jedno ucho pustelnikiem, który chętnie żywi się padliną przejechanych przez samochód zwierząt.

Kimkolwiek był, nie odpowiedział na pukanie do drzwi. Elizabeth usłyszała w pobliżu jakiś hałas i czując się jak akwizytorka sprzedająca szczotki do włosów albo wolontariuszka zbierająca datki na żony i dzieci poległych na służbie policjantów, przez osty i kępy dzikich stokrotek pod ścianą chaty ruszyła na podwórze.

Poznała go od razu. Sprzedał cztery miliony książek, więc jego zdjęcie - całkiem sporych rozmiarów - wisiało w dziale reklamy American Fortress Ltd. Zdjęcie, a dokładniej mówiąc powiększony portret. Bo w przeciwieństwie do Pinchona ludzie znali go jedynie z podobizny wielkości znaczka pocztowego. Niski i przysadzisty miał czuprynę siwych włosów, opadające ramiona zawodowego futboli-sty i dziwnie asymetryczną twarz: bardzo szerokie czoło, lekko skośne oczy i zakrzywiony w lewo nos. Oglądane z osobna były to cechy dość ciekawe, ale razem nadawały mu wygląd złodzieja z topornego portretu pamięciowego

sporządzonego na podstawie opisu kobiety, której ktoś wyrwał torebkę na ulicy.

Siedział rozwalony w fotelu i strzelał z procy do puszek po piwie. W trawie przy fotelu stała opróżniona do połowy butelka bourbona. U jego stóp leżał pies, koszmarnie bydlę z olbrzymim wolem i obwisłym brzuchem, jedno z tych, które muszą wyjść na dwór, żeby poczuć *odór* nadchodzącej śmierci.

- Dzień dobry - powiedziała, przystając. Natychmiast spostrzegła, że jest pijany. Zanim zdążył

otworzyć usta, domyśliła się, że będzie trudny i zrzędlivy i że ona najprawdopodobniej wyjedzie stąd z pustymi rękami. Wiedziała również, że po ewentualnej porażce Isaac jeszcze bardziej zwątpi w jej zdolności. Gabriel wystrzelił i powalił puszkę.

- Dzień dobry - powtórzyła z zakłopotaniem, ale przypomniała sobie, że jest głuchy na jedno ucho i podeszła bliżej.

- Czego pani chce? - rzucił przez ramię. Przedstawiła się. Mruknął coś pod nosem.

- Miał pan czekać na mnie w restauracji.

- A pani miała zadzwonić. - I dzwoniłam.

- Aha. - Odłożył procę. - W takim razie *mea culpa*. Niech pani siada i napije się.

- Dziękuję, ale nie przepadam za whisky.

- Szkoda. - Pociągnął łyk prosto z butelki i z pijacką czułością spojrzął na naklejkę.

Elizabeth podniosła procę.

- Myśli pani, że tak łatwo trafić? - Gabriel zmrużył oczy.

- Pewnie nie. - Wzięła kamień, załadowała procę. I zrobiła dziurę w niebie. Sięgnęła po kolejny.

- Wciąża, co? - spytał z udawanym akcentem mieszkańca dzikich gór.
- Nie wiem, czy mogłabym robić to przez cały dzień.
- Czyżbym słyszał w pani głosie nutkę redaktorskiej nagany? - Dopił resztkę bourbona i wytarł rękawem usta.

Obydwoje zdawali sobie sprawę, że jest to odpowiednia pora na subtelność i aluzję, na odrobinę seksualnego czarunku, ale ponieważ ona wiedziała o czymś, o czym on nie miał pojęcia - że jej seksualność jest narzędziem stepionym, a może w ogóle bezużytecznym - zamiast na urok osobisty, postawiła na pochlebstwo. Nikt nie rozszerzył granic amerykańskiego etosu literackiego tak jak on. Całe wydawnictwo jest podekscytowane jego nową powieścią. Nawet ona słyszała, że brzmi to pusto i nieszczerze. Chryste, czy wszyscy mają takie ciężkie życie? Przez trawę przemknęła wiewiórka. Gdzieś w pobliżu szumiała rzeka -jak miło byłoby popływać. Zrzucić ubranie i zanurzyć się w chłodnej, ciemnej wodzie. Gabriel sięgnął po sześciopak bud lighta i otworzył puszkę.

- Jeszcze nie skończyłem - powiedział.

Milczeli tak długo, że Elizabeth zapomniała już, o czym ostatnio mówił.

- Czego?
- Książki. Jeszcze jej nie skończyłem.

- Przecież... - zaczęła bez przekonania, ale jej przerwał.

- Jestem pijany. - Odprawił ją gestem ręki. - Niech pani przyjdzie jutro.

Spała w samochodzie na parkingu przed restauracją. Najbliższy motel był za daleko i chociaż instynkt macierzyński kobiety na wózku kazał zaproponować jej nocleg, Elizabeth wyobraziła sobie przystosowaną do potrzeb kaleki łazienkę, i myśl, że miałyby z niej skorzystać, była jak mała śmierć.

Noc minęła tak jak nieprzespana noc w drodze z Frankfurtu. Drzemała, budząc się co chwilę, żeby podkręcić ogrzewanie, wyplątać się z pasów czy zmienić ułożenie rąk i nóg na podłokietnikach.

O dziewiątej była już w chacie. Gabriel jadł akurat śniadanie.

- Pamięta mnie pan?

Na znak, że pamięta, poczęstował ją kawą i kawałkiem czerstwego ciasta orzechowego z pudełka. Nie spytał, gdzie nocowała, a ona o tym nie wspomniała. Na stole stała świeżo otwarta butelka bourbona, lecz jak na razie ubyło z niej tylko na grubość kciuka. Trzeźwy Jim Gabriel był bardziej rozmowny, choć równie zaskakujący jak jego pijane alter ego. Wszczął rozmowę o kalwinizmie, która przeszła niepostrzeżenie w wychwytywanie i rozpatrywanie różnic między amiszami i menonitami, chociaż Elizabeth nie znała zbyt dobrze ani jednych, ani drugich. Po chwili odsunął się z krzesłem od stołu i wyciągnął do niej rękę.

- Dziękuję, że pani wpadła, ale muszę już iść.

- Słucham? - Elizabeth nie drgnęła.

- Przepraszam, czy mieliśmy omówić coś jeszcze? Głośno wypuściła powietrze.

- Kazał mi pan przyjechać.

Wyraz jego twarzy uległ sugestywnej przemianie i Gabriel był teraz wyraźnie zaskoczony.

- Mówił pan, że mnie pan pamięta. Wzruszył ramionami.

- Z jakiejś... miejscowej imprezy, tak?

- Chwileczkę. Ma mnie pan za opętaną fankę, która przyszła tu, żeby zjeść z panem śniadanie?

- To dla mnie codzienność.

Elizabeth wytrzeszczyła oczy i pokręciła głową.

- Szanowny panie, ani trochę nie przesadziłam, gdy odpowiadałam, że od trzech dni prawie nie spałam. Jestem zmęczona. Muszę wziąć prysznic i przebrać się, proszę więc dać mi ten maszynopis i natychmiast odjadę.

Nie przesadziła, ale i nie powiedziała prawdy. Była zaskakująco wypoczęta. Wstała bardzo wcześnie, ale podobał jej się świt i poranna mgła. Tak jak mycie w zimnej rzecznej wodzie.

- Po co miałbym oddawać powieść, skoro nie jestem z niej zadowolony?

- A więc jednak mnie pan pamięta?

- Tak. Pamiętam też, że wspomniałem, że książka nie jest jeszcze gotowa.

- To dlaczego powiedział pan Isaacowi, że jest?

- Bo myślałem, że jeśli dam mu kilka stron, odczepi się ode mnie na kolejny rok.
 - Dobrze, w takim razie proszę je mnie dać. Gabriel zdjął kapelusz z kołka w ścianie.
 - Wyrzuciłem do śmieci.
 - Te strony? Te kartki?
 - Właściwie to... cały maszynopis.
 - Panie Gabriel! - Elizabeth wydłubała orzech z polewy. - Czy mogę być przez chwilę nietaktowana, a nawet niegrzeczna?
 - Bardzo proszę.
 - Czy ta powieść w ogóle istnieje?
 - Myśli pani, że co? Że się wypaliłem? - Zrobił rozbawioną minę. - Proszę posłuchać: co to za różnica, czy oddam książkę w tym roku, czy za rok, czy w dwa tysiące dwudziestym piątym?
 - Ale dlaczego nie chce pan pokazać mi chociaż małej próbki, żebym mogła powiedzieć Isaacowi, że wszystko jest na dobrej drodze?
 - Może mu to pani powiedzieć i tak - odparł trzeźwo i rozsądnie.
- Westchnęła.
- Wątpię, czy uwierzy mi na słowo.
 - Dlaczego?
 - Och, wie pan... On uważa, że jestem przemęczona i zblazowana.
 - Aha. - Przyjrzał się jej uważnie. - A jest pani?
 - Może. - Wzruszyła ramionami. - Gdybym była bardziej wypoczęta, zdążyłabym już pana namówić, żeby wygrzebał pan ten maszynopis ze śmieci.

- Niestety - odparł wesoło. - W czwartki przyjeżdża śmieciarka. Z samego rana zaniósłem torby do pojemnika. - Elizabeth milczała, więc dodał: - Przykro mi. - Opadła mu lewa powieka. - Naprawdę.

- Nie szkodzi.

To dziwne, ale ona powiedziała to szczerze. Było jej wszystko jedno. Już podjęła decyzję: rzuci tę pracę i spróbuje czegoś innego. O świcie będzie bawiła się życiem jako włóczęga albo wyjedzie do innego miasta. Kto powiedział, że zmiana zabija? Zmiana - to koło ratunkowe dla niezadowolonych.

Zauważyła go kątem oka niecałe pięć kilometrów od chaty. Wielki metalowy pojemnik na poboczu drogi. Kiedy później to wspominała, trudno jej było powiedzieć, dlaczego się zatrzymała, a jeszcze trudniej wytłumaczyć, co kazało jej wejść na przymocowaną do pojemnika drabinę i zajrzeć do środka. Może ciekawiło ją, czy maszynopis naprawdę istnieje, a może skusiła ją pozorna prostota tego rozwiązania. Leżał tam, a ona po to tu przyjechała. No więc do roboty! I teraz, siedząc okrakiem na stalowym brzegu, patrzyła w dół na koszmarny krajobraz ludzkiej rozrzutności. Na butelki, na rozmiękłe jedzenie, gazety, ubrania, stary materac. Na niezliczone torby, napuchnięte i rozerwane, z których, niczym jelita z rozprutego brzucha martwego zwierzęcia, wylewała się oślizgła zawartość.

Ale jeśli Gabriel wyrzucił śmieci tego ranka, powinny one leżeć między kilkoma względnie nietkniętymi torbami w jeszcze dość pustym końcu pojemnika. Zmarszczyła nos i zaczęła ostrożnie przesuwając się w tamtą stronę.

Z lasu wybiegł niedźwiedź - nie był to zbyt dobry moment, chociaż z drugiej strony, dla kogoś wychowanego w asfaltowej dżungli, dla ważące pięćdziesiąt siedem kilo, żaden moment nie mógł być dobry. Elizabeth znieruchomiała. Niedźwiedź, a raczej niedźwiadek, miał futerko w kolorze melasy i szpiczasty pyszczek, był mały i puszysty jak przytulanka. Ale kiedy podszedł na tyle blisko, że mogła rozróżnić poszczególne włoski w kryzie na jego szyi, z przerażeniem spostrzegła, że zwierzę patrzy na jej lewą nogę, która wisiała na krawędzi pojemnika jak salami na haku we włoskich delikatesach. Ogarnięta paniką szybko ją podciągnęła i straciwszy już i tak zachwianą równowagę, z cichym, żalnym krzykiem wpadła do środka.

Połamalam sobie zebra - taka była jej pierwsza myśl po odzyskaniu przytomności. Przebite kością płuco tłumaczyłoby zarówno ból w piersiach, jak i trudności z oddychaniem. Ale nie było to bynajmniej jedyne wytłumaczenie. W pojemniku cuchnęło. Może to oczywiste, ale naprawdę cuchnęło. Jak obrzydliwy był to smród, wie tylko ktoś, kto znalazł się kiedyś w podobnej sytuacji. Elizabeth zakrztusiła się i wymiotowała. Obydwie czynności były nieznośnie bolesne, ale Chryste, nie mogła stracić przytomności, rzygając. Wyobraziła sobie, jak jej śmierć opisują w Nagrodach Darwina, gdzie zgubne w skutkach wyczyny oceniano najpierw według skali ludzkiej głupoty, by następnie pastwić się nad nimi w Internecie. Zastygła bez ruchu i skupiła się na oddychaniu. Z miejsca, gdzie leżała, widziała muchy, czerwie, rybie ości i wyciekającą z worków breję wszelkich kolorów i

konsystencji, ale widziała również róg materaca, skorupki jajek i skórki chleba, i normalność tych odpadków podniosła ją na duchu. Powoli zaczęła czuć się tam jak u siebie w domu - ostatecznie to też był ekosystem, choć mały i na odwyrtkę, bo zmierzający ku całkowitemu rozkładowi - postanowiła więc zostać w pojemniku trochę dłużej.

Po jakimś czasie - nie wiedziała po jakim - zdawało jej się, że słyszy warkot samochodu i czyjś krzyk. Znowu minęło trochę czasu i nagle poczuła przeszywający ból w boku, jakby ktoś chwycił ją pod pachy i gwałtownie podniósł. Gabriel. Kazał jej iść do drabinki, którą oparł o wewnętrzną ścianę pojemnika.

- Zobaczyłem pani samochód - powiedział. - Czy pani zwariowała?

Nie odpowiedziała, bo było coraz bardziej oczywiste, że naprawdę jej odbiło.

W chacie zapędził ją pod prysznic, tak jak stała, w ubraniu. Oparła się głową o ścianę i patrzyła, jak brudne, zgniłe pamiątki z życia innych wirują wraz z wodą w otworze odpływowym u jej stóp. Zastanawiała się półprzytomnie, ile chorób złapała i czy któraś z nich okaże się śmiertelna. Problem powstał, gdy zakręciła kran.

- Co się stało? - spytał Gabriel, gdy się zorientował, że Elizabeth stoi w kabinie, drżąc z zimna.

- Nie mogę się rozebrać. Puścił ciepłą wodę, przyniósł nożyczki, wszedł pod prysznic i zaczął rozcinać jej ubranie. Mokra włosy przykleiły mu się do głowy. Cuchnął alkoholem i psem. Przy bieliźnie lekko się zawahał.

- Niech pan tnie - rzuciła ze znużeniem, ale miał teraz mniej pewne ręce. Drgnęła, gdy musnął ostrzem bladą skórę pod jej pachą.

Potem owinał ją ręcznikiem, położył na sofie i okrył kocem. Kazał wypić prawie całego bourbona z porannej butelki, ale gdy pół godziny później zobaczył, że wciąż drży jej ręka, a oddech jest płytki i krótki, zaniepokojony zmarszczył brwi.

- W co się pani uderzyła?

- Nie wiem. - Elizabeth przed każdą wypowiedzią musiała brać dodatkowy oddech. - W bok... w głowę.

Obejrzał jej lekko spuchniętą skroń, a potem, nie zważając na protesty, ściągnął w dół ręcznik, odsłonił lewą pierś i jedno po drugim, zaczął uciskać wszystkie żebra.

Do oczu napłynęły jej łzy bezradności.

- Niech pan mnie zostawi. - Odwróciła głowę. Słyszała, jak kręci się po chacie, a potem poczuła ciężki

dotyk jego ręki na plecach.

- Zegnij nogi w kolanach. - Posłusznie przewróciła się na bok i zesztyniała, gdy przesunął ręką po udzie, a potem - tu przeżyła prawdziwy szok - gdy włożył palec do pupy.

- Chryste, co pan... - Szarpnęła się, ale mocno ją przytrzymał.

- Leż! - Znowu przykrył ją kocem. - To trochę potrwa. Czopek z morfiną. Próbowwała wpaść w gniew i nawet

wpadła, lecz był to gniew słaby i nijaki. Jakby się naćpała. Głowa była za ciężka dla szyi i gdy z pokoju powoli wyciekło światło, opadły jej powieki.

Poczuła, jak ugina się materac i z trudem otworzyła oczy. Na nocnym niebie za oknem wisiał sierp księżyca.

- Jak się czujesz? - Obok siedział Gabriel.

- Lepiej, dziękuję. - Chciała usiąść, ale wciąż kręciło jej się w głowie.

- Poczytać ci? - spytał. Zaskoczona zobaczyła, że ma na kolanach maszynopis.

Spróbowała się skupić. Postanowiła zapamiętać i przeanalizować jak najwięcej szczegółów, po czym przekazać je Isaacowi. W ciszy zabrzmiał monotony głos Gabriela. Czekala na błyskotliwe aforyzmy, próbki eksperymentalnego myślenia, na diatryby przeciwko ludzkości... Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego.

„Jego usta, jej usta. Leniwie zadarta sukienka". Gdy słowa zaczęły łączyć się w zdania, a zdania w akapity, zmarszczyła czoło. Co to było? Zalała ją fala obrazów. „Palce rozgarniające ciemne splątane włosy, rozchylające srom, różowy, słodki i wilgotny. On, już spełniony, na lepkiem prześcieradle".

Boże święty, to dlatego nie chciał oddać książki? Dlatego pił? Miał dziwnie rozmazaną twarz. Czy to możliwe, żeby śniła? Próbowała otrzeźwieć, oczyścić umysł. Morfina wciąż więziła ją w świecie, z którego nie mogła uciec -

świecie występku i mrocznych fantazji, nocnym świecie, który tak dobrze znała. A on czytał dalej. Była w tym jakaś opowieść, coś pełnego gniewu i erotyzmu. Podróż przez ciało, zmysły i żądzę, więc jak mogła nie słuchać tej... pornograficznej odysei? Podbrzusze przeszedł silny dreszcz i odruchowo wsunęła rękę między uda. Podniecenie narastało, aż stało się nie do zniesienia, lecz chociaż próbowała, nie mogła sobie ulżyć. Coś było nie tak, więc otworzyła oczy.

Obserwował ją bez słowa. Dlaczego przestał czytać? Widział to? Był wtedy w pokoju? Zrobiła to na jawie czy we śnie? Zamrugła, ale zamiast zniknąć, Gabriel szybko podszedł bliżej i zerwał z niej koc. Ukląkł, patrząc jej w oczy. Delikatnie wyjął jej rękę spomiędzy ud i rozchylił nogi, szerzej i jeszcze szerzej. Bardzo powoli, tak powoli, że niemal nie do zniesienia, wsunął w nią palec. Natychmiast ogarnęło ją jeszcze większe podniecenie, podniecenie i strach. Z ciałem unieruchomionym przez ból w piersiach, z umysłem miotającym się między pragnieniem ulgi i przerażeniem, że całe podniecenie pryśnie pod jego dotykiem, mogła tylko patrzeć mu w oczy. Uniosła biodra. Wsunął rękę pod jej pośladki i gdy, spuściwszy głowę, zaczął ją tam całować, przez chwilę balansowała na szczycie rozkoszy, by w końcu zachwiać się i spaść w otchłań.

Gdy się ocknęła, za oknem było już jasno. Pokój wypełniał zapach kawy i słysząc, że Gabriel krząta się po małej kuchni, poczuła, że jej brzuch zalewa fala gorąca na wspomnienie wydarzeń sprzed kilku godzin. Piekło ją w środku i szczypało, a wszystkie zakamarki ciała wypełniała bolesna, lecz miła pustka. Może i weszła do najmniej ekskluzywnego klubu w świecie, ale cieszyła się z tego jak z niczego innego. Odruchowo sięgnęła między uda i nagle zamarła, bo znowu ogarnęły ją straszliwe wątpliwości.

Ostrożnie usiadła za kierownicą wynajętej terenówki. Jej piersi wciąż przygniatał olbrzymi ciężar, lecz ból był teraz o wiele łagodniejszy.

- Żebra jeszcze trochę pobolą - powiedział Gabriel, zamykając drzwiczki. - Ale wszystko będzie dobrze.

To prawda, pomyślała. Będzie dobrze. Pod każdym względem.

Nie, to nie działa się naprawdę. Od chwili, gdy przyniósł z samochodu jej torbę i dyskretnie wyszedł, kiedy zaczęła się przebierać, wiedziała, że to był tylko sen. Sen, morfina i jej myśli. Bo czy mogło być inaczej, skoro, robiąc jej śniadanie, piekąc grzanki, smażąc boczek, wbijając cztery jajka na rozgrzaną patelnię, pytał, jak spała, wypytywał o samopoczucie i niepokoił się o jej głowę i żebra? Skoro ani jednym spojrzeniem, ani jednym słowem czy choćby najłżejszym dotykem nie nawiązał do tego, co tak dobrze pamiętała? Początkowo była rozczarowana, lecz natychmiast pomyślała: co za ironia. Bo w chwili, kiedy doszła do wniosku, że świat realny i świat fantazji nie mogą się bardziej rozminąć, światy te elegancko z sobą się splotły. Spojrzała na drogę. Ale kto powiedział, że to źle? Nie, pomyślała, odpalając silnik. Wcale nie musi tak być. Gabriel nachylił się do okna i wyciągnął rękę.

- Co to?
- Chyba to, po co pani tu przyjechała. Spojrzała na dużą, brązową kopertę.
- A jednak nie wyrzucił pan tego do śmieci.
- Tego? Nie.

Przyłapała się na tym, że gapi się na jego dłoń, zaczerwieniła się i szybko uciekła wzrokiem w bok.

- Cóż, w takim razie... dziękuję. Uśmiechnął się lekko.
- Zawsze do usług. Powoli odjechała.
- Zawsze do usług - powtórzyła i zmarszczyła brwi. Spojrzała w lusterko: Gabriel tańczył właśnie dziwny, krótki taniec. Położyła rękę na kopercie. Była zaskakująco ciepła. Zdziwiona pochyliła lusterko. Oczy miała zdrowe, jasne i zupełnie czyste, i nagle zapłonął w niej płomyczek nadziei.
- Zawsze do usług - powiedziała na głos w stężonym porannym powietrzu. Spoczywająca pod jej dłonią koperta robiła się coraz cieplejsza, wręcz gorąca.

ROSA MUNDI

Nornik

Zdarzyło się to dwa lata temu. Teraz wszyscy jesteśmy mądrzejsi, może z wyjątkiem Laury. Była wtedy bardzo ładną dwudziestodwuletnią dziewczyną o świetnej figurze, kasztanowych włosach i mocnej, czystej jak śnieg skórze, która czasem idzie z tym w parze. Właśnie kończyła studia i pisała pracę magisterską z powieści wiktoriańskiej. Miała chłopaka, narkomana, który zamieszkał u niej, gdy wyleciał ze studiów, i owdowiała matkę na zasiłku. Żyła z czynszu i stypendium z Instytutu Endokrynologicznego, dlatego mogła pozwolić sobie na utrzymanka, a pod koniec każdego semestru wysyłała matce pieniądze, żeby jej trochę pomóc. W zamian za tysiąc dwieście dolarów miesięcznie instytut wymagał od niej tylko tego, żeby od czasu do czasu brała jakieś pigułki czy naklejała sobie plastry i raz w tygodniu zgłaszała się na rozmowę do mnie, szefowej wydziału badawczego.

Instytut mieści się na kampusie, ledwie pięć minut piechotą od akademika, dlatego nie było powodu, żeby spóź-

niła się na spotkanie tego piątkowego popołudnia. Było już pięć po, a ona miała przyjść punktualnie o czwartej. Musiałam na nią czekać, a jestem kobietą bardzo zajęta. Tak, Laura była piękna, inteligentna i sympatyczna, ale i beztroska do granic próżności. To wielka szkoda, ale takie są właśnie dziewczęta o wysokim ilorazie podatności na sugestie, czyli wysokim IPS, jak mawiamy w instytucie. Laura miała 8,3, podczas gdy średnia wynosi 5.

Należała do grupy sześciu studentek biorących udział w próbach z nową rodziną leków. Badania były oczywiście ściśle tajne, a potencjalne korzyści niesłychane. Kierowałam moimi dziewczętami jak zimnowojenny as wywiadu podległymi mu agentami.

Nazywam się Holsom. Doktor Melanie Holsom. I myślę, że przy zaprawionym alkoholem wietrze od rufy mogłabym uchodzić za trzydziestopięciolatkę: mam fryzurę a la Louise Brooks, ładny karczek i kilka razy odwiedziłam chirurga plastycznego. Mimo to czas moich osobistych eksperymentów seksualnych dobiega końca. Szkoda. Mam czterdzieści dziewięć lat. Odkryłam, że pożądanie nie mija wraz z wiekiem: to po prostu nas coraz częściej omija okazja. Ale w życiu są inne ciekawe rzeczy. Lubię moją pracę w instytucie, filii farmaceutycznego giganta z siedzibą w Szwajcarii. Lubię spotkania z moimi dziewczętami. Ufają mi i traktują jak matkę, przynajmniej tak myślę.

Dziesięć po czwartej zadzwoniłam do niej, żeby sprawdzić, czy już wyszła, ale po szybkim, urywanym oddechu i głupawym chichocie poznałam, że jest w trakcie stosunku.
- O Boże, pani doktor, to już? Przepraszam. Już lecę. Niech Bóg błogosławi oksytocynę!
To wszystko przez te pigułki!

Tak naprawdę Laura była poddawana ślepej próbie i od tygodnia brała placebo. Słodzoną kredę. Ale wierząc, że bierze oksytocynę, najwyraźniej reagowała zgodnie z oczekiwaniami. Jak już wspomniałam, miała bardzo wysoki IPS.

Oksytocyna to „hormon miłości” wywołujący skurcze porodowe i sprzyjający powstawaniu więzi uczuciowej, substancja wyzwalana w chwili orgazmu przez organizm zarówno mężczyzny, jak i kobiety, podtyp „hormonu szczęścia”, czyli serotoniny.

Wyobraźcie sobie skutki działania prozacu, ambienu i seroxatu, dodajcie do tego pełne szczytowanie w kobiecym libido, dołóżcie to, co w instytucie nazywamy OAO, czyli oksytocynowym akceleratorem orgazmu i mamy STROX-Original. Każdy numerkiem numerkiem chcianym: każdy numerkiem numerkiem orga-zmicznym, i wreszcie dotyczy to również kobiet. Przetestowaliśmy original na normikach, szczurach i małpach, przeprowadziliśmy próby na ludziach w Sierra Leone, trochę go zmodyfikowaliśmy i w ciągu roku zamierzamy wprowadzić na rynek. Byliśmy cholernie podekscytowani.

Pracowaliśmy już nad STROX-Plusem. Koncepcja była prosta, lecz błyskotliwa: serotonina wzmocniona domieszką stężonej oksytocyny. Zakładaliśmy, że stosunek będzie prowadził teraz nie tylko do orgazmu, ale i do prawdziwej miłości.

Czekając na Laure, przejrzałam kartę Elaine, naszej kieszonkowej blond Wenus. Miała zgłosić się do mnie wieczorem. Elaine ma dwadzieścia trzy lata i bardzo niski IPS: zaledwie 2,3. Jest ateistką i feministką, kruchym maleństwem o ciętym dowcipie. I odczuwa wybitną niechęć do seksu. Właśnie skończyła tygodniową kurację STROX-ori-ginałem przekonana, że bierze witaminy; bardzo ciekawiło mnie, co ma do powiedzenia. Razem z doktorem Jorgensenem z wydziału psychologii klinicznej i w obliczu silnego oporu przeciwników opracowałam cały system obliczania IPS: bo czy w sferze tak subiektywnej jak osobowość i libido istnieje lepszy sposób oceniania dokładności i wiarygodności odpowiedzi ustnych? Czekano na mnie kilka patentów. Przyszło mi do głowy, że doktor Jorgensen nawet mi się podoba. W mężczyźnie w dobrze skrojonym garniturze jest coś, co każe kobiecie natychmiast go z niego zedrzeć. Ta myśl była jak na mnie dość niezwykła, dlatego zastanawiałam się, czy ma to coś wspólnego z małym plastrem STROX-Plusa, który spoczywał teraz wygodnie pod moją lewą piersią. Nie, to niemożliwe. Skutki działania preparatu miały ujawnić się dopiero za sześć godzin. Nasze zespoły laboratoryjne pracowały nad tym problemem dzień i noc: dla testów klinicznych opóźnienie nie miało znaczenia - dla testów, ale nie dla przeciętnych użytkowników. Jeśli chcesz mieć ochotę na seks, nie masz ochoty zwlekać. Wielkim plusem STROX-Originalu było to, że aby poskutkował, nie musiało się najpierw chcieć. Tak jak z viagrą:

specyfik ten wywoływał pragnienie seksu i gwarantował orgazm. Ale i tak nikomu nie chciało się czekać.

Laurze wystarczyło ledwie dziesięć minut, żeby wyskoczyć ze spoconego łóżka i przybiec do laboratorium. Kiedy chciała, potrafiła być szybka, musiałam to przyznać. Miała rumieńce i włosy w nieładzie. Wciąż w pośpiechu, jak to studentka - spóźnianie się jest częścią ich kultury - spytała, czy mogłybyśmy załatwić to szybko i konkretnie: miała do napisania esej o Aprze Behn. Oczywiście chodziło jej tylko o to, żeby jak najszybciej wrócić do łóżka i seksu. Delikatnie uświadomiłam jej, że nie powinna skąpić nam czasu i uwagi: ostatecznie nie była beztroską studentką, tylko kobietą z zobowiązaniami. Od razu się uspokoiła. Włączyłam kamerę.

- Jak życie? - zaczęłam.

- Wspaniale! - odparła. - Tak bardzo go kocham. Okazało się jednak, że chłopak znowu bierze kokainę,

że podał podanie o stypendium i że z powodów moralnych rzucił pracę w kawiarni: nie podawano tam kawy z certyfikatem Fairtrade'u. Ale Laura była pewna, że już wkrótce skończy z nałogiem. Szczerze jej to obiecał.

- A ja mu uwierzyłam - dodała lekko zaskoczona. - Ale to skutek działania oksytocyny, tak?

Nie. To był skutek tego, że miała wysoki IPS: brała placebo. Ale intensywny, dający satysfakcję seks rzeczywiście mógł podnieść poziom oksytocyny, co z kolei mogło podnieść poziom ufności. Dziewczęta są skłonne do brania reakcji chemicznych za miłość, dlatego tak często kończy

się to łzami. Testy na osobnikach o wysokim IPS łączą się z licznymi komplikacjami, i z tego powodu doktor Jorgensen i ja zastosowaliśmy w badaniach naszą własną koncepcję badania ilorazu podatności na sugestie.

Zganiłam Laureę, że czytała o oksytocynie - musiała coś czytać, choć pewnie nie chciała - a ona przeprosiła mnie, zagryzła miękką, czerwoną wargę i. zrobiła skruszoną minę. Była taka śliczna. Miała piękny, szlachetnie zarysowany podbródek i długą szyję, gęste kasztanowe włosy i zatroskane, zielone oczy w kształcie migdałów, wpatrzone we mnie jak w przewodnika, mentorkę, przyjaciółkę i matkę.

Wróciłyśmy do rzeczy. Oznajmiła, że częstotliwość i jakość jej współżycia seksualnego zwiększyła się dwukrotnie. Osiemnaście stosunków w ciągu ostatniego tygodnia: wieczorami i w nocy tuż przed zaśnięciem, raz z nim przebranym za kobietę (jej pomysł), seks oralny za dnia, seks tuż po przebudzeniu, a właściwie w półśnie przed dzwonkiem budzika, w pozycji klasycznej albo z nią na górze.

- A orgazmy?

- W sumie sześć, ale to nic. - Gdyby brała preparat, miałyby osiemnaście. - Tak bardzo go kocham. Tylko że to bardzo go męczy, tak mówi. Musi brać kokainę, żeby nie opaść z sił. Przeze mnie bardzo trudno mu z tego wyjść. Przeze mnie i te pigułki. Nie mogłabym ich odstawić?

- Ależ oczywiście - odparłam. - Kiedy tylko zechcesz, kochanie.

Dajmy sobie spokój z placebo. Wyraźnie widziałam, że

Laura jest gotowa na plaster STROX-Plusa i że nie trzeba będzie jej do tego namawiać.

W instytutowych grupach wywiadu zogniskowanego panuje zgodna opinia, że młodzi ludzie tracą zdolność do miłości. Przed trzydziestu laty „miłość” była głównym powodem małżeństwa dla siedemdziesięciu sześciu procent respondentów w wieku do trzydziestu lat - teraz wskaźnik ten wynosi zaledwie dwadzieścia trzy i wciąż spada. Uważam, że to wielka szkoda. Pamiętam, czym była miłość, kiedy miałam dwadzieścia kilka lat. I chciałam, żeby była tym dla Laury. Znacie to uczucie? Uczucie, że zrobi się absolutnie wszystko tylko dlatego, że on tego chce? On albo ona, jeśli ma się takie skłonności (tak jak na przykład ja, choć nie zawsze). A nawet on i ona. Miałam kiedyś romans z dwoma gejami: seksu było nie za wiele, za to dużo wzajemnej aprobaty i patrzenia. I przez jakiś czas czułam się ich częścią, kobiecym przedłużeniem ich związku. Mimo to powoli się od siebie oddaliliśmy. We dwoje, we dwóch czy we dwie jest OK. We troje może być podniecająco i zupełnie inaczej, ale w końcu wszystko się rozpada. Kazałam jej się rozebrać do bielizny. I rozebrała się. Była w niemal zupełnie przezroczystym komplecie ozdobionym bladozieloną koronką i haftowanymi złotymi gwiazdkami, absolutnie prześlicznymi. La Perłą, pomyślałam. Piersi miała dość ciężkie, bardziej okrągłe niż szpiczaste, a brodawki sutkowe duże, mocno zarysowane i brązowe. Chociaż wolę różowe, tego dnia uznałam, że jej są wyjątkowo ładne.

- Jesteś bardzo piękna - zauważyłam, kiedy zawiro-

wała przede mną jak fryga. Była dużą dziewczyną. Robiła wrażenie.

Tak, była duża, młoda i silna. Nie przypuszczałam, żeby miała umrzeć z wyczerpania na prawdziwych pigułkach. Testy w Sierra Leone, te z pierwotną odmianą STROX-u, przysporzyły nam kłopotów. Wysoki odsetek samobójstw -tak wysoki, że odnotowany w krajowych statystykach -doprowadził do zawieszenia prób. Uważam, że tamtejszy rząd zareagował przesadnie, ponieważ samobójstwa były objawem zespołu abstynencji, kiedy to zamiast STROX-u zaczęliśmy podawać placebo. Fakt, że to nie preparat, lecz jego brak zabił tych nieszczęśników, był kwestią bardziej niż dyskusyjną - przynajmniej z etycznego punktu widzenia - ale niestety, zadziałały tam również siły polityczne. Dlatego wróciliśmy do Europy, gdzie to nie politycy mają głos, tylko pieniądze. Preparat oczywiście zmodyfikowaliśmy, aby zmniejszyć ryzyko śmierci.

Poprosiłam Laure, żeby zdjęła bieliznę. Miała opory, ale przecież była na placebo.

- Co jest? - warknęłam. - Lepiej podziękuj Bogu za instytut i miesięczne czeki, za które możesz kupić sobie te przezroczyście szmatki, i rób, co ci każe!

- Czasem dobrze jest przypomnieć, gdzie ich miejsce i że powinny być nam wdzięczne. Jak na tak mały wysiłek, całkiem nieźle zarabiały. Mimo to Laura wciąż się wahała.

- Muszę przykleić ci plaster - wyjaśniłam. - Trzeba zneutralizować działanie tego, co brałaś, żeby twój chłopak mógł rzucić prochy.

Laura wciąż nie mogła się zdecydować.

- Zrób to - dodałam - albo wylecisz z programu, stracisz dochody i mieszkanie. Jak go wtedy utrzymasz? Rzuci cię jak nic.

Groźby skutkują najlepiej na osobników o wysokim IPS, przekupstwo - na tych o niskim. Gdybym powiedziała coś takiego Elaine, jeszcze bardziej by się zaparła. Laura zdjęła stanik, uwalniając pełne piersi. Potem wyszła z majteczek i złożyła je starannie, żeby o nic nie zahaczyły. Była wydepilowana pod bikini. Kasztanowy zarost na podbrzuszu miała przycięty w kształt serca z koniuszkiem, wskazującym łechtaczkę.

- Zadowolona? - spytała.

Niektóre dziewczęta ładniej wyglądają nago niż w ubraniu. Laura była jedną z nich. Mimo to, zwilżywszy małym, ślicznym języczkiem pełne, różowe wargi, stała przede mną na tyle zbuntowana, na ile pozwalała jej wrodzona dobroduszość. Miała malutkie uszy. A ja miałam ochotę je ugryźć. Jakoś nad sobą zapanowałam.

- Tak, dziękuję - odparłam. - Teraz idź do zabiegowego i się połóż. Muszę sprawdzić, czy lepiej poskutkuje plaster pachwinowy, czy podpierśny. Masz bardzo duży biust.

Laura zasłoniła piersi rękami i zaczerwieniła się, zmieszana i skrepowana. Bardzo mi się podobało. Stwierdziwszy to, przeżyłam wstrząs. STROX-Plusa przetestowano tylko na trzydziestu dwóch osobnikach. Co się ze mną działo? Plaster przykleiłam sobie pierwszy raz. Czy to możliwe, żeby jakiemuś odsetkowi badanych specyfik ten zaostrzał

skłonności sadomasochistyczne? Jeśli tak, mogłoby to źle wpłynąć na przebieg dalszych prac.

Stary profesor Hinton, nasz genetyk i specjalista od orgazmu, powiedział mi ostatnio, że istnieje coś takiego jak gen masochizmu, zwłaszcza u kobiet i gejów. Czynniki: „Ach, zwiąż mnie, wychłószcz i podduś, tak bardzo cię kocham”. Uległość kobiet sprzyja przetrwaniu gatunkowemu, bo uwalnia oksytocynę i wywołuje poród. W dzisiejszych czasach mnóstwo uwarunkowań społecznych próbuje tę uległość poskromić, mimo to protesty typu: „Nie, nie zrobię ci kawy! Nie, nie upiorę ci koszuli!” szybko słabną pod wpływem fali oksytocyny wstrzykniętej do krwiobiegu dzięki częstym orgazmom. A część mózgu odpowiedzialna za masochistyczne podniecenie jest ściśle powiązana z obszarami, które ożywają podczas aktów sadystycznych.

- Do gabinetu - powtórzyłam. - Na stół.

Laura nie miała wyjścia i musiała przeparadować przez pokój nago. To absurdalne, ale była w skarpetkach i adidasach. Długie, bardzo długie nogi, zgrabne, wysoko uniesione, choć troszkę zbyt wydatne pośladki - współczesne dziewczęta mają zupełnie inną figurę niż te sprzed lat. Według dawnych standardów Marilyn Monroe miała długie nogi - dzisiaj by uznano, że są klocowate.

Spytałam, czy nie myślała o liposukcji, odessaniu tłuszczu z pośladków - co we mnie wstąpiło? Tak, to STROX--Plus, zdecydowanie. Laura nie odpowiedziała, ale położyła się na stole. Uniosłam jej piersi i spytałam, czy ma implanty, a kiedy zaprzeczyła, spojrzałam na nią sceptycznie i oznajmiłam, że tak czy inaczej będę musiała wykorzystać jej pachwinę i oczyścić ten obszar substancją neutralizującą. Wzięłam maść oksytocynową - jeśli już

zamierzasz coś zrobić, zrób to dokładnie - i wtarłam ją w okolice łechtaczki. I chociaż wcierałam najdelikatniej, jak umiałam, Laura zarzuciła mi brutalność, rozplakała się i zagroziła, że zerwie umowę. Zaczęłam wcierać maść jeszcze mocniej i ostrzegłam, że jeśli zrezygnuje, ucierpi na tym nie tylko ona, ale i jej matka, a także chłopak, więc dlaczego po prostu nie ulegnie i nie odda się przyjemności? Ale ona wciąż miała opory.

Ucisnęłam pachwinę.

- Au! - krzyknęła. - Boli!

Tym mnie zirytowała. Zagroziłam, że wezwę profesora Cliftona, żeby zbadał jej szyjkę macicy i sprawdził, czy nie jest spuchnięta. Gdyby była, plaster neutralizujący mógłby jej zaszkodzić.

Laura zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Tego koszmarne starucha? A pani nie może?

- Dobrze - powiedziałam i bez zbędnych ceregieli zdecydowanym ruchem rozłożyłam jej nogi i wsunęłam dwa palce w źródło tego miękkiego, pulsującego ciepła. Obłąd, jakby mieszkało tam jej drugie „ja”, druga osobowość, druga Laura, Laura w oksytocynowej powłoczce. Może wszystkie takie jesteśmy.

- Przyjemnie ci - powiedziałam stanowczo, czując, jak w odpowiedzi unosi biodra. Laura numer dwa rozwijała skrzydła.

- Przyjemnie, ale i tak pani nienawidzę.

Nie, to jeszcze nie to. Zastanawiałam się, jak by to było, gdybyśmy poddali badaniom osobnika z IPS równym 9 albo 10. Znalezienie ich sporo by kosztowało, ale instytut nigdy nie skąpił na prace nad STROX-em. Wsunęłam palce głębiej, dodałam dwa palce lewej ręki, a potem je rozchyliłam. Laura cicho jęknęła, po chwili jęknęła znacznie głośniej.

- Jeszcze - powiedziała. - Proszę. Niech pani coś zrobi! Tak było znacznie lepiej. Przed przyklejeniem plastra -

drugiego małego serduszka z koniuszkiem wskazującym łechtaczkę - oczyściłam jej łono naszym nowym czyszcikiem; skóra z nadwątłym systemem obronnym wchłania lek znacznie szybciej.

Zostawiłam ją samą i zadzwoniłam do profesora Clif-ona, który powiedział, że już idzie; badał ostatnio mieszankę STROX-Originalu i tadalafilu, weekendową viagrę, i osiągnął całkiem obiecujące rezultaty. Uspokoilaam Laure, opowiadając jej o nornikach. Otóż pod wpływem oksyto-cyny norniki się zakochują. Przestają być rozwiązłe i łączą się w pary. Co dziwne, reagują tak tylko norniki preriowe, górskie już nie.

- W takim razie mam nadzieję - odrzekła słodko Laura - że jestem tym preriowym.

Kiedy przyszedł Clifton, wzięłam go na stronę.

- Mam tu IPS osiem koma trzy dziesiąte - powiedziałam. - Dochodzi teraz do osiem koma pięć i reaguje tak jak wszystkie osobniki o wysokim ilorazie podatności na suge-

stie. Robi to, co jej każe, i wchodzi w fazę STROX-Plusa. Muszę pana uprzedzić, że ja też. Chcę, żeby poddał ją pan obserwacji i porobił notatki.

Clifton spojrział na wijącą się na stole Laure, dziewczynę świetnie zbudowaną i kremowo gładką. O sflaczałym już ciele, choć z lubieżnym błyskiem w bystrych oczach i z wszystkimi dostępnymi w instytucie lekami psychotropowymi we krwi, był typowym przedstawicielem starej niemieckiej szkoły. Wiek i potrzeba wiary we własne siły nie przeszkadzały już mężczyznom w zażywaniu przyjemności, a niedługo miało to dotyczyć też i kobiet. Podniecające!

- Musi pan zbadać moją łechtaczkę - powiedziała z ufnością Laura. - Pani doktor chce wysłuchać pańskiej opinii.

Clifton przeniósł wzrok na mnie.

- Tak, słyszałem o niej i kiedyś ją tu widziałem. Trudno jej nie zauważyć. Osiem koma trzy? No proszę. Mamy już Plusa, ale wygląda na to, że pani praca nad częstotliwością występowania wysokiego IPS pójdzie na marne.

Puściłam ten docinek mimo uszu. Czułam się życzliwie usposobiona do wszystkich mężczyzn. Skłonności sadystyczne okazywałam tylko w stosunku do kobiet. Muszę to zanotować.

- Proszę! - Nadąsana i znudzona rozmową Laura wiała się na stole, domagając się uwagi. - Niech pan mnie zbada!

- Już idę, Fraulein Laura!

Podaliśmy mu cieniutkie rękawiczki antyalergiczne, jakich lekarze używają do badań wewnętrznych, i już wkrót-

ce jego prawa ręką zniknęła między udami dziewczyny. Było widać, że podoba jej się ten gumowy dotyk. Życzyłam jej wszystkich przyjemności świata. Zdawało się, że faza sadystyczna już minęła: może trwała tak krótko, że nie warto tego odnotowywać?

Podeszłam do Cliftona, który z kolejnego starego naukowca przedzierzgnął się nagle w najbardziej atrakcyjnego, najbardziej inteligentnego i seksownego mężczyznę pod słońcem. I raptem - nie pamiętam jak i kiedy - chwyciłam go za rękę, naprowadziłam ją na moją myszkę i kazałam palcom odszukać łechtaczkę.

- Nie! Precz stąd! - krzyknęła Laura. - Kocham go. On jest mój! - Przewróciła się na bok, złapała go za kolana i przyciągnęła bliżej, mierząc - tak jak się obawiałam - prosto w krocze. Z kolei ja wymierzyłam jej w pupę tak siarczystego klapsa, że aż krzyknęła z rozkoszy. To prowokacja czy STROX?

- Widać, że Plus już działa - skonstatował profesor Clifton. - Na nią i na panią. - Powiedział to niemal przyjaźnie.

Odnalazł już moją łechtaczkę i najwyraźniej nie zamierzał się z nią rozstawać. Dzwonienie dzwonka u drzwi powitałam z niejaką ulgą. Sądząc po moich reakcjach, po silnym, acz nader przyjemnym pragnieniu aktywności płciowej, do tej odmiany Plusa dodano MDMA, popularną ecstazy, syntetyczny analog amfetaminy i meskaliny. Nie zawsze uprzedzono nas o zmianie składu chemicznego preparatu, no i oczywiście czasem popełniano błędy.

- To pewnie Elaine - powiedziałam, stając na palcach, żeby uwolnić się od jego ręki. - IPS trzy koma dwa, nasza nisko podatna.

Poszłam otworzyć drzwi. Elaine wyprostowała sobie włosy, więc okalały jej twarz jak długa, jasna kurtyna. Była piękna - mam hyzia na punkcie włosów.

- W samą porę - rzuciłam wesoło. Zaczęłam poprawiać ubranie, ale zrezygnowałam. - Jesteśmy w trakcie eksperymentu.

- Właśnie widzę - odparła. - Profesor Clifton, pani... I nasza kochana, niewinna Laura na stole! Pełny odlot! Po co jeszcze ja? Trójką wam nie wystarczy?

Zapomniałam wspomnieć, że potrafi być impertynenc-ka. Ot, kolejna anglistka, która nie traktuje poważnie studiów. Już dawno zauważyłam, że wcale nie jest dumna ze swojej pracy, z tego, że dzięki niej to schorowane, rozdarte przez smutek, stres i seksualną frustrację społeczeństwo już wkrótce przesiąknie miłością, którą mógł zapewnić jedynie STROX-Plus. To, co robiła dla instytutu, było dla niej czymś trywialnym i bez znaczenia, czymś pozbawionym wagi i tajemniczości, źródłem łatwego zarobku, sposobem na spłacenie studenckiego kredytu. Było mi jej żal.

- Muszę tylko odhaczyć, że przysłaś i spisać twoje spostrzeżenia - odparłam.

Zaprowadziłam ją do laboratorium, posadziłam i wyjęłam notatki. Była bardzo rozmowna i opowiadanie sprawiało jej wyraźną przyjemność. Zapomniałam zamknąć drzwi i widziała, co działo się w zabiegowym. Ale ponie-

waż od tygodnia była na originalu, wiedziałam, że nie powinno jej to zdenerwować.

- Chłopak rzucił mnie już pierwszego dnia - mówiła -bo ściągnął ze mnie koc i zobaczył, że się masturbuję. Obraził się, że wolę rękę niż jego interes. Byłam zbyt zdenerwowana, żeby poszukać sobie innego, więc przez cały tydzień dogadzałam sobie sama. To się liczy?

Przejrzałam jej kartę i stwierdziłam, że będąc w stałym związku, masturbowała się średnio dwa razy miesięcznie, i odparłam, że tak, jak najbardziej.

- Elaine! - zawołała Laura z nogami wokół szyi profesora Clif tona, który, dzięki nowej generacji leków penetrował ją coraz szybciej i mocniej; zauważyłam, że zgubiła jeden but.

- Na miłość boską! - błagała, kiwając do niej długą, wdzięczną stopką z idealnie ukształtowanymi paluszkami. -Chodź do nas! Pani doktor ciągle gdzieś biega. Jestem taka zakochana, że chcę się z kimś podzielić!

- Boga nie ma - odparła Elaine nabożnie i odruchowo. Ateiści zajmują zwykle najniższe lub najwyższe miejsca na skali IPS. Swoją zagorzałą niewiarą mogą stworzyć niezależny system wiary. - Ale jest miłość! Wierzę w miłość. To Bóg jest miłością! - I mówiła to kobieta o IPS równym 3,2 ledwie po tygodniowej kuracji originalem.

Musiałam ściągnąć cugle: była to tylko pojedyncza próbka, reakcja pozbawiona statystycznej wiarygodności, źdźbło trawy na wietrze. Może i tak, ale był to również znak, omen - potężny wichur rozpędziłby wszystkie ludzkie nieszczęścia i nasz pozbawiony miłości świat mógłby ponownie ją odnaleźć. Zadzwoiłam do doktora Jorgen-sena, naszego psychologa klinicznego, i poprosiłam, żeby natychmiast przyszedł. Jorgensen, który wygląda i zachowuje się jak prezydent Putin i który zawsze mi się podobał, jest człowiekiem godnym szacunku i zaufania.

Piękni tylko dla oczu przesłoniętych oksytocynową mgłą, stary Clifton i młodziutka Laura siedzieli nago na podłodze i trzymając się za ręce, szeptali sobie czułe słówka. Spojrzeli na Elaine i zaprosili ją do siebie. Elaine zdążyła się już rozebrać i zupełnie naga, nie licząc kaskady jasnych włosów, zaczęła łąsić się do nich w miłosnym uścisku i deszczu czułości. Wkrótce przeszli do fazy penetracyjnej. Tylko jeden penis i dwie pochwy, mimo to dali sobie radę - już miałam pospieszyć im na pomoc z wibratorem, który trzymam w szufladzie, gdy do zabiegowego wszedł Alan Jorgensen.

Ucieszyłam się na jego widok. Tyle miałam mu do powiedzenia. Poczułam się tak, jakby z odsieczą nadciągnęła kawaleria. Zarejestrowałam, że włączył się element zaufania - jeden z nieodłącznych efektów działania Plusa - neutralizując sadystyczne odruchy i znacznie podwyższając mój IPS, racjonalne i względnie stałe 5. Tak więc faza sadystyczna była krótka, a STROX-Plus bezpieczny w użyciu, za co serdecznie podziękowałam Panu Bogu. Alan spojrzał na wijące się ciała, na ssące usta i z klinicznym zainteresowaniem zmarszczył brwi.

- Boże święty - powiedział. - Czy to nie profesor Clifton? - I dodał: - Może jednak zechce się pani ubrać, pani doktor?

Zdałam sobie sprawę, że jestem prawie naga i mam w ręku wibrator. Stałam się bardziej przystępna. Uśmiechnęłam się do niego bezbronnie. Nigdy dotąd tak bardzo nie przypominał rosyjskiego prezydenta, nigdy dotąd nie był taki opanowany, chłodny i czysty, tak elegancki w tym granatowym garniturze. Wyobraziłam go sobie bez ubrania: musiał wyglądać znacznie lepiej niż profesor Clifton, którego Laura, a teraz i Elaine, tak namiętnie pieściły.

- Samowolne przyjmowanie leków przez personel staje się u nas poważnym problemem. - Niestety, nie odwzajemnił uśmiechu. - I poważnym problemem dla dyrekcji. Tak przy okazji, muszę panią ostrzec, że plastry STROX--Plusa nie zostały ostatecznie zatwierdzone do powszechnej sprzedaży. Wysłaliśmy do was pilne zawiadomienie.

- Ale dlaczego?

Mimo narkotycznego otępienia byłam zbulwersowana. Koniec marzeń - czyżby przez niego, przez Jorgensena? Czyżby miał z tym coś wspólnego? Chciał dla własnych korzyści opóźnić nasze badania nad IPS? Ale już mu wybaczyłam. Był taki uroczy. Kochałam go jak ojca. I zaczerwieniłam się ze wstydu. Bo w jakim stanie mnie przed chwilą zobaczył? Co sobie pomyślał? Chętnie poświęciłabym życie, żeby kochać go i mu służyć, żeby spojrzał na mnie łaskawszym okiem.

Laura wyplątała się z gąszczu kończyn, dla przyzwoitości okryła się papierowym prześcieradłem i ruszyła w naszą stronę. Była wspaniała, potężna jak bogini. Znowu ogarnął mnie wstyd i wzdrygnęłam się, wspominając, jak ją potraktowałam. Pragnęłam ją przeprosić, wyjaśnić, że to nie ja, tylko STROX. Wlokące się jak welon prześcieradło, odsłonięte piersi - upadła przed nim na kolana.

- Kocham pana - powiedziała. - Chcę być pańską niewolnicą. Nie pragnę niczego w zamian. Spełnię każdą pańską zachciankę, nigdy nie okażę zazdrości. Niech mnie pan wykorzystuje i maltretuje, na zawsze należę do pana. -Mówiła językiem z wyimaginowanej przeszłości.

Doktor Jorgensen chyba o mnie zapomniał, bo cofnął: się w stronę wyjścia.

- Powiedz, że mnie kochasz - błagała Laura. - Powiedz chociaż jedno miłe słowo!

A więc bezwarunkowa miłość była jednak obwarowana warunkami. Profesor Clifton i Elaine kontynuowali zaspokajanie hałaśliwych, ekstatycznych i przelotnych żąd.

- Dlaczego? - powtórzyłam.

Wzięłam go pod rękę, spojrzałam mu w oczy. Musiałam przykuć jego uwagę tak czy inaczej.

- Skutki działania STROX-Plusa nie są przejściowe -odparł.

Och, jak ja go kochałam! Był taki wspaniały, taki elegancki, taki potężny! Mógł zrobić ze mną wszystko, co chciał. Wszystko, absolutnie wszystko. Znowu byłam młoda.

- Stwierdził, że są trwałe. Odwrócił się i uciekł.

Postscriptum

Tak się przypadkiem złożyło, że wynaleziono antidotum skuteczne w czterdziestu pięciu procentach przypadków. Znalazłam się w tym odsetku. Niestety, doktor Jorgensen znowu jest dla mnie zwykłym mężczyzną, bynajmniej nie boskim. Natomiast Laura wciąż trwa w stanie psychotycznej miłości. Kiedy to piszę, widzę jej śliczne włosy przez okno laboratorium. Nie odstępuję Jorgensena na krok, cierpliwie czekając na dobre słowo, które ten rzuca jej czasem jak kość psu. Nocami przesiaduje pod jego drzwiami, robi mu śniadanie, opiera go, jest dziewczyną na posyłki jego kochanek -i jeśli Alan sobie zażyczy, przyłącza się do nich w łóżku. Po domu krząta się nago. Za nic nie daje się odprawić. Ale... jest bardzo urocza. Nic więc dziwnego, że od czasu do czasu Jorgensen pozwala jej obsłużyć się pod biurkiem. Ona jest gorliwa i chętna, a on jest mężczyzną. Laura nigdy nie narzeka, doprasza się tylko miłości: bywa irytująca, ale nauczył ją robić to cicho i taktownie. Laura nie ukończyła studiów.

Przypuszczam, że po mieście krąży około dwudziestu takich jak ona. Ledwie kilka tygodni po tych wydarzeniach profesor Clifton miał atak serca podczas zajęć (nie z Elaine) i już nie żyje; co za pechowiec, ciemny razowiec. Elaine uczy się na księdza, a raczej na kapłankę - podejrzewam, że skutki działania STROX-Plusa nie są tak nietrwałe, jak przewidywaliśmy. A my? Pracujemy teraz nad STROX-Litem, odmianą serotoniny o zredukowanym poziomie oksytocyny. Właśnie przeprowadzam nabór studentek o wysokim ISM (ISM = Iloraz sadomasochistyczny). Ale STROX-Plus będzie niebawem dostępny na receptę, ponieważ KIZKD (Krajowy Instytut Zdrowia i Klinicznej Doskonałości) zatwierdził go jako alternatywny środek leczniczy dla pomenopauzalnych kobiet cierpiących na ostrą, głęboką depresję - oczywiście tylko za zgodą partnera.

SUNSET PROUDFOOT

Na farmie

Georgia kucała w ogródku warzywnym, zbierając bób na obiad. To był ciepły poranek. Słońce rozpędziło mgłę i niebo było teraz nieskazitelnie czyste i błękitne. Na lipie hałasowały ptaszki, w cieniu jabłoni leżały, dysząc, dwa czarne labradory, Sambo i Sid. Mark wstał o świcie i wymknął się z domu, zanim się obudziła. Kosili pole za domem. Pozamykała wszystkie okna, żeby się nie kurzyło. Dzieci mieszkały w bursie. Czuła się bardzo samotna, mając do towarzystwa tylko te psy.

Napełniła koszyk bobem i poszła do kuchni, żeby go wyłuskać. Mark miał wrócić na lunch, ale wiedziała, że zanim zdążą porozmawiać, znowu wyjdzie. To była najbardziej pracowita pora roku. Nie powinna mu zazdrościć. Ale dni były długie, wieczory ciepłe i balsamicznie łagodne, noce piękne i spokojne. Miała czterdzieści trzy lata i była w sile wieku; to niesprawiedliwe, że marniała w takiej idylli, czytając romanse i fantazjując, że się z kimś kocha.

Wprawnie rozłupywała strąki paznokciami, wypycha-

jąc nasiona kciukiem to jednej, to drugiej ręki. Były małe i słodkie. Wrzuciła jedno do ust. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz uprawiali seks. Pod koniec dnia Mark był tak zmęczony, że jadł w saloniku, oglądając w milczeniu wiadomości i często zasypiał nad talerzem. Podczas żniw pracował do późnej nocy. Czasem budziła się o drugiej nad ranem, słysząc dudnienie traktorów i kombajnów na drodze za domem. Leżała wtedy, zagapiona w sufit i zastanawiała się, dokąd zmierza jej życie i czy już do końca swych dni będzie zwykłą kurą domową gotującą dla mężczyzny, którego prawie nie widywała.

Byli małżeństwem od piętnastu lat i nie miała wątpliwości, że go kocha. Ale miłość to nie wszystko. Potrzebowała uwagi, jak kwiat potrzebuje słońca. Spojrzała na lawendę suszącą się nad kuchenką. Nie chciała tak skończyć.

Z frustracji i zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi. Pewna, że to listonosz, krzyknęła, żeby wszedł. Wstała, by wziąć listy do wysłania. Ale zamiast Nigela zza drzwi wychynęła twarz młodego mężczyzny, którego nigdy dotąd nie widziała.

- Przepraszam - powiedziała zaskoczona. - Myślałam, że to ktoś inny.

- Dzień dobry. Jestem Luke, student z farmy - odparł z silnym nowozelandzkim akcentem.

- Szef przysłał mnie po piwo dla chłopaków. - Uśmiechnął się nonszalancko i Georgia poczuła, że się czerwieni.

Był niemożliwie przystojny. Kiedy się uśmiechał, na jego mocno opalonych skroniach i wokół ust pojawiały się głębokie zmarszczki. Zauważyła również, że bezwstydnie otaksowuje spojrzeniem jej ciało. Podekscytowana pożałowała, że ma na sobie brudny fartuch.

- Oczywiście. Zaczekaj, zaraz przyniosę. - Weszła do spiżarni i zdjęła z półki dwa czteropaki. - Ilu was jest? -krzyknęła coraz bardziej podniecona. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś tak przystojny zawitał do jej kuchni. Szybko zdjęła fartuch i wygładziła letnią sukienkę.

- Z Bobem sześciu.

Bob był ich mechanikiem.

Gdy wróciła, stał z założonymi rękami, opierając się o kredens. Patrzył na nią, obserwował. Był w brązowych bojówkach, adidasach i rozpiętej koszuli, pod którą widziała opaloną pierś i umięśniony brzuch. Przeczesał ręką lwią grzywę wyblakłych od słońca włosów. Z uśmiechem podała mu piwo.

- Gorąco dziś, prawda? - zagadnęła z nadzieją, że zatrzyma go trochę dłużej.

- Nie wiedziałem, że w Anglii jest tak ciepło. Miało być szaro i deszczowo.

- Globalne ocieplenie. Wzruszył ramionami.

- Ja tam w to nie wierzę. Na świecie ociepla się od tysięcy lat.

- Ocieplenie czy nie, ja wolę słońce.

- Ja też, choćby codziennie!

Znowu się uśmiechnął i zauważyła, że jego oczy mają niezwykły kolor - kolor mchu.

- Miło się rozmawiało - dodał. - Lepiej już pójdę, bo szef pomyśli, że się zgubiłem.
- Powiedz mu, że dotrzymanywasz towarzystwa jego żonie. O tej porze roku to dla niej rzadkość.
- Samotnie tu, prawda?
- Trochę.
- Niech pani przyjdzie nam pomóc.
- Ale w czym?
- Nie wiem. Może... prowadziłaś pani traktor? - Roześmiał się, gdy zrobiła minę. - To nie w pani stylu, co?
- Nie. Bardziej odpowiada mi BMW.
- Wcale się nie dziwię. - Podniósł puszki. - Dzięki za piwo.
- Wpadnij, kiedy zachce ci się pić. O każdej porze.
- Chętnie. Na polu strasznie suszy, zwłaszcza w taki upał.

Odprowadziła go wzrokiem, potem oparła się o kredens i zaczęła obgryzać paznokcie. Jeśli wszyscy studenci byli tacy przystojni, powinna częściej tam bywać. Wstawiła do piecyka wcześniej przygotowaną lasagnę i poszła do sypialni przejrzeć się w lustrze. Szkoda, że rano nie włożyła czegoś ładniejszego.

Potem w łazience znów popatrzyła w lustro. Spędzała za dużo czasu w ogrodzie i była opalona. Nie była piękną, ale miała urzekający uśmiech i ładne niebieskie oczy. Nie należała również do kobiet zbyt szczupłych, ale Mark wołał, kiedy była pulchniejsza. Przynajmniej zdrowo wyglądała. Wzięła perfumy o zapachu kwiatu pomarańczy, które kupiła przed rokiem podczas babskiej wyprawy do St Paul de Vence, spryskała szyję i

nadgarstki i przyglądała się przez chwilę błyszczącej brązowej skórze na piersiach.

Wiedziała, że ma ładny biust.

Mark przyszedł na lunch, lecz ani nie poczuł zapachu perfum, ani nie dostrzegł iskierek świecących się w jej oczach.

- Jak wam idzie? - spytała, gdy nałożył sobie lasagni i bobu.

- Zboże jest suche, zbiory niezłe. Dzisiaj skończymy w dolinie.

- Pogoda się utrzyma?

- Oby.

- Poznałam dzisiaj Luke'a, twojego studenta.

- To dobry chłopak. - Mark był tak zajęty jedzeniem, że nie zauważył nawet rumieńców na jej twarzy.

- Ilu ich tam masz?

- Tylko dwóch. Obydwaj z Nowej Zelandii.

- Gdzie mieszkają?

- W przyczepach kempingowych.

- Chyba nie za wygodnie im tam, co?

Mark roześmiał się i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Są młodzi, mogą spać wszędzie. Georgia obgryzła skórkę na kciuku.

- Ile mają lat?

- Dwadzieścia.

- To rzeczywiście młodzi... - wymamrotała i zaczęła obgryzać paznokiec małego palca. - Mam nadzieję, że piwo im smakowało.

- O właśnie, dzięki. To prawdziwy rarytas. Bardzo ciężko pracują.

- Zawsze mogę im przywieźć - rzuciła.

- Bardzo by się ucieszyli.

- A lunch? Może zrobiłabym dla nich lunch?

- Bez przesady. Dlaczego miałabyś zawracać sobie tym głowę?

- Bo bez dzieci smutno mi tu i samotnie.

- Masz psy.

- Wielkie dzięki! - prychnęła sarkastycznie.

- Cóż, jeśli by ci się chciało, na pewno nie pogardziliby małą przekąską. - Mark posłał jej przeciągłe spojrzenie. - Taka piękna kobieta na polu... Temperatura by wzrosła, że hej. Nazajutrz rano Georgia wstała razem z mężem, pogodna i ożywiona. Zrobiła mu śniadanie, co było prawdziwą rzadkością, a potem wróciła do sypialni, żeby bardziej zadbać o wygląd. Mały flirt nikomu nie zaszkodzi, a ona będzie miała rozrywkę. Umyła głowę, natarła skórę olejkami różanymi, lekko podkreśliła tuszem rzęsy. Włożyła prostą letnią sukienkę w groszki, która podkreślała jej kształty i dyskretnie odsłaniała piersi, a potem postanowiła upiec ciasteczka dla robotników.

O jedenastej wsiadła na skuter Marka i pojechała do Tin Sheds, gdzie zbierali groch. Kombajny sunęły przez pole jak dinozaury z szerokimi paszczami i ostrymi zębami. Luke siedział na czerwonym traktorze na skraju pola i z nogami na desce rozdzielczej czekał, aż wezwie go operator kombajnu. Zobaczył ją i pomachał ręką. Odpowiedziała tym samym.

- Co pani tam ma? - spytał, otworzywszy drzwiczki.
- Małe co nieco - odrzekła, idąc przez ściernisko. Pokazała mu koszyk.
- Naprawdę? Dla nas?
- Tak. Ciężko pracujecie i szef uznał, że zasłużyliście.
- E tam - odparł wesoło. - Nie jest tak źle. Pracujemy, ale przez większość dnia na siedząco.
- Wzrokiem zielonych jak mech oczu musnął jej krągłe piersi, opięte materiałem letniej sukienki. Musnął i zatrzymał się na nich z uznaniem.

Nagle kombajnista wyrzucił do góry rękę. Lukę drgnął, odwrócił głowę i usiadł prosto. Uruchomił silnik.

- Niech pani wsiądzie - powiedział. - Muszę jechać. Bez chwili wahania wspięła się po schodkach i postawiwszy koszyk za fotelem, przysiadła tuż za nim.

- Jedzenie będzie musiało poczekać - dodał.

Zauważyła, że zerknął na jej opalone nogi, które musiała wyciągnąć obok jego nóg. Kiedy siadała, sukienka podjechała jej do połowy ud, gdzie kończyły się guziki. Zmieniając bieg, wierzchem dłoni otarł się o jej kolano.

Traktor gwałtownie podskakiwał, więc przysiadłszy na zakurzonej półeczce nad kołem, jedną ręką musiała przytrzymać się metalowej ramy okna, a drugą fotela.

Gorąca kabina, bliskość ich ciał - spociła się ze zdenerwowania.

- Klimatyzacja wysiadła - powiedział. - Bob miał dziś naprawić, ale kombajn złapał kicę.

- Nie szkodzi. Lubię upaść.

- Ja też, ale nie przez cały dzień. Kiedy słońce wali prosto w przednią szybę, w środku jest nie do wytrzymania nawet dla mnie.

- Możesz otworzyć okna. Będzie przyjemnie wiało. Traktor podskoczył na głębokiej bruździe i rzuciło ją do przodu. Przytrzymała się jego ramienia.

- Bardzo trzęsie?

- Jak w shakerze. - Zabrała rękę.

- Lubię koktajle - odparł ze śmiechem. - Pewnie jeździ tak pani od dziecka.

- Przeciwnie. Nie wychowałam się na wsi, po prostu wyszłam za farmera. W traktorze siedzę pierwszy raz w życiu.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. -1 jak się pani podoba?

- Jak dotąd bardzo - odrzekła z uśmiechem. Spotkali się wzrokiem w lusterku.

- Poda mi pani piwo? Umieram z pragnienia. Traktor zrównał się z kombajnem i kiedy taśmociąg

znalazł się dokładnie nad przyczepą i zaczął sypać grochem, koło przy kole pojechali dalej.

- Gdybym to ja prowadziła, groch walałby się po całym polu - powiedziała, otwierając puszkę. Rozległ się głośny syk i jej rękę zalała obfita piana. - Piwo też jest jak z sha-kera.

- Nie szkodzi. - Luke pociągnął łyk i oddał jej puszkę. -Pychota.

Georgia wytarła rękę o sukienkę. Zauważyła, że ma ładne usta; pełne usta i ładny zarost, taki w sam raz, nie za długi - za długi wyglądałby niechlujnie - i nie za krótki, bardzo męski. I silne, opalone na brązowo przedramiona pokryte jasnym meszkiem. Kiedy pokręca kierownicą, mięśnie się napięły i nagle zapragnęła ich dotknąć.

W małej, ciasnej kabinie było rzeczywiście gorąco. Wytarła czoło wierzchem dłoni.

- No i ten kurz - rzucił. - Co jeszcze ma pani w koszyku?

- Ciasteczka.

Podawała mu jedno. Odgryzł kawałek i zamruczał z zadowolenia.

- Może i nie umie pani prowadzić traktora, ale kucharka z pani pierwszej klasy.

- Piekłam dziś rano.

- Są przepyszne! - Znowu spotkali się wzrokiem w lusterku i przez chwilę Georgia nie mogła oderwać od niego oczu. - Dobra z pani żona - dodał, a ona zaczerwieniła się, rozpaczliwie szukając czegoś zabawnego do powiedzenia. - Szef często jada takie ciasteczka?

- Codziennie - zełgała. - Dba też o swoich ludzi. Jeśli dobrze się ich nakarmi, lepiej pracują.

Lukę popatrzył z uśmiechem na ciasteczko.

- Święta prawda. Mężczyznom łatwo dogodzić.
- Droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek. Skręcili na farmę i przez okno wpadł powiew chłodnego wiatru.

- Chyba trochę niżej!

Znowu spojrzał na nią i znowu się roześmiał. Ona też, lecz po to, by ukryć nerwowy dreszcz, który przebiegł jej ciało.

Gdy wjechali tyłem do stodoły, wyszedł ku nim Mark z miotłą. Zaskoczony, a nawet zdumiony jej widokiem, wesoło pomachał ręką. Pokazała mu koszyk z piwem i ciasteczkami. Luke otworzył drzwiczki, żeby ją wypuścić.

- Podrzucić panią do skutera?

- Jeśli nie sprawi ci to kłopotu - odparła. - W nagrodę dostaniesz ciasteczko.

- To nie kłopot. O żonę szefa trzeba dbać, prawda? Georgia precyzyjnie się bez słowa do drzwiczek i wysiadła.

- Kochanie, wyglądasz jak dziedziczka na włościach! -Mark podszedł do niej.

- Zaczyna mi się to podobać - odparła, wiedząc, że Luke wciąż ją obserwuje.

Mark wyjął z koszyka puszkę piwa i ciasteczko. Ugryzł kawałek i spytał:

- Czemu częściej takich nie pieczesz? Mam nadzieję, że Luke dobrze się tobą zaopiekował.

- O tak. - Zrobiła niewinną minkę. - To prawdziwy dżentelmen.

- Zaniosę trochę Bobowi. - Mark wyjął z koszyka piwo i nabrał garść ciasteczek.

- Zostawiłam skuter na polu - powiedziała, kiedy Luke uruchomił silnik. - Luke mnie podwiezie.

Mark kiwnął głową.

- Tylko niech za dużo nie pije.

Odprowadził ją wzrokiem. Gdy wsiadła i Lukę zamknął drzwiczki, pomachała mu ręką. Zadudnił silnik i wyjechali ze stodoły.

Lukę pachniał przyprawiającą o zawrót głowy mieszaniną męskiego potu i siana. Patrzyła na jego ręce. Były młode, gładkie i pokryte pyłem. Przypominały jej o różnicy wieku, jaka ich dzieliła. Flirtowanie z kimś o dwadzieścia lat młodszym było niemal nieprzyzwoite, bez względu na to, jak dojrzałe ten ktoś wyglądał. Odpędziwszy tę myśl, zaczęła wypytywać go o życie w Nowej Zelandii, ukradkiem zerkając w lusterko, kiedy nie wiedział, że go obserwuje. Miał gęste, ciemne rzęsy, które na mniej męskiej twarzy wyglądałyby zbyt kobieco, i trochę już zniszczoną cerę, z czego się cieszyła. Od ciężkiej pracy na rodzinnej farmie miał surową męską urodę starszego mężczyzny.

W końcu dojechali na skraj pola, gdzie czekał na nią skuter.

- I teraz mnie pani zostawi? - spytał.

- Mam trochę roboty w domu. Bzdura. Nie miała nic do roboty.

- Szkoda.

Roześmiała się wesoło.

- Szef ostrzegał mnie, żebym nie pozwoliła ci pić.

- Mam odporną wątrobę.

Spojrzał na nią tak przenikliwie, że się zaczerwieniła.

- Dzięki za ciasteczka. Jutro też nam pani upiecze?

- Dam ci te. Podzielisz się z kolegami.

- To niebezpieczne. Mogą ich nawet nie spróbować.

- Jak dla mnie, możesz zjeść wszystkie sam.

- W takim razie będzie pani musiała znowu coś upiec. Otworzył drzwiczki. Georgia niechętnie wstała.

- Hej. - Wziął ją za rękę. - Niech pani nie zamyka się w tej samotni.

Zabrakło jej tchu. Od jego dotyku żołądek podskoczył do gardła, jakby pełnym pędem przejechała samochodem przez mały mostek.

- Nie jestem sama, mam psy.

- Zawsze może pani wpaść do mnie. Wracam i słucham radia, wracam i słucham, i tak w kółko. Ile można?

- Szef pomyśli, że zwariowałam.

- Nie, pomyśli, że jak na dobrą żonę przystało, troszczy się pani o jego ludzi.

Uśmiechnął się szelmowsko i puścił jej rękę.

Zeskoczyła na ziemię i szybko podbiegła do skutera. Nie śmiejąc odetchnąć - czuła, że na nią patrzy - powiesiła koszyk na kierownicy i wsiadła, demonstrując przy okazji pełną krasę swych nagich nóg. Gdy podniosła głowę, uśmiechnął się i pomachał jej na pożegnanie. Ona też pomachała i z mocno bijącym sercem popędziła zakurzoną drogą do

domu. Wiatr rozwiewał jej włosy, wciąż czuła zapach siana. Pomysł romansu zapuścił już swoje korzenie.

Przez kilka następnych dni nie mogła wybić go sobie z głowy. Chodziła w podskokach, starannie się ubierała i wylegiwała w wannie, marząc o rzeczach nie do pomyślenia, a nocami pozwalała rękom błądzić między udami.

Ponieważ nigdy dotąd nie dopuszczała do siebie myśli o kochanku - częściowo dlatego, że nigdy nie miała okazji, częściowo dlatego, że było to niemoralne - dopiero teraz przekonała się, jak potężna może być żądza. A była jak oślepiające światło, w którym nic nie widziała. Nie obchodziło ją, czy to dobrze, czy źle, bo przez cały czas myślała tylko o bolesnym podnieceniu i o tym, żeby je rozładować. Mark był tak zajęty, że nie widział trawiącego ją ognia, jej gorących spojrzeń, które ostrzegały przed niebezpieczeństwem niczym światło latarni morskiej. Nie czuł zapachu olejku różanego, którym się nacierała, zapachu perfumowanych świec, które zapalała wieczorem w sypialni, nie widział pięknej koronkowej bielizny, jaką nosiła pod ubraniem. Był zupełnie nieświadomy jej narastającej zmysłowości.

A ona regularnie wozila na farmę picie i jedzenie. Bardzo uważała, żeby odnosić się do wszystkich z taką samą życzliwością, celowo prosząc o podwiezienie drugiego studenta, żeby nikt nie zaczął podejrzewać, że faworyzuje Luke'a. Mogły ich zdradzić tylko gorące spojrzenia, jakie między sobą wymieniali.

Pewnego wieczoru, kiedy Mark był na polu, doszła do

wniosku, że dłużej tego nie wytrzyma. Postanowiła zabrać psy na spacer do farmy. Włożyła ulubioną sukienkę w groszki i jedwabną koronkową bieliznę, której Mark nigdy nie widział. Psy biegały jak szalone, węsząc i ścigając zające, a w niej coraz bardziej narastała świadomość, że nie potrafi się powstrzymać, że zmierza prosto w ogień. Ryzykowała dosłownie wszystko, jednak ryzyko jeszcze bardziej ją podniecało i podsycalo pragnienie, żeby być kimś więcej niż tylko wierną gosposią, która gotuje dla męża obiady z domowych produktów, całkowicie bezinteresownie. Przez tyle lat zasiała tu tyle ziaren niewoli i służebności - nadeszła pora żniw.

Dotarła do farmy, kiedy słońce skryło się za budynkami, rzucając długie cienie na ścieżkę. Psy zniknęły w stodole i została sama. Szu-szu-szu - usłyszała odgłos zamiatania i ruszyła w tamtą stronę. Czuła, że to Lukę i serce zaczęło walić jej jak młotem. Mogła się jeszcze wycofać. Jak dotąd nie zrobiła nic złego. Mogła powrócić do swego dawnego życia albo urozmaicić je podniecającą przygodą. Uznała, że to drugie wyjście jest zbyt kuszące, by mu się oprzeć, i poszła dalej.

To był Lukę, tak jak myślała. Zamiatał w stodole. Był bez koszuli, jego ciało błyszczało od potu. Spodnie miał ubrudzone ziemią, buty pokryte kurzem. Uśmiechnęła się na widok jego włosów opadających w nieładzie na czoło. Każdy ruch miotłą napinał mięśnie i znowu dotarło do niej, jaki jest młody. Przerazona, że wyjdzie na idiotkę szukającą przygody w ramionach młokosa, omal nie uciekła. Lecz w tym samym momencie Lukę podniósł wzrok, zobaczył ją i było już za późno na odwrót.

Z rozpromienioną twarzą oparł się o miotłę.

- Przyszła mi pani pomóc? - spytał, uśmiechając się ironicznie.

- Świetnie radzisz sobie sam. Podeszła bliżej.

Musiał wyczytać coś w jej oczach, bo nagle spowaźniał.

- Czy może chce pani dotrzymać mi towarzystwa?

Od ryzyka, które podejmowała, zakręciło jej się w głowie.

- Tak, przyszłam, żeby dotrzymać ci towarzystwa - odparła cicho.

Z pożądania ścisnęło ją w gardle i z trudem przełknęła ślinę.

- W takim razie pokażę pani miejsce, gdzie będziemy sami.

Oparł miotłę o ścianę i po drabinie wspiał się na wyżki, gdzie przechowywali zebrany groch. Ruszyła za nim, nerwowo rozglądając się wokoło, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie widzi. Ale do stodoły wpadły tylko psy, które z nosami przy klepisku ścigały mysz albo szczura.

Lukę podał jej rękę. Ona podała mu swoją. Gdy znalazła się na górze, nie puścił jej, tylko przez stosy suchego grochu poprowadził do kąta bezpiecznie ukrytego w cie-

niu. Teraz już nie mogłaby zawrócić, nawet gdyby chciała -patrzac na jego szerokie ramiona, wiedziała, że to dobrze, uległa pokusie.

Bez ostrzeżenia odwrócił się i namiętnie ją pocałował. Miał miękkie, zmysłowe usta. Na chwilę odsunął ją od siebie, by sprawdzić reakcję. Uśmiechnęła się zachęcająco, patrząc w jego zielone jak mech oczy i pragnąc, żeby pocałował ją znowu. Zadowolony, że tak mile go przyjęła, objął ją, przyciągnął do siebie i rozchylił ustami jej usta, by zbadać językiem ich wnętrze.

Czuła gorąco jego ciała, czuła, jak uciska ją jego twarda męskość. Rozkoszny ból między nogami przybrał na sile, rozwiewając ostatnie wątpliwości. W tej chwili jedyną rzeczywistością była terażniejszość. Nie liczyły się ani dzieci, ani mąż. Nie była Georgią, żoną farmera, tylko po prostu Georgią - samotną wyspą.

Upadli na groch zbyt podnieceni, by roześmiać się na myśl o tym, że chcą kochać się w tak absurdalnym miejscu. Ale groch był zadziwiająco miękki i otulał ciało jak piasek. To, że mężczyzna, którego prawie nie знаła, dotyka jej skóry, przyprawiło ją o przyjemny dreszcz. Palce miał naładowane elektrycznością, prądem, którego od tak dawna nie czuła. Całował ją, pieścił delikatną skórę na szyi, a wszystko to powoli i niespiesznie, jakby rozkoszował się każdą skradzioną sekundą chwil, które mogły już nigdy nie powrócić. Rozpuściwszy jej włosy, rozłożył je wokół twarzy jak wachlarz, jak aureolę. Milczał, lecz gdy sunął ustami od policzka do skroni i od skroni przez szyję do mostka, po wyrazie jego twarzy poznała, że jest dla niego najpiękniejszą kobietą w świecie.

Poskromiwszy niecierpliwe pragnienie, by natychmiast posmakować jej całej, podparł się łokciem i wprawnymi palcami drugiej ręki zaczął rozpinać sukienkę, rozwijać ją jak

cukierek. Rozchylił dekolt, odsłonił jej ciało, aksamitne w przyćmionym świetle stodoły. Pozostawiając pod skórą palący ślad, powiódł wzrokiem po piersiach ukrytych pod koronkową bielizną, której jej mąż nigdy nie widział, po krągłym brzuchu i udach. Uśmiechnął się z podziwem i czubkami palców musnął jej podbrzusze, majteczki i uda. - Jesteś wspaniała! - tchnął cicho, a ona rozchyliła nogi, żeby go wpuścić. Powoli przesunął palcami po wrażliwej skórze wewnętrznej strony uda, dotknął najważniejszej części majteczek i tam znieruchomiał, czując wilgoć pożądania, która wsiąkła w jedwab. Georgia odchyliła do tyłu głowę, myśląc, że wsunie tam rękę, ale on... on rozpiął jej stanik. Sfrustrowana mocno zacisnęła uda.

Ze znaczącym uśmiechem spojrział na jej nagie piersi. Były duże i miękkie. Ujął jedną z zachwytem i podrażnił kciukiem sztywny sutek. Uniosła biodra, niemo błagając, żeby ją tam pocałował. I gdy to zrobił, gdy dotknął językiem tego najwrażliwszego miejsca, przeciągnęła się rozkosznie jak kotka. Gdy wreszcie wsunął palce pod majteczki, gdy poczuła ten niespieszny namiętny dotyk, głośno jęknęła i z oddaniem rozłożyła nogi. Unosząc się na fali pożądania, uległa całkowicie zmysłom i była teraz świadoma tylko tego, co czuje, tego, że nie może już zapanować nad odru-

chami. Włożył dwa palce do jej pochwy i znowu jęknęła, gdy wcisnął je najgłębiej, jak mógł, gdy zaczął wsuwać je tam i wysuwać, ślizgając się gładko w sokach jej podniecenia. Miała zamknięte oczy, lecz wiedziała, że obserwuje jej twarz. Ale za bardzo dała ponieść się emocjom, by odczuwać zażenowanie czy wstyd.

Zabrał rękę, ukląkł między jej nogami, ściągnął z niej majteczki i rzucił za siebie. Rozchylił jej nogi, szeroko, jeszcze szerzej, i spojrzał na nią, sycąc wzrok szczegółami kroczka. Potem pochylił głowę i zaczął lizać ją powoli od góry do dołu. Jęknęła z niewysłowionej rozkoszy. Wsunął w nią kciuk: wsuwał go i wysuwał, delikatnie pieszcząc językiem łechtaczkę, tam i z powrotem, w górę i w dół, najpierw subtelnie i ledwo wyczuwalnie, potem coraz silniej i pełniej, całą szerokością języka. Z płonącym rozkoszą brzuchem uniosła biodra, jeszcze bardziej rozchylając uda, modląc się, żeby nie przestał, bo doznanie było tak intensywne, że niemal bolesne. Nieprzytomna zatraciła się w nim jak we mgle, rejestrując jedynie śliski dotyk na łechtaczce i ucisk kciuka w pochwie. A potem zalała ją fala gwałtownych skurczów i wreszcie doszła. Nie dbając, czy usłyszy ją ktoś, czy nie, krzyknęła tak głośno, że odpowiedziało jej echo. A on, on zabrał rękę dopiero wtedy, gdy po raz ostatni drgnęła, znieruchomiała i zwiotczała z rozrzuconymi na grochu nogami i rękami za głową. Sennym wzrokiem patrzyła, jak wchodzi w nią swoim dumnie sterczącym członkiem. I radośnie sapnęła, gdy wypełnił ją po same brzegi. Widziała jego twarz, spiętą od zbliżającego się orgazmu. Steżało mu ciało, stwardniały mięśnie brzucha i ramion; zamknął oczy, by przeżyć tę cudowną chwilę w całkowitym skupieniu.

Długo leżeli spleceni w uścisku, mokrzy od potu i dowodów skradzionej rozkoszy. A potem Georgia się roześmiała. Śmiała się ze szczęścia, poczucia winy, z perfidii i dumy, bo pierwszy raz w życiu zaznała tak fantastycznego seksu.

- Jesteś boska. Lukę wziął ją za rękę.

- Nie wiedziałam, że to w sobie mam - odrzekła.

- A ja tak, od chwili, kiedy cię zobaczyłem.

- Naprawdę? Usiadł i pocałował ją.

- Jesteś stworzona do lizania.

- A ty jesteś w tym znakomity. Nawet się nie zaczerwieniła.

- Bo śliczna tam jesteś.

- Zrobisz to kiedyś jeszcze raz?

- Kiedy tylko zechcesz. - Pocałował ją w szyję. - Ale nie wkładaj już majteczek. Tylko przeszkadzają.

- Wszystko dla pracowników szefa - rzuciła z uśmiechem. - Dobra ze mnie żona, co? Nakarmić was i od razu jesteście wydajniejsi.

- Święta racja! Niestety, szef nigdy się nie dowie, jaki z ciebie skarb.

Tego wieczoru Mark wrócił późno. Zastał Georgię w kuchni - piekła ciasteczka.

Uśmiechnął się, widząc, jak pięknie wygląda.

- Nie zgadniesz, co się dzisiaj stało. - Odwróciła się, by na niego spojrzeć. - Byłem z chłopakami w warsztacie, i kto tam nagle wpada? Sambo. - Zesztywniała. Uśmiech zastygł jej na twarzy jak kamienna maska. - Wiesz, co miał w pysku? - Pokręciła głową. - Damskie majtki!

- Coś ty! - Roześmiała się sztucznie, ale on zawtórował jakby nigdy nic.

- Tak, najładniejsze, jakie kiedykolwiek widziałas! Któryś z chłopaków musiał zaliczyć panienkę. - Z podziwem uniósł brwi. - Babkę z klasą, bo te majteczki... No, no. - Podeszedł bliżej i objął ją w talii. - Co przypomniało mi, ile tracimy. - Pocałował ją w szyję. - Jesteśmy małżeństwem od piętnastu lat, ale to wcale nie znaczy, że przestaliśmy mieć na siebie ochotę. Napijemy się wina, chcesz? A potem może trochę... powspominamy. - Odsunął się i spojrzał na nią. - Jesteś taka piękna. - Zmrużył oczy. - Zanedbuję cię. Zazdrości mi każdy facet, który cię widzi, a ja zostawiam cię tu samą. Chyba zwariowałem!

Georgia upajała się mężowską uwagą i zainteresowaniem.

- Chętnie - odparła z uśmiechem, bo nagle zrozumiała, że to właśnie jego od początku pragnęła.

- I wiesz - dodał - może byś kupiła takie majteczki, co? - Znacząco uniósł brwi. - Są naprawdę... hmm... odlotowe!

MARMALADA BATES

Życie na wsi

Fiona

Kłopot z tymi od przeprowadzek polega na tym, że wszystko trzeba dobrze pochować. Przez cały prawie wieczór owijałam stare wibratory w ściereczki do naczyń, potem w kapę, a jeszcze potem w kuchenne zasłonki. Ale warto było. Dopóki któryś nie zacznie wykazywać niezdrowego zainteresowania pasmanterią, powinnam być bezpieczna. Resztę schowałam pod pudłem Nicka, tym ze sprzętem do nurkowania. Zwłaszcza kilka polaroidowych zdjęć penisa mojego byłego męża i album ze zdjęciami wiktoriańskich dam o wielkich pupach, który Nick ukradł z biblioteki uniwersyteckiej. Podobno przeprowadzka jest dla dorosłych jedną z dziesięciu najbardziej stresujących rzeczy. Teraz już wiem dlaczego. Bo wiem, co najpierw wypadnie na jezdnię, jeśli w drodze do naszego nowego domu dojdzie do wielkiego karambolu na dziesięć samochodów. To, że mój były podpisał wszystkie fotki moim imieniem i nazwiskiem, na pewno mi nie pomoże.

Nick

Zegnaj, przeklęty Londynie. Nareszcie. Nie będę za tobą tęsknił, chociaż Fiona się martwi, że przeprowadzka na wieś jest jak wyprawa na Antarktykę. Myśli, że nie będzie tam miała przyjaciół, tymczasem ja uważam, że nasze życie towarzyskie na pewno się polepszy.

Oczywiście seksualne też. Oby. Ha, ha!

Nie rozmawialiśmy o tym, ale trzy miesiące bez seksu zrobiło ze mnie onanistę. Ten wiktoriański album zabieram do łazienki tak często, że wypaczyły się okładki. Ciekawe, gdzie Fiona go schowała. Ci z uniwerku zabiją mnie, jeśli się dowiedzą, że to ja go świsnąłem.

Fiona

O Boże! Wiedziałam, że tak będzie. Mam jeszcze jeden wibrator, o którym zupełnie zapomniałam, i jestem pewna, że leży w dolnej szufladzie szafki nocnej na samym końcu ciężarówki. Oczywiście schowałam go do skarpetki, bo umarłabym ze wstydu, gdyby go znaleźli, ale baterie są nowe i jeśli się przypadkowo włączy, kierowca zatrzyma ciężarówkę, żeby sprawdzić, co tak buczy pod maską: jedno doprowadzi do drugiego, no i... Nie mogłam tego znieść.

Ten nowy kupiłam przez Internet, bo stary mi się znudził. Jest jaskrawofioletowy, olbrzymi i dziwnie świszczę. Wygląda jak fallus władcy z innej planety. Chyba naprawdę wzorowali się na jakimś kosmicie, bo nawet żyły ma na odwyrtkę.

Oczywiście wszystko przez Nicka. Gdyby trochę częściej wychodziło mu w łóżku, niczego takiego bym nie potrzebowała. Jesteśmy małżeństwem dopiero od dwóch lat i już się poddajemy. Jest gorzej niż z moim byłym, a myślałam, że on - to już zupełne dno.

Nick

Wszystkie książki na temat płodności i zapłodnienia (a ostatnio prawie nic innego nie czytam) mówią, że trzeba się zrelaksować, wyluzować i spuścić parę, i że wtedy wszystko przyjdzie samo. W jednej piszą dużo o spaghetti i czerwonym winie, ale dla nas rada ta jest do bani, bo na widok spaghetti Fiona zniechęcająco burczy, choć alkohol jej nie przeszkadza.

Mamy różne pomysły na najlepszy sposób zajścia w ciążę. Moje krążą wokół dobrego żarcia, picia, świeżego powietrza i życia na wsi - no i wokół rypanka, ale takiego spontanicznego, nie planowanego. Natomiast jej ograniczają się do sałatek owocowych i do tego, żeby robić to tylko w pozycji klasycznej, żeby nic przypadkiem nie wypadło albo nie wyciekło. Aha, i do częstego korzystania z termometru, żeby sprawdzić, czy „to już”. Nic dziwnego, że przestaliśmy się kochać.

Fiona

Muszę przestać myśleć o tych od przewodzek i o fioletowym wibratorze kosmity. Zaczyna mi to przesłaniać inne zmartwienia, jak choćby przystosowanie się do życia w no-

wym domu. Nickowi łatwo powiedzieć, żebym przestała się tak zadreć. To nie on będzie musiał gotować w wielkiej, zimnej szesnastowiecznej kuchni. To jedno z tych miejsc, gdzie krzyczy się: „Szczur!”, zanim się tam wejdzie.

Nick

Zakochałem się w tym domu, kiedy tylko uniwersytet zaproponował mi wynajem. Ponieważ zbudowano go w 1590 roku, umowę przedstawił najpierw pracownikom wydziału historycznego i tak się przypadkiem złożyło, że miałem fart. Według mnie, dzięki każdej kolejnej dobudówce - a przez kilkaset lat przybyło ich całkiem sporo - stawał się coraz ciekawszy.

Myślę, że tak czy inaczej Fiona pozostawi w kuchni swój ślad. Może znowu zacznie robić te swoje marmolady i dżemy.

Fiona

Jego logika jest prosta. Ponieważ już nie pracuję (tak w ogóle, bo nie robię nawet mojego ulubionego dżemu rabarbarowego), na pewno odprężę się, rozluźnię i nagle zajdę w ciążę. Pewnie wyobraża sobie, że kupimy stare łóżko z baldachimem i spędzimy w nim całą zimę, wstając tylko po mleko i gazety. Ale ja nie jestem tego pewna. Samo bezrobocie mnie nie rozluźni. Poza tym kto powiedział, że cisza i spokój to gwarancja ciąży? Ojciec zawsze powtarza, że zanim przyszedłem na świat, moja matka była najbardziej znerwicowaną kobietą w Londynie.

Nick

Kiedy ci od przeprowadzek wreszcie odjechali, zacząłem rozpakowywać stary sprzęt do nurkowania, gdy nagle na drugim końcu domu słyhać potworny wrzask.

- Cholera! Co się stało?

- Pies! - krzyczy Fiona. -Co?

- W naszym pokoju jest pies! Dlaczego go wpuściłeś?

- Nikogo nie wpuszczałem.

Przeszukuję pokój za pokojem, a ona siedzi po turecku na kuchence. Zawsze bała się psów i żebym nie wiem co mówił, wciąż się ich boi.

Pies, posokowiec, musi należeć do sąsiadów i pewnie przy najbliższej okazji przeproszą nas, a może nawet postawią kielicha. I fajnie. Mimo to sprawdzam pokoje jeszcze raz, zaglądam za wszystkie drzwi i wszystko zamykam, a potem wymachuję jej przed nosem kluczami, żeby się uspokoiła.

Fiona

Po tym wszystkim kładę się wcześniej spać. Zostawiam dla Nicka mrożone krokiety z mięsem (nie może narzekać, bo sama je zrobiłam) i mam na dzisiaj dosyć. Nie mogę znaleźć koszuli nocnej ani szlafroka, więc wkładam jego starą koszulkę do rugby. Ale najpierw wygrzebuję wibratory: owijam je w ściereczki do naczyń i chowam na szafie, z dala od wścibskich oczu i ślepiów. Tylko tego by brakowało, żeby porwał je pies.

Nick

Cóż mogę powiedzieć'? Znowu poszła wcześniej spać. Podpisując umowę wynajmu, bardzo liczyłem na tę pierwszą noc prawdziwie domowej szczęśliwości. Ale romantyczność szesnastowiecznej sypialni wcale na Fionę nie działa. Gdy się w końcu kładę, gdzieś koło północy, ona już chrapie.

Schowała wibratory na szafie i pewnie myśli, że jest sprytna. Prawdopodobnie dlatego tak przedtem wrzeszczała. Pies, akurat. Chciała po prostu odwrócić moją uwagę, żebym nie zdążył otworzyć pudełka z tym wielkim fioletowym fiutem.

Znalazłem go wieki temu, bo świszczwał w nogach łóżka. Szczerze mówiąc, to między innymi dlatego mi ostatnio nie staje. No i przez zdjęcia klejnotów rodzinnych jej byłego męża. Widziałem jedno i drugie, ale ona o tym nie wie.

Fiona

Wieczorem nie chciało nam się powiesić zasłon, więc budzi mnie słońce. Otwieram oczy i widzę, że Nicka już nie ma. Pewnie poszedł na wyprawę badawczą do wsi. Nagle słyszę dziwny głos w korytarzu.

-Puck!

Co? To nie Nick. To jakaś... kobieta. - Puck! Ty wstrętny, zziajany obżartuchu! Z kością w pysku do sypialni wbiega pies, którego widziałam wczoraj. Wbiega, widzi mnie i wybiega.

Próbuję być dzielna, ale nic z tego. Psy działają na mnie tak jak na innych pająki.

Raptem za drzwiami przebiega naga ruda kobieta. Z butami w ręku ściga psa, a tuż za nią pędzi grubas w szesnastowiecznym stroju, wymachując wielkim, sztywnym członkiem.

Dzięki Bogu. Psa nie ma. Nie ma żadnego posokowca. To tylko zły sen - musi mi się to śnić. Czekam na znajome kliknięcie w głowie, żebym mogła się obudzić.

Ale chociaż bardzo chcę uciec z tego sennego koszmaru, pies ani drgnie. I raptem dzieje się coś jeszcze gorszego. Potrząsając wielkim biustem, do pokoju wpada naga kobieta, ta ruda, a tuż za nią grubas. Wpadają i zaczynają kopulować na podłodze.

Kobieta ma pod pupą czerwony gobelin. Patrzę raz, patrzę drugi. Wczoraj go tam nie było.
- Nie zawiodę, zaspokoję twą chuć! - obiecuje grubas. Siada, chwyta rudą za ręce i kładzie je sobie na członku.

Ruda śmieje się, ruchem głowy wskazuje buty i recytuje:

- Krzyżuję trzewiki w literę „T”, aby mój luby widział tylko mnie.

Grubas każe jej zmienić rękę z lewej na prawą i znowu ukrywa członek w jej dłoni.

- Jedna rączka u zajączka, druga rączka u zajączka. Jak te rączki zaczną skakać, trudno będzie nam je złapać!

Ruda śmieje się, bo facet odwraca ją i bierze od tyłu.

Babka ma małą pupę, zgrabną i całą białą od pudru, jakby posypała ją workiem mąki. Głośno jęczy, zatyka sobie usta pięścią, a on posuwa ją i posuwa. Nagle zmienia zdanie i przewraca ją na plecy. Ruda natychmiast rozkłada nogi i grubas pieści ją palcami.

- Twa sadzawka jest źródłem mej rozkoszy - mówi i zaczyna ją tam całować.

Ruda dyszy, sapie i pojękuje.

W pewnej chwili podniosą pewnie wzrok, zobaczą, że patrzę i zaproszą mnie do trójkąta.

Wtedy obudzę się z tym nieznośnym bólem między nogami, spięta, podniecona i niezaspokojona, co często mi się zdarza, zwłaszcza rano.

A ruda jest wspaniała. Ma kręcone włosy, jasną cerę i piegi na całym ciele - a jej pojękiwanie brzmi niemal jak muzyka.

Nagle wstaje, wybiega z pokoju i wraca z moimi wibratorami. Trzymając jeden w jednej ręce, drugi w drugiej, zaczyna nimi wymachiwać, jakby były najśmieszniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziała. W1590 pewnie były.

Wtedy nareszcie się budzę. Jest tylko jeden problem. Owinięte ściereczkami wibratory, które poprzedniego dnia tak dobrze schowałam na szafie, zniknęły.

Nick

Cieszę się, że tak wcześnie wstałem i poszedłem na spacer. Jeśli jest to typowa wieś, chcę tu zostać na zawsze.

Nie ma żadnych taksówek, żadnych pijaków; czyściutkie powietrze. Wstać z łóżka, pójść nad rzekę i usłyszeć świergot budzących się ptaków - w Londynie można tylko 0 tym pomarzyć.

Próbowałem obudzić Fionę, żeby ze mną poszła, ale spała jak zabita. Może przez to świeże wiejskie powietrze.

Fiona

Przeklęty Nick, niech go szlag trafi. Po tym śnie jestem tak podkrecona, że nic mnie już chyba nie odkręci, a nie mogę znaleźć wibratorów. Pewnie w napadzie szału wyrzucił je do śmieci. Powinnam była powiedzieć mu o tym nowym, fioletowym, ale uznałam, że szkoda zachodu. No

1 teraz zdarzyło się najgorsze: rozpaczliwie chcę dojść i nie mogę, a przynajmniej bez niego. Łajdak. Gdzie on jest? Palcami? Zawsze byłam w tym beznadziejna.

Nick

Wracam do domu i słyszę, że Fiona jęczy w sypialni tak głośno, że muszą słyszeć ją wszyscy sąsiedzi. W łóżku jest zwykle cicha i spokojna, a tu proszę: aż uszy puchną. Tak się przypadkiem składa, że od razu mi staje, więc bez wahania się do niej przyłączam.

Miałbym olać ten współczesny cud?

Jest tylko mały problem. Kiedy wchodzę do sypialni, okazuje się, że to nie ona.

Fiona

Masturbuję się, masturbuję i po dwudziestu minutach mam dość. Nic z tego. Pewnie za bardzo przyzwyczaiałam się do tego szybkiego ustrojstwa na baterię. O Boże! I co teraz? Może jeśli zasnę, moja dolna połowa zaśnie razem ze mną...

Nick

Wchodzę do sypialni i widzę ładną jasnowłosą pokojówkę w czepku i fartuszkach: z szeroko rozłożonymi nogami siedzi na krześle i zabawia się ze sobą, raz po raz zanurzając palce w dzbanku ze śmietaną. Po drugiej stronie pokoju inna pokojówka chłoscze ciemnowłosego mężczyznę wiązką różeg. Facet ma już czerwony tyłek. Jedną rękę opiera o okno, drugą podtrzymuje lewą nogę.

Jest w peruce i w butach, a spodnie ściągnął tylko do kolan. Samobiczowanie - w osiemnastowiecznym stylu. Pokój to chyba nasza sypialnia, chociaż są tu również rzeczy, których nie pamiętam. Choćby kominek i miech. Dobrze, że ogień się pali, bo zimno tu jak w psiarni.

Fiona

Musiałam szybko zasnąć, bo natychmiast przyśnił mi się kolejny sen. Kobieta rodem z powieści Jane Austen chłoscze jakiegoś mężczyznę szczotką domowej roboty, a z krzesła przygląda im się pokojówka. Od czasu do czasu macza palce w dzbanku ze śmietaną i masturbuję się, głośno jęcząc, ilekroć szczotka ląduje na gołym zad-

ku tamtego. Facet jest smagły, wysoki i nawet seksowny -no i młody, w przeciwieństwie do tamtego grubasa. Nigdy nie myślałam, że spodoba mi się mężczyzna w peruce, ale mężczyzna chłostany, w dodatku na moich oczach, to zupełnie inna sprawa. Ma mocno umięśnione ręce i uda, jakby dużo jeździł konno.

Chyba ma już dość szczotki, bo stawia nogę na podłodze, odpycha się od okna i klęka przed pokojówką, tą na krześle. Jego penis jest wprost nieprawdopodobny: wielki, ciemny i cudownie twardy.

- Mam wielką ochotę na twój koralowy guziczek -mówi, całując ją i pieszcząc łechtaczkę. Nagle widzę, że w pokoju jest ktoś jeszcze. To Nick, równie wstrząśnięty jak ja.

- Co ty tu robisz? - pytam, bo Nick śni mi się bardzo rzadko.

- O to samo mógłbym spytać ciebie - odpowiada z uśmiechem.

- Och, lepiej już się zamknij.

- Co o tym myślisz? - pyta.

- Podoba mi się ten facet. Jest absolutnie boski.

I nagle mój boski, smagły facet o imponującym członku wszystko psuje, bo posłusznie kładzie głowę na kolanach pokojówki, a ta zaczyna go iskać, szukać wszy w peruce.

Nick parska śmiechem.

- A teraz? - pyta.

- Bądź tak miły i zniknij z mojego snu.

- Dobrze, już dobrze.

Ale w tym momencie pokojówka, ta na krześle, wyjmuje spod halek dwa przedmioty.
- Wenus i Kupidyn! - mówi i wręcza moje wibratory klęczącemu mężczyźnie.
Nick śmieje się tak głośno, że chyba zaraz się obudzę. I gdybym tylko przestała gapić się na tego niesamowitego faceta, pewnie bym się obudziła.

Nick

Fiona śniła mi się kilka razy, ale nigdy tak. Pewnie przez te krokiety, które mi zostawiła - nie do końca się rozmroziły.

W pewnej chwili zdaję sobie sprawę, że będę musiał się obudzić, ale nie wiem, czym to się skończy. Jestem wciąż poza domem i zasnąłem na łące? Czy może wróciłem do łóżka?

Fiona

Widok chłostanego mężczyzny i pokojówek przypomniawszy mi początki mojego związku z Nickiem, kiedy to obydwójmy martwiliśmy się, że nie zajdę w ciążę. To głupie, że pomyślałam o tym akurat teraz, po tym, jak niemal cały czas poświęciliśmy na te wszystkie próby. Ale kiedyś on też przede mną klękał. Tylko że nigdy nie nazywał tego koralowym guziczkiem. Nazywał to po prostu... Nieważne. Na pewno sobie przypomnimy.

Nick

I raptem słyszę:

- Niech piekło pochłonie ten parszywy tysiąc dziewięćset szesnasty!

Znowu jestem w naszej sypialni, tylko że nie jest to już nasza sypialnia, bo za bardzo się tu zmieniło. Jakiś żołnierz rozpakowuje brązową skórzaną walizkę, pijąc whisky z butelki. Jest Nowy Rok albo coś koło tego. Na parapetach leży śnieg, a na kominku stoi samotna kartka świąteczna.

Żołnierz wyjmuje z walizki dwie pary jedwabnych pończoch, dwie podwiązki i rzuca je na łóżko. Potem wyjmuje koszulę nocną, sznur koralikowy, słoiczek wazeliny, prezerwatywę i świeczkę. No i oczywiście wibratory Fiony.

Mój umysł rejestruje tyle szczegółów historycznych, że zaczynam imponować sam sobie. Nie specjalizuję się w dwudziestym wieku, ale prezerwatywa - widnieje na niej napis: **NAJNOWSZY KONDOM. JEDWABISTY W DOTYKU. PRĘDZEJ SERCE CI PEKNIĘ** - wydaje się autentyczna, podobnie jak „News of the World” na kominku: seks i morderstwa - nagłówki są takie jak zwykle, tyle tylko że pochodzą z lat dwudziestych minionego stulecia.

Przez chwilę martwię się, że we śnie zdarzy się coś strasznego, bo żołnierz jest trochę dziwny i wcale mi się nie podoba. Ale wtedy na łóżku pojawia się Fiona w mojej starej koszulce do rugby.

Fiona

Patrzę na żołnierza i od razu widzę, że cierpi na nerwicę frontową albo na depresję, albo na jedno i drugie. Ma worki pod oczami i od dawna się nie golił.

- Pragnę stosunku z kobietą, której nie szanuję - mówi i bierze mnie za rękę.

Głaszczę go po ramionach, ignorując Nicka, który się na nas gapi. Żołnierz wygląda tak, jakby miał się zaraz rozpłakać.

- Za często bywam na Long Acre, na Jermyn Street i Half Moon Street.

- Nie szkodzi - odpowiadam, domyślając się, że to dzielnica burdeli. - Na pewno nie ty jeden.

- Kochałem się z dziewczyną w Hyde Parku i musiałem zapłacić mandat, wszystkie pieniądze, jakie przy sobie miałem.

- Tak bywa.

- Walczyliśmy, oddawaliśmy za Anglię krew! - mówi z wyrzutem i znowu pociąga z gwinta.

Zdejmuję mu czapkę, ściagam marynarkę i łagodnie sadzam go na łóżku naprzeciwko mnie. Wycieram łzy, bo już płacze - no i zaczynam rozpinać mu pasek.

Pragnę tego młodego żołnierza. Ma najwyżej dwadzieścia jeden lat, ale ja bardzo, ale to bardzo go chcę. I coś mi mówi, że on chce mnie, chociaż mam na sobie starą koszulkę Nicka.

Nick

Z historii tamtych czasów najbardziej pamiętam to, że wśród brytyjskich żołnierzy szalały choroby weneryczne. Cholera jasna, co ta Fiona wyczynia? Albo zamierza?

I nawet wtedy, w tym obłąkanym śnie, przypomina mi się coś niezmiernie ważnego: próbujemy zajść w ciążę. Jeśli żona złapie coś od tego skurwiela, będzie koniec - i w tym momencie przestaje mnie obchodzić, czy to jawa, czy sen.

Fiona

Mam teraz wybór. Żołnierz - który rozpaczliwie mnie pragnie - albo Nick. Coś mi mówi, że żołnierz doszedłby w pięć minut, ale wiem, że gdybym ładnie go poprosiła, mógłby wytrzymać i całą noc, jak to młodzik. Może mu jednak pomóc? Trochę go podszkolić? Wyczerpany żołnierz czyta w moich myślach.

- Naucz mnie - szepcze, a ja zaciskam powieki i zaczynam rozpinać koszulkę.

Ale gdy otwieram oczy, widzę, że to Nick ją ze mnie ściąga i że to jego język liże moje piersi.

Nick

Pojękiwanie pokojówki z tamtego snu, tej od klęczącego faceta w peruce, każe mi dać trochę przyjemności i Fionie. Pora się obudzić. No? Na co czekasz? Przecież tego chcesz.

Fiona

Skoro wyrzucił wibratory do śmieci, może przynajmniej zrobić mi dobrze językiem. Ale to dla niego tak niezwykle, że wydaje się częścią snu.

Nick

Wciąż jestem wstrząśnięty tym, jak bardzo byłem zazdrosny o tego żołdaka. Teraz już rozumiem, dlaczego niektórzy mogą w tym stanie zabić.

Fiona

Wczuвам się w rytm ruchów jego języka i przypomina mi się rymowanka tej śmiesznej rudej kobiety: „Krzyżuję trzewiki w literę »T«, aby mój luby widział tylko mnie”.

Raz delikatnie, raz mocno. Delikatnie i mocno... Jeśli nie przestanie, chyba zemdleję.

Nick

To nie sen. To musi dziać się naprawdę. Inaczej nie wbijałaby mi tak mocno paznokci w plecy. Poza tym wszystko jest tak, jak było. Budzik przy łóżku. Nagie okna. Okruszki krokietów na talerzu.

Fiona

Wystarczy tylko, że pomyślę o tym żołnierzu i prawie odlatuję. Czy to zdrada? Czy wolno mi myśleć o biednym żołnierzyku, który tak bardzo mnie pragnie?

Nick

Wiem, że jeśli opowiem jej moje sny, przestanie nad sobą panować i od razu dojdzie. Ale w sumie... czemu nie?

Fiona

Opowiada mi swoje sny - sęk w tym, że są również moje. Zapomniałam już, jak zmysłowy ma głos, jaki niski i poważny. Głos doskonały dla historyka. Z palcem na koralowym guziczku mogę słuchać go godzinami.

Nick

Mało jest większych przyjemności niż bezsensowny seks z ukochaną. Czy to ja, czy Boswell? A może Pepys? Z jej ciałem już skończyłem. Teraz pora na umysł.

Fiona

Opowiada mi o tym śniadym mężczyźnie z olbrzymim członkiem, który trzął się przy oknie od różeg pokojówki. Potem o jasnowłosej pokojówce z palcami w śmietanie. A jeszcze potem coś mi pokazuje. Znalazł moje wibratory pod prześcieradłem. Starą, wierną Wenus i Kupidyna. Zastanawiałam się, co się z nimi stało.

Nick

Musiała schować je w kominku. Albo pies włoczył je po całym lesie. Bo są prawie nie do rozpoznania, ciemne, jakby nadpalone i brudne. Ten fioletowy zupełnie szerniał.

A ten drugi jest tak zużyty, że w ogóle nie przypomina wibratora. Wyglądają tak, jakby zrobiono je... W każdym razie nie z plastiku. Jakby ktoś cofnął je w czasie.

Fiona

Czy to możliwe, że obydwójce mieliśmy te same sny? A może dzieliliśmy je z każdym, kto mieszkał kiedyś w tym domu? Muszę spytać o to Nicka. Jeśli w ogóle zechce nam się o tym gadać.

HARRIET PETERS

Paw

Flanner twierdzi, że każdy mężczyzna ma prawo do jednej zachcianki. Zachcianką mojego męża jest paw.

- Głupie, stare ptaszydło - mruczę, gdy ściąga mi bluzkę z ramion. - Nie składa jaj. Nawet nie gdacze, tylko od czasu do czasu krzyczy. Po co komu taki wypłosz?

W takich sprawach Flanner lubi brać stronę mojego męża. Ma wtedy mniejsze wyrzuty sumienia, że gzi się z jego żoną.

- Mary - mówi. - Nie wszystko musi być po coś... Nie rozpinając wszystkich guzików, zsuwa mi bluzkę

i odsłania piersi. Mam unieruchomione ręce, więc wyjmuję je delikatnie ze stanika, pochyla głowę i powoli całuje sutki, ssie je, aż zaczynają sterczeć.

- Na przykład to. - Podnosi głowę. - Czy to jest po coś? Fakt. Flanner to nasz majster do wszystkiego, złota

rączka. Zatrudniliśmy go do naprawy przeciekającej wieży ciśnień. Miał dostać pieniądze dopiero po skończonej robocie, i to ledwie kilka dolarów. Mój mąż haruje jak wół,

wstaje o świcie i nie wypiuwszy nawet kubka kławy, od razu idzie do obory. A ja? Oprócz Flannera, który przychodzi do nas tylko raz na jakiś czas, nie mamy do pomocy nikogo innego, dlatego cały dom, kury, warzywniak, zielnik (dzięki któremu co sobotę przywożę z targu trochę grosza), pranie, gotowanie... wszystko to spada na mnie. Jako młoda dziewczyna miałam piękne ręce.

No i jest jeszcze paw, smukły, parszywy paw, który siedzi na płocie i nie chce nawet rozłożyć ogona. Czasem widzę, jak mąż patrzy na niego z tępą, wygłodniałą miną, jakby chciał zrzucić go stamtąd siłą woli. Paw należy do niego, a Flanner do mnie. Jest moim kaprysem. Lubie, kiedy mnie rżnie, ostro i tak po prostu, kiedy, opierając się tyłkiem o kredens, widzę nasze odbicie w lustrze na komodzie dokładnie naprzeciwko: jego twarz ukrytą w zagłębieniu mojego ramienia, moją rękę w jego włosach z tyłu głowy, jego biodra opasane moimi grubymi nogami... Kiedy zadziera wysoko głowę i zaczyna dźgać mnie ze wszystkich sił, obserwuję jego twarz: widzę wtedy, jak przestaje nad sobą panować, jak zatracił się w jego podnieceniu, przestaje panować nad sobą ja, i żałuję, że nie ma tu wszystkich mieszkańców Indigo w Dakocie Południowej, że na nas nie patrzą, nie widzą, jacy jesteśmy piękni.

Zaczęło się to miesiąc temu. Mąż zatrudnił go na targu. Czasem musi nam pomagać ktoś taki jak on, bo bywa, że w obejściu psuje się tyle rzeczy naraz, że jeden człowiek sobie nie poradzi. Nigdy z niczym nie nadążamy, Abel i ja. Drzwi naszej stodoły zawsze zwisają z zawiasów, płoty zawsze są krzywe - tak samo w domu. Żebym nie wiem jak często zamiatała pył nawiany z prerii przez wiatr, żebym nie wiem jak często bielila zlew, brud życia okrywa nas jak gruby koc.

Tak samo czułam się i wtedy. Przestałam spoglądać w lustro, ale wiedziałam, że na moich skroniach pojawiły się siwe pasemka. Jak to możliwe? - myślałam. Tak szybko, w dodatku bez dzieci? To ostatnie można łatwo wyjaśnić. Od nocy poślubnej mój mąż ani razu mnie nie dotknął.

Musiałam widzieć Flannera już wcześniej, pewnie gdzieś w mieście, ale przyjrzałam mu się dokładniej dopiero wtedy, kiedy do nas przyszedł. Przysadzisty, potężnie zbudowany i trochę niższy ode mnie, miał duży, haczykowaty nos i małe, ciemne oczy, tak że wyglądał trochę jak jastrząb. Coś było nie tak z jego twarzą, chociaż trudno powiedzieć co. I nigdy się nie uśmiechał.

- Pani Hanson - powiedział i skinął na powitanie głową.

Wskazałam ścierką stodołę.

- Mąż jest tam.

Kiedy się odwrócił, zobaczyłam, że na karku ma mięśnie jak powrozy.

Przez pierwsze dwa tygodnie prawie z nim nie rozmawiałam. Ale czasem patrzyłam, jak rozebrawszy się do pasa, włazi na wieżę z młotkiem zatkniętym za pas spodni i sterczącymi z ust gwoździami. Słońce chyba mu nie przeszkadzało. Zdekoncentrował się tylko raz, kiedy człapiący przez środek podwórka paw nagle krzyknął. Stałam akurat

przy oknie w kuchni i widziałam, jak wystraszony upuszcza młotek, który spadł z trzaskiem na skrzynkę z narzędziami. Wtedy przestraszył się z kolei paw: zaczął machać skrzydłami - kiepsko latał - aż wzbil się w powietrze i wylądował na płocie po lewej stronie wieży, gdzie przysiadł, spuścił długi ogon, odwrócił głowę i zaczął przypatrywać się Flannerowi okrągłym podejrzliwym okiem.

Flanner zaklął i zszedł na dół po młotek. Wyprostowawszy się, zobaczył mnie w oknie. Spotkaliśmy się wzrokiem. On patrzył na mnie, ja na niego, obydwójce bez uśmiechu. I tyle. Po prostu patrzyliśmy na siebie.

Minął weekend i myślałam, że jak zwykle przyjdzie w poniedziałek rano. Ale ze stodoły wrócił Abel, zjadł na śniadanie smażony chleb z jajkami, a Flannera wciąż nie było.

- Ten od wieży dzisiaj nie przyjdzie? - spytałam naj-obojętniej, jak umiałam. - O tej porze zwykle już jest.

Abel pokręcił głową.

- W sobotę widziałem go w mieście. Musi skończyć jakąś robotę.

- No wiesz? - rzuciłam gniewnie, zabierając mu sprzed nosa talerz i wkładając go z trzaskiem do zlewu. - Czemu mu nie powiedziałaś, żeby najpierw skończył u nas? Dość już się naczekaliśmy.

Abel nie lubił się kłócić.

- Chyba tak - mruknął.

- To dlaczego nie kazałaś mu przyjść?

- Niedługo przyjdzie. - Wstał. - Idę. Nie chcę odrywać cię od pracy.

Flanner nie pokazywał się przez cały tydzień, aż zdałam sobie sprawę, że na niego czekam, i to właśnie wtedy zaczęłam przyciskać się brzuchem do zlewu i po pięć razy myjąc te same statki w ciepłej wodzie z mydlinami, wyobrażać sobie, że staje za mną, że pochyla mnie do przodu, że jedną ręką chwyta za szyję, a drugą zadziera sukienkę. Od tamtego dnia zaczęłam też czesać z rana włosy, zamiast jak zwykle zwijać je w kok i przetykać szpilką. I znowu zaczęłam przeglądać się w lustrze.

Przyszedł w połowie następnego tygodnia. Pewnego ranka stanął po prostu w drzwiach. Przestałam już na niego czekać, dlatego tak się przestraszyłam, gdy, odwróciwszy głowę, zobaczyłam, że tam jest.

Spojrzał na mnie i powiedział:

- Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć.

Czułam, że mam przyspieszony oddech, że piersi podnoszą mi się i opadają, czułam, że on też to czuje, chociaż stał w progu, bo miał zakurzone buty. Zirykowało mnie, że ma nade mną przewagę, nie tylko dlatego, że tak mnie zaskoczył, ale i dlatego, że przez cały tydzień wiedział, kiedy przyjdzie, a ja nie.

Odwróciłam się, mamrocząc:

- Zanim pan skończy, połowa wody wycieknie... Kiepsko to zabrzmiało. Kiedy spojrzałam na drzwi, już go nie było.

Przez parę dni pracował, nawet nie zerkając w stronę domu. Koło południa schodził z wieży, siadał w cieniu, otwierał plecak i jadł chleb z serem. Kilka razy zajrzał do

stodoły, żeby porozmawiać z Ablem. Któregoś popołudnia wbiegłam na górę i zobaczyłam, jak idą gdzieś przez kukurydzę z naszymi rozszczekanymi, podskakującymi wokoło psami. Potem zeszłam do kuchni, usiadłam przy stole, spojrzałam na swoje brudne paznokcie i ogarnął mnie smutek. Jesteś głupia, Mary, pomyślałam.

Tego dnia pod wieczór w końcu do mnie podszedł. Wywiesiłam pranie na podwórku i wracałam przez werandę z pustym koszykiem. Już miałam wejść do domu, gdy nagle słyszę:

- Pani Hanson.

W ręku trzymał buty. Podniósł jeden. But miał pękniętą sznurówkę.

- Przepraszam za kłopot, ale czy mógłbym pożyczyć sznurówkę męża? W domu mam zapasową, ale wóz mi nawalił i przyszedłem piechotą. Jutro rano zwrócę nową.

- Na pewno jakąś znajdę. Jakiego koloru? Spojrzał na buty.

- Wszystko jedno. Najlepiej starą. Nowej szkoda na takie łapcie.

Poszłam do komórki pod schodami, otworzyłam pudełko z zapasowymi szpargałami i wróciłam z dwiema nowymi brązowymi sznurówkami.

- Niech pan weźmie te - powiedziałam stanowczo. -I obrażę się, jeśli je pan zwróci.

Abel i ja nie byliśmy bogaci, ale coś mi mówiło, że stać nas na nowe bardziej niż jego.

Abel wspominał nawet o kupnie radia.

Kiedy podałam mu sznurówki, a on je wziął, dotknęliśmy się palcami.

Potem usiadł, a ja stanęłam w drzwiach, żeby popatrzeć, jak sznuruje buty. Skończywszy, wstał, nie patrząc na mnie, krótko skinął głową i jakby od niechcienia spytał:

- Będziecie państwo w piątek?

W piątek była potańcówka. Organizowano ją cztery razy w roku: wszyscy okoliczni farmerzy spotykali się w starej świetlicy szkolnej na skraju miasta, która nie różniła się zbyt od zwykłej stodoły. Z West Indigo przyjeżdżało kilku skrzypków. Kobiety piekły ciasto, a Grey Harper, który miał największą ciężarówkę w mieście, przywoził piwo. Oczywiście kobiety uwielbiały te spotkania, bo mogłyśmy się nagadać i trochę ze sobą potańczyć; mężczyźni jak to mężczyźni: woleli siedzieć przy stole, chlać piwo z ciemnobrązowych butelek, bełkotać i mamrotać. Ale przychodziły tam nawet największe odludki. Bo tylko tam można było się dowiedzieć, kto sprzedaje taczki, czy kto ma na zbyciu siano. Ci, którzy myślą, że farmerzy to ludzie spokojni i ugodowi, powinni czasem wpaść na naszą potańcówkę.

Nabrałam powietrza, żeby odpowiedzieć, ale on skończył już sznurować buty i odszedł. Nazajutrz się nie pokazał. Ani nazajutrz, ani następnego dnia, to jest w piątek. Tego ranka, sprzątnąwszy po śniadaniu, zaczęłam szykować zapiekankę z kabaczków, cztery duże brytfanny ze śmietaną i cynamonem - o trze-

ciej miała po mnie wpaść Elizabeth Quincey, bo chciałyśmy wyjechać wcześniej, żeby pomóc przy rozstawianiu stołów na kozłach. Moja zapiekanka zawsze wszystkim smakowała, ponieważ dodawałam do niej ziół z ogródka. Abel miał przyjechać później, bo naprawiał ogrodzenie na drugim końcu farmy, więc byłam w domu sama, tylko z myślami. Był upał, a to, że od rana paliłam pod kuchnią, wcale nie pomagało. Bluzka przykleiła mi się do pleców. Miałam lepkie uda. Będę musiała się umyć, zanim włożę sukienkę -tę żółtą, bawełnianą, moją najładniejszą, bardzo obcisłą w talii i z lekko pomarszczonym, ciasno sznurowanym gorsetem, który wbrew pozorom dawał się łatwo rozsznurować. Wkładałam ją cztery razy w roku. Kiedy zapiekanka doszła, przykryłam brytfanny ściereczkami, pobiegłam na górę po miskę i napełniłam ją wodą z pompy na podwórzu. Dwie miski wylałam sobie na głowę, a trzecią zaniiosłam do domu.

W sypialni było ciemno. Z rana zamknęłam okiennice, żeby słońce tak nie paliło, i wpadające do środka cieniutkie smużki światła wypełniały pokój dusznym złotawym żarem. Rozpięłam moką bluzkę, powiesiłam ją na oparciu krzesła i zdjęłam spódnice. Halkę też miałam moką. Ściągnęłam ją przez głowę i wtedy zobaczyłam się w małym lustrze na komodzie. Rzuciłam halkę na łóżko i podeszłam bliżej. Oto ja, dorodna, piersiasta kobieta, nie za piękna, ale w tym przyćmionym świetle całkiem ładna. Od wody pociemniały mi włosy. Na górnej wardze błyszczały kropelki potu. Widziałam się tylko od talii w górę, więc lekko rozstawiając nogi, obserwowałam swoją twarz. Żeby sięgnąć między uda, musiałam się trochę pochylić i dla utrzymania równowagi oprzeć ręką o komodę. Twarz miałam tuż przy lustrze i widziałam, jak rozchylają mi się usta, kiedy włożyłam tam palce. Byłam już wilgotna. Nie odrywając oczu od lustra, wyobraziłam

sobie, że stoi za mną Flanner - tak trochę dalej, w głębi pokoju - że widzi, jak na siebie patrzę. Wyjęłam palce i zaczęłam lekko pocierać to miękkie i delikatne na zewnątrz. Czując narastające podniecenie, znowu włożyłam palce do środka, żeby to przedłużyć. Lustro zaszło mgłą oddechu.

Wciąż stałam tam naga, głośno dysząc, gdy z dołu dobiegł trzask siatkowych drzwi. I jej głos.

- A kuku! To tylko ja, Elizabeth. A kuku! Podniosłam głowę.
- Ubieram się, zaraz schodzę! Elizabeth stanęła u stóp schodów.
- Może ci pomóc, kochanie?
- Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

Flanner przyszedł późno. W świetlicy było już pełno, ale mimo tłumy i hałasu wypatrzyłam go, gdy tylko stanął w drzwiach i zaczął się rozglądać. Wciąż wydawałam jedzenie i z uśmiechem skupiłam się tylko na tym. I tak mnie zaraz zauważy.

Byłam zajęta, czas szybko mijał, więc mogła upłynąć nawet godzina, zanim stanął przede mną z talerzem w ręku. Przyznaję, że bardzo mnie rozczarował. Był w koszuli w kratę, ale źle mu było w tym kolorze. Przyczesał się i włosy przykleiły mu się do głowy. Zdałam sobie sprawę,

że prawdziwy Flanner nie jest tak do końca Flannerem z mojego lustra. Wymieniliśmy ledwie parę zdań, a potem odwrócił się i odszedł. I bardzo dobrze, pomyślałam. Wy-
leczyłam się. Dziwna myśl. Bo niby z czego?

Wydałam trochę innych potraw i kiedy wszyscy podjedli i kolejka się zmniejszyła, zebrałam gliniane talerze, zniosłam na podwórze, postawiłam obok pojemnika na odpadki i zaczęłam zeskrobywać z nich, jeden po drugim, resztki jedzenia. Licząc na jakiś ochłap, wokół pojemnika węszyły dwa bezańskie psy, więc zamachnęłam się na nie łyżką i syknęłam, choć bez przekonania. Ostatecznie nawet bezański pies ma prawo zjeść i się zabawić.

Właśnie dochodziłam do rogu świetlicy, kiedy usłyszałam czyjś głos. Przystanęłam i cofnęłam się w mrok. Na ścianę sikało dwóch mężczyzn i poznałam, że jeden to Flanner.

- No to rób swoje - mówił i z dalszej rozmowy wywnioskowałam, że nabijał się z tego drugiego, farmera o nazwisku Crake, najlepszego tancerza wśród mężczyzn, że ma niby ciężką noc.

- Wszystkich nie obskoczę - odparł Crake. - Nie dam rady. - Zapięli rozporki. - Ale trzeba przyznać, że niektóre obskoczyłbym chętniej niż inne.

- A co myślisz o żonie Abła Hansona? - spytał obojętnie Flanner.

- Cóż - odparł po chwili Crake. - Podobają mi się kobiety, które mają czym oddychać i na czym siedzieć.

Zapadła cisza i pewnie szczerzyli tam do siebie zęby i zgodnie kiwali głową, że niby tak, że taka właśnie jestem.

Flanner, pomyślałam z gniewem. A więc tylko tym dla ciebie jestem, uwagą rzuconą mimochodem podczas sikania na ścianę?

Wróciłam do świetlicy i podeszłam do męża, który siedział przy piwie z synem starego Crake'a, chudziłą z opadającymi na oczy włosami.

- Gdzie zaparkowałeś? - warknęłam wciąż ze stosem talerzy w rękach. - Chcę je schować.

- Syn Crake'a spuścił głowę.

- Zdążysz, jeszcze czas - mruknął Abel.

Nie mogłam się powstrzymać i gniew na Flannera wyładowałam na nim.

- Nie wiem, jak długo zamierzasz zostać, ale ja jestem tu od popołudnia.

Abel westchnął.

- Duszko, chcesz, żebym zawiózł je do domu i wrócił? Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

Zmusił mnie do odkrycia kart i wpadłam w panikę. Z Flannerem zamieniłam ledwie kilka słów, a przecież musiałam dać mu do zrozumienia, że go nienawidzę.

- Nie - odparłam. - Nie trzeba. Chciałam tylko... zanieść je do samochodu, to wszystko - dokończyłam bez przekonania.

Wstał młody Crake. Był wyższy, niż pamiętałam.

- Pomogę pani - powiedział wciąż ze spuszczoną głową. - Muszą być ciężkie.

- Bardzo dziękuję - odrzekłam. - Jak na takiego młodzieńca jesteś bardzo szarmancki.

Chłopak roześmiał się wesoło, odgarnął włosy i zerknął na mojego męża.

- Mam już dwadzieścia trzy lata. Wziął talerze i odszedł.

Abel pociągnął łyk piwa.

- Jesteś zmęczona, duszko? Chcesz wracać?

- Nie. Najpierw trochę posprzątam.

- E tam, idź potańczyć. Pracowałaś najciężej z nich, sam widziałem.

Miał rację, przynajmniej w tym. Wstał.

- On nie wie nawet, czym jeździmy. Pójdę zobaczyć, bo sprezentuje komuś nasze talerze.

Idąc przez salę, zobaczyłam, jak stary Crake i Flanner stoją na parkiecie, z rozbawieniem obserwując i oceniając tańczących. Skreśliłam w ich stronę, zwolniłam kroku i mocniej wypięłam piersi, żeby Crake dokładnie zobaczył, że mam czym oddychać i na czym siedzieć.

- Kogóż ja widzę! - zagadnęłam ze swoim najszerszym uśmiechem. - Mam nadzieję, że nie zamierza pan odpoczywać. Jest pan naszym najlepszym tancerzem.

Otaksowałam go spojrzeniem. Jak na sześćdziesięciolatka był nieźle zakonserwowany.

Flannera zignorowałam.

Crake odpowiedział mi uśmiechem i lekkim ukłonem. Podał mi rękę, a on ujął ją i kiedy znowu zagrały skrzypki, poprowadził mnie na parkiet.

Tańczyłam do utraty tchu i po trzech tańcach to on zaczął błagać mnie o litość, a nie ja jego.

- Pani Hanson! - krzyknął mi do ucha, kładąc na ramieniu swoją ciężką rękę. - Zapomina pani, że jestem już stary!

Nachyliłam się ku niemu i prawie przytknęłam usta do jego szyi.

- Obydwoje dobrze wiemy, że nie taki stary, za jakiego chciałby pan uchodzić.

Flanner nie spuszczał nas z oczu. Wyraźnie to czułam. Położyłam Crake'owi rękę na piersi i rozchyliłam palce.

- Może się czegoś napijemy?

Objął mnie w talii i przyciągnął bliżej, wbijając mi w ciało kościste palce mocniej, niż było to konieczne.

- Widzę, że ma pani ochotę się zabawić, pani Hanson.

Kiedy szliśmy skrajem parkietu, zerknęłam na Flannera, który stał wciąż w tym samym miejscu, obserwując nas z kamienną twarzą.

Parę kroków dalej, przy stole siedziało kilku miejscowych, przyjaciół Abla. Gdy podeszliśmy bliżej, dwóch siedzących najbliżej zerwało się z miejsca. Usiadłam, udając, że jestem zmęczona, śmiejąc się i wachlując dłonią.

- Znacie moją nową przyjaciółkę? - spytał Crake. - Postawię jej piwo!

Tamci uśmiechnęli się szeroko. Jeden z nich nachylił się i pchnął butelkę w moją stronę.

- Chce pani przedtem pociągnąć z mojej? - rzucił.

Był to bezzębny Parker, ktoś, na kogo w normalnych okolicznościach nawet bym nie spojrziała. Wyciągnęłam rękę i przytknęłam ją do jego policzka.

- Pan Parker! Pan to umie dogodzić kobiecie.

Pociągnęłam z butelki, a tamci wybuchnęli śmiechem. Byli pijani i podobała im się ta kokieteria. Podobałyby się jeszcze bardziej, gdyby na moim miejscu siedziała jedna z tych pięknych, młodych dziewcząt w kącie, ale one nie mogłyby sobie pozwolić na takie zachowanie, bo straciłyby reputację. Natomiast ja mogłam, to oczywiste. Kto śmiałby pomyśleć, że stateczna żona Abla Hansona knuje coś zdrożnego?

Postawiłam na stole butelkę bezzębnego Parkera i pchnęłam ją w jego stronę.

- Proszę - zaproponował ktoś inny. - Niech pani spróbuje mojego.

- Chętnie spróbuje wszystkich - odparłam i znowu pociągnęłam tęgi łyk. Zanim się spostrzegłam, stanęła przede mną szklanka whisky. Podniosłam ją jak do toastu i wychyliłam do dna. Farmer siedzący obok mnie przysunął się z krzesłem jeszcze bliżej i podniósł butelkę.

- Mary - spytał - chciałaby pani spróbować mojego, ale tak... na osobności?

- Myślę, że pani Hanson ma już dosyć. Natychmiast przestali się uśmiechać. Obejrzałam się. Przy

stole stał Flanner i patrzył na nas z surową miną. Mężczyźni, niezadowoleni, że zepsuł im zabawę, wymienili spojrzenia.

- Panie Flanner - powiedziałam - przecież może pan się przysiąść.

Wtedy chwycił mnie za rękę i jednym płynnym ruchem podniósł z krzesła. Tamci znieruchomieli zaskoczeni, a bezzębny Parker na wpół wstał. Flanner szorstko skinął mu głową i odparł:

- Pani Hanson, mąż czeka w samochodzie. Prosił mnie, żebym panią przyprowadził.
Biesiadnicy spuścili parę i opadli na krzesła.

- W taki razie życzę wszystkim dobrej nocy! - rzuciłam wesoło przez ramię, gdy Flanner, wciąż trzymając mnie za rękę, ruszył przez tłum do drzwi.

Ominął grupę nastolatków rozpartych na schodach i bez ceregieli pociągnął mnie w stronę samochodów parkujących na pobliskim polu. Gdy tam doszliśmy, gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwiczki od strony pasażera i wepchnął mnie do środka. Potem zatrzasnął je, obszedł wóz i wszedł.

Jechaliśmy w milczeniu, ja opierając się o drzwiczki i patrząc w okno. Noc była bezgwiezdna, czarna jak smoła. Zaczęła działać whisky i czułam, jak rozchodzi się po całym ciele i uderza do głowy. Zamknęłam oczy, bo świat zawirował.

Pół godziny później dojechaliśmy do naszej drogi, ale zamiast w nią skręcić, Flanner pojechał dalej. Usiadłam prosto.

- Dokąd jedziemy? - spytałam potulnie.

- Za wzgórze - odparł.

- Ale Abel...

- Pani mąż wyjechał godzinę temu z młodym Cra-kiem - warknął Flanner.

Minęliśmy ścieżkę na wzgórze i skręciliśmy. Flanner zatrzymał samochód, zaciągnął hamulec ręczy, wysiadł i trzasnął drzwiczkami tak mocno, że wszystko się zatrzęsło.

Odwrócił się, kopnął je z wściekłością i zaklął. Potem

zrobił kilka kroków i zniknął w ciemności. Przez chwilę myślałam, że mnie zostawił, potem usłyszałam trzask zapalniczki i zobaczyłam ognik - przypalał papierosa.

Siedziałam tam jeszcze przez chwilę, patrząc, jak pali, i obserwując jego niewyraźną sylwetkę. Potem otworzyłam drzwiczki, ostrożnie wysiadłam, obeszłam samochód i ruszyłam w jego stronę. Gdy podeszłam bliżej, rzucił papierosa na ziemię i rozgniół go butem.

- Dlaczego jest pan na mnie zły? - spytałam łagodnie. Wtedy nachylił się, chwycił mnie za ramiona i zbliżył

twarz do mojej twarzy. Czułam zapach dymu w jego oddechu, zapach potu, a nawet leciutki aromat ziół z mojego kabaczka, a wszystko to wymieszane z silnym, czystym zapachem mięty, miętowego płynu do płukania ust. Głos miał cichy i spokojny.

- Bo jeśli zamierza pani zdradzić z kimś męża, to zdradzi go pani ze mną.

Wtedy zdarzyło się kilka rzeczy naraz. Poczułam, że uginają się pode mną nogi, pewnie na skutek działania whisky, zmęczenia, ciepłego nocnego powietrza i uścisku jego rąk.

Jednocześnie przywarł wargami do moich warg, wsunął mi język do ust, a kiedy mnie objął, poczułam, że się zapadam, że zapadam się i zapadam, że leżę na ziemi, a on leży na mnie. Podniósł się trochę, wsunął mi palce we włosy na skroniach, żeby przytrzymać głowę, znowu mnie pocałował i tym razem całował tak długo i namiętnie, że kiedy przestał, kiedy ze mnie zszedł i legł na plecach, zdawało mi się, że minęło pół nocy.

Długo leżeliśmy bez słowa, patrząc w bezgwiezdne niebo. Wreszcie powiedział:

- Chciałem to zrobić od lat. Przewróciłam się na bok i podparłam łokciem.

- Od lat? - powtórzyłam sceptycznie.

- O tak! Chciałem panią pocałować, odkąd zobaczyłem, jak rozpakowuje pani lawendę w sklepie. Te, wie pani, bukieciki z wstążką.

Mój eksperyment z lawendą skończył się kompletnym fiaskiem. Pewnie ziemia była za jałowa. Nie siałam lawendy od sześciu lat.

Znowu zamilkliśmy i długo milczeliśmy, leżąc obok siebie. Możliwe nawet, że się zdrzemnąłam. Kiedy otworzyłam oczy, poczułam we włosach jego oddech. Pocałował mnie w policzek. Odwróciłam ku niemu głowę. Uśmiechnął się. Kto by pomyślał, że na tej poważnej jastrzębiej twarzy może zagościć taki uśmiech? I uśmiechając się, pogłaskał mnie po policzku wierzchem dłoni, przesunął palcami po dekolcie, po sukience, wreszcie dotknął lewej piersi. Moje ciało wygięło się ku niemu. Wtedy pochylił się, cmoknął mnie w usta i powiedział:

- Lepiej już wracajmy.

Nasze obejście tonęło w mroku, nigdzie nie było widać pikapu. W cieniu domu, który dzieliłam z Ablem, nasz nastrój od razu się zmienił. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu powiedziałam:

- W takim razie dobranoc. - I wysiadłam, nie czekając na odpowiedź.

Gdy weszłam na ganek, psy podniosły łby, ale wyczuw-szy, że to tylko ja, natychmiast je opuściły. W środku było zupełnie ciemno. Wypiłam szklanke wody, poszłam prosto na górę i rozebrałam się, rozrzucając ubranie po podłodze. Momentalnie zasnęłam. Obudziłam się, kiedy Abel się kładł, bo pod ciężarem jego ciała ugiął się materac. Gwałtownie usiadłam.

- Czy to... - zaczęłam zdezorientowana.

Odwrócił się tyłem do mnie. Sięgnął za siebie i poklepał mnie po udzie.

- Przepraszam - szepnął. - Śpij.

Musi być bardzo późno, pomyślałam i znowu zasnęłam.

Rano obudził mnie zapach kawy. Kiedy zesłam na dół, Abel siedział już przy małym kuchennym stole. Siatkowane drzwi były otwarte i kuchnię zalewało poranne światło. Zaparzył kawę w czerwonym emaliowanym dzbanku, który wyjmowaliśmy tylko dla gości.

Mąż zerknął na mnie, gdy podeszłam i zwiesił głowę. Zrobiło mi się niedobrze, jakoś tak pusto w środku. Zamierzał wypytywać mnie o tę noc? Co będzie, jeśli podejrzewał Flannera? Kiedy usiadłam, nalał mi kawy. Postawił dzbanek i nie patrząc na mnie, spytał: - Duszko, pamiętasz, jak przywiozłem tego pawia? Raz w miesiącu jeździł na weekend do miasta załatwiać

sprawy z kupcami, którzy od nas kupowali, i po rzeczy do domu. Czasem wracał z nowymi nasionami. To on wpadł na pomysł z lawendą. Mniej więcej rok temu wrócił z pawiem. Kiedy spytałam, skąd, do diabła, wytrzasnął to pta-szydło, powiedział, że wygrał je w

karty, ale czułam, że wymyślił tę historyjkę, żeby nie skrzyczała go za marnowanie pieniędzy. Kiwnęłam głową.

- Wczoraj opowiadałem o tym młodemu Crake'owi, dlatego tak późno wróciłem. Odwoziłem go do domu i za wzgórzem zrobiliśmy postój na papierosa. Bardzo go ten paw zaciekawił, więc obiecałem mu, że jak następnym razem pojedę do miasta, może go ze sobą zabiorę.

I wtedy Abel zrobił coś niezwykłego. Położył mi rękę na ramieniu. Dotknął mnie w ten sposób pierwszy raz od naszej nocy poślubnej przed ośmiu laty. Bo tamtej nocy położył się na mnie i kiedy tylko we mnie wszedł, członek skurczył mu się i zwiotczał jak kawałek surowego mięsa na gulasz i przez te osiem lat już nigdy potem tego nie próbowaliśmy, nawet o tym nie wspominaliśmy.

Spojrzał na mnie.

- Duszko, czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym zabrał Crake'a do miasta?

Cała surowość, cała złość, jaką do niego czułam przez te wszystkie lata, momentalnie wyparowała i pomyślałam, że może to jest tak, że aby kogoś zrozumieć, wystarczy tylko wiedzieć, czego ten ktoś chce, czego potajemnie pragnie, i że kiedy już się to wie, gniew bezpowrotnie mija.

Wypiłam łyk kawy. Abel wciąż trzymał rękę na moim ramieniu.

- Jak zaczniesz częściej jeździć do miasta, będzie mi

- trochę samotnie - odparłam powoli. - Musiałabym pewnie kogoś tu zaprosić.
- Miałabyś do tego prawo - odrzekł Abel. Zabrał rękę. Bez słowa dopiliśmy kawę.
 - Dziękuję za kawę - powiedziałam, gdy wstał.
 - Nie ma za co, duszko.

Flanner przychodzi teraz często. Czasem nie czekamy nawet, aż mąż wyjedzie do miasta i przychodzi w biały dzień, kiedy w każdej chwili ktoś może nas zaskoczyć. Gdy stoję z rękami w mydlinach, pochyla mnie nad zlewem, tak jak to sobie wyobrażałam.

Opowiedziałam mu wszystkie moje fantazje, a on bierze sobie na ambit, żeby je zrealizować.

Kiedy Abla nie ma i nie musimy się spieszyć, prowadzi mnie na górę do ciemnej, dusznej sypialni i mówi, że w końcu przyniósł mężowi sznurowadła, te, które kiedyś mu pożyczyłam. Każe mi położyć się na ukos na bielutkim prześcieradle i przywiązuje mi ręce do wezłowia. Dotyka mnie, aż głośno krzyczę i nagle jest już na mnie, na mnie i we mnie, a ja tak się w nim zatracam, że zamykam oczy, słyszę krzyk pawia na podwórku i myślę, że chociaż ani razu nie rozłożył dla Abla swego pięknego ogona, jest wart pieniędzy, które mąż na niego wydał, bo wszyscy potrzebujemy jakiejś zachcianki. Że to właśnie nasze pragnienia sprawiają, że jesteśmy ludźmi, a najbardziej ludzcy jesteśmy wtedy, gdy zaspokajamy pragnienia innych.

STORM HENLEY

Usłużny ogrodnik

Pewnie byłam łatwym celem. Dzieci, obydwójce jeszcze w podkolanówkach, chodziły do szkoły, gdzie z radosnym zapałem uczyły się o Ironbridge i zwierzętach morskich, którym groziło wyginięcie. Mąż codziennie o tej samej porze sadzał swój chudy tyłek na tym samym siedzeniu tego samego samochodu i jechał do tego samego biura w Canary Wharf we wschodnim Londynie. Cóż więc mi pozostało? Całymi dniami biegałam na bieżni w siłowni w Holmes Place, kupowałam ciuchy, których potem nigdy nie wkładałam, bo nie chodziłam już na przyjęcia i piłam za dużo wina, powoli usychając na pnączu życia, dopóki pewnego burzowego dnia na początku maja szczęśliwy podmuch wiatru wszystkiego nie odmienił.

- Tylny mur się rozleciał - informuje mnie Steve, chrupiąc grzanekę i wskazując skórką wychodzące na balkon drzwi. - To była niezła burza.

- Uhm - mruczę, ledwie odrywając wzrok od nekrologów w gazecie.

- To robota dla fachowca. - Mąż kiwa ze znanstwem głową i z ustami pełnymi grzanki mlaszcze językiem. - Nie będę tracił na to weekendu, wykluczone.
- Pewnie - mówię. - Trzeba poszukać murarza.
- To nie jest robota dla murarza - poprawia mnie Steve.
- Nie?
- Wystarczy ogrodnik. Poza tym ogrodnicy są tańsi
- dodaje, bierze swoją błyszczącą teczkę i rusza do drzwi.
- Zajmij się tym, dobrze?
- Dobrze.

Ciężko wzdycham. Dlaczego wszystkie najgorsze sprawy zawsze spadają na mnie?

- Aha. - Mąż przystaje w drzwiach. - Dziś będę późno. Idę na służbową kolację. Cześć, dzieciaki!

- Cześć, tato! - odpowiadają dzieciaki znad miseczek z płatkami.

Steve odjeżdża, niedługo potem wychodzą dzieci i znowu zostaję sama, znowu czeka mnie bieganie w siłowni, wypad do szkoły i czytanie horoskopów podczas popołudniowej kąpieli. No i ten nieszczęsny mur.

Nie wiem, dlaczego wybrałam z książki telefonicznej akurat Pavla. Może dlatego, że jego ogłoszenie było największe? A może skusił mnie ten fragment: „Nie ma dla mnie zleceń zbyt małych czy niewdzięcznych”? Tak czy inaczej, ogłoszenie musiało do mnie przemówić, okazuje się nawet, że bardziej niż on sam. Bo kiedy czterdzieści pięć minut później przyjeżdża w grubej kurtce i ciężkich buciorach, szybko staje się oczywiste, że jego repertuar leksykologiczny ogranicza się do „Tak”, „Nie” i „Świetnie”. Ale to mi nie

przeszkadza: ma długą listę rekomendacji od sąsiadek, szpadel, wiadro i swój własny termos z czarną herbatą. Jest cichy, nieabsorbujący i znakomicie nadaje się do tej pracy. Przez cały pierwszy dzień nie zwracamy na siebie uwagi. Mży, więc czytam gazety, odbieram telefony od przyjaciółek i planuję kolację na dziesięć osób za trzy tygodnie, a on, nie zdejmując kurtki, mocniej naciąga wełnianą czapkę i pracuje, jakby nigdy nic. Bojąc się, że podczas mojej nieobecności może złupić dom, zostawiam go samego tylko na pół godziny, kiedy jadę odebrać dzieci ze szkoły. Gdy wracam, już go nie ma. Tego wieczoru Steve jest bardzo niezadowolony z postępu prac.

- Przecież ten facet nic nie zrobił! - krzyczy, patrząc na ogród z nosem rozpląszczonym na szybie. - Położył tylko kilka cegieł, zapaćkał błotem cały taras i zatkał rynnę workami z piaskiem i cementem.

- Fakt, szybki to on nie jest - przyznaję, krojąc cukinię na risotto.

- Pogadaj z nim - prycha gniewnie mąż. - Niech się spręży, bo będziemy musieli poszukać kogoś innego.

Nazajutrz rano maszeruję do ogrodu najeżona poczuciem niesprawiedliwości. Przez noc pogoda radykalnie się zmieniła. Świeci słońce, jest na tyle ciepło i przyjemnie, że ptaszki uznały, iż można zaśpiewać. Idzie wiosna i krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach.

Pavel stoi pochylony nad stosem cegieł. Odkąd do nas przyszedł, pierwszy raz raczę się mu przyjrzeć. Ma dwadzieścia kilka lat, długie, ładnie umięśnione nogi i twarde, zgrabne pośladki. Jest w dobrej formie.

- Przepraszam...

Pavel prostuje się i odwraca. Jezu Chryste! Widzę jego nagi tors i staję jak wryta. Jasna skóra, lekko pofałdowany brzuch, pięknie umięśniona pierś, po męsku zakrzywione ramiona, cienka linia włosów biegnąca od pępka w głąb spodni - mało brakowało, a głośno sapnęłabym z wrażenia. Uśmiecha się, przeczesuje ręką ciemną, gęstą czuprynę i patrzy na mnie jasnoniebieskimi oczami.

- Proszę.

Z ust mi to wyjąłeś, myślę.

- Mmm, napije się pan herbaty? - pytam niepewnie, zagryzając od środka policzek, żeby powstrzymać falę nagłego pożądania, które wypełnia mi wszystkie żyły, ściska brzuch, gwałtownie przyspiesza puls i musuje w opiętym džinsami kroczu. Pavel patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem. Wykrzywia górną wargę, a ja się czerwienię.

- Herbaty? - powtarzam i drżącymi rękami robię gest picia.

- Aha! - Ruchem głowy wskazuje termos. - Nie, nie, mam wszystko, co trzeba.

- Fakt - odpowiadam z uśmiechem. - Rzeczywiście. Wracając do domu, prawie nie mogę oddychać. Napić

się kawy? Uspokoić się? Pójść pobiegać? Popływać? Czy wziąć prysznic i pobawić się ze sobą, żeby uśmierzyć to straszliwe, palące napięcie w podbrzuszu? Ale w końcu, niczym

zdalnie sterowana filmowa żona ze Stepford, biorę sekator, wkładam rękawice i idę do ogrodu.

Przez następne półtorej godziny z coraz bardziej suchymi ustami i z coraz bardziej spuchniętymi wargami sromowymi bezlitośnie katuję *Hydrangea heteromalla*, ścinając rozkwitające pączki. Ale nie mogę oderwać od niego oczu. Od jego pleców, gdy się pochyla, jego błyszczącego karku, silnych ramion, szorstkich rąk, od skóry marszczącej się na twardych mięśniach brzucha. Od jego luźnych biodró-wek. Zaciskam kciuki, zagryzam usta i modłę się w duchu, żeby nie miał pod spodem bielizny.

W porze lunchu, gdy siada na słońcu i zaczyna odrywać duże, białe kawały bułki z serem, w końcu nie wytrzymuję. Znikam na górze i energicznie pieszczę się irchową rękawicą.

Wyglądając przez okno w łazience, ściągam top i twardymi jak kamień sutkami pocieram o zimną szybę. Szybko dochodzę. Jestem mokra z żądy, rękawice są szorstkie i drapiące. Nie wiem, czy mnie widzi. Kiedy głośno krzyczę, zerka na dom. Ale może to tylko moje pobożne życzenia.

Popołudnie jest nie do zniesienia. Chodzę za nim po ogrodzie, udając, że próbuję powstrzymać gwałtowny wysyp blad różowych kwiatków na żarłocznej *Clematis montana*. Nieprzytomna z pożądania skubię je, zrywam i ścinam, patrząc na jego plecy, gdy pochyla się nad cegłami, na jego duże ręce, gdy układa je delikatnie na szczycie muru. Bardzo się poci, bo ciągle schyla się i prostuje, mie-

sza zaprawę i nakłada ją na cegły. Widzę srebrzyste kropelki na jego ramionach i wiem, że jeśli podejść kilka kroków bliżej, poczuje słodki zapach piżma.

A potem, gdy z wielkim pękiem świeżutkich liści *Clematis*, które nie wiedzieć czemu ścięłam, idę na tył ogrodu, żeby wrzucić je do pojemnika na kompost, Pavel się o mnie ociera. Nie wiem dokładnie, dlaczego tak blisko podchodzi, ale wyraźnie się ociera. Drzę z podniecenia i przez ułamek sekundy wydaje mi się, że twardym członkiem dotyka mojego uda. To głupia myśl, wiem, beznadziejna. Chwytam mocniej liście, wstrzymuję oddech, biorę się w garść, odrzucam do tyłu długie, jasne włosy i zdecydowanym krokiem idę w kierunku pojemnika. Bo niby czego apetycznie gibki dwudziestokilkuletni ogrodnik mógłby chcieć od czterdziestokilkuletniej kury domowej takiej jak ja? Podnoszę klapę. Z pojemnika bucha zapach gnijących roślin. Odsuwam na bok trawę i łodygi, wrzucam liście i ubijam je rękami. Skończywszy, pochylam się, żeby zamknąć klapę. W tym momencie czuję, że Pavel znowu się o mnie ociera. Tym razem to nie złudzenie. Twardy jak skała niecierpliwie dźga mnie w krzyż. Napiera na mnie swoim prężnym, cudownie umięśnionym ciałem i popycha mnie na mur. Ogarnięta jeszcze większym podnieceniem, chcę się odwrócić, ściągnąć mu spodnie i dobrać się do jego fantastycznego członka.

- Nie - mamrocze mi do ucha. Jeszcze mocniej przypiera do muru. Miękkim językiem drażni bok szyi, wkłada rękę pod bluzkę, wpycha ją pod stanik i chwyta za prawą

pierś. Ścisną palcami sutek i coraz mocniej pociera penisem o plecy. Drugą ręką zadziera mi spódnicę i wsuwa dłoń między uda. Nie mogę oddychać. Zamykam oczy. Moje bawełniane majteczki są zupełnie mokre. Moje zdesperowane biodra szaleją. Nie wiem, czy zniesie to moja łechtaczka. Jest nabrzmiała i pewnie zaraz pęknie jak dojrzała czerwona porzeczka.

- Weź mnie - jęczę, trąc policzkiem o ceglany mur. Szorstkimi palcami Pavel odchyła na bok majteczki i wkłada dwa palce do mojej aż nazbyt chętnej pochwy. Wsuwa je i wysuwa, wsuwa i wysuwa. Skórę ma jak papier ścierny. Szybko chwyta rytm i widać, że wie, co robi. Ścisną łechtaczkę, jeszcze bardziej ją usztywniając.

- Dłużej nie wytrzymam! - niemal krzyczę. Wreszcie wyjmuję członek z napiętego rozporka, ściąga mi majtki do kolan i od razu we mnie wchodzi.

- Boże! - Bezwładnie opadam na mur. Penis jest wielki, twardy i absolutnie doskonały. Początkowo porusza się we mnie długimi, głębokimi pchnięciami. Ale wkrótce przyspiesza i im szybciej mnie ujeżdża, tym szybciej ja ujeżdżam jego. Trę twarzą o cegły, obcieram sobie policzek. Pavel dochodzi tuż przede mną i ostatnim dźgnięciem rozpląszcza mnie na murze. Niemal w tej samej chwili mną też wstrząsa orgazm tak potężny, że kurczowo zaciskam ręce na kratce, a cała kratka dygocze, a wraz z nią dygocze moja *Wisteria floribunda*, rozsiewając wokół deszcz fioletowego kwiecia.

- Angela? Czy to ty? - pyta, połykając głoski Julia, moja sąsiadka. Najpierw widać nagietki, potem jej praktyczną

fryzurę i „roboczy” pulower. - Wszystko w porządku? -Wystawia zza płotu swój długi nos.
- Oczywiście. - Głęboko oddycham i dyskretnie poprawiam bluzkę. Majteczki wciąż mam na kolanach, po udach ścieka mi ciepła sperma, ale Pavel zdążył już obciągnąć mi spódnice, więc Julia niczego się nie domyśla.
- Cała kratka się trzęsła. - Jeszcze bardziej wychyla się zza płotu.
- Naprawdę? - Zerkam w dół i widzę, jak Pavel chowa do spodni swój zdecydowanie mniej sprężysty członek. -Trochę tu pieliałam.
- Tak?
- Tak. Zatrudniłam ogrodnika.
- Świetny pomysł! - Pavel zapina rozporek i wstaje. -Och! - Julia jest trochę zaskoczona. - Nie widziałam pana!
- To jest Pavel.
- Ogródnik - zachwyca się Julia, chłonąc jego nagi tors, wygięte usta, błękitne oczy i ciemne, gęste włosy. - Wspaniale!
- Prawda? - mówię z uśmiechem.
- Często przychodzi?
- Codziennie.
- To dobrze, znakomicie. - Poirytowana, wreszcie się odwraca. - Aha - rzuca przez ramię. - Otarłaś sobie policzek.
Skaleczyłam się w policzek, przycinając liście - ona chętnie to kupiła, ale Steve był znacznie bardziej powściągliwy.

- Przycinałaś powojnik? - Zadaje to pytanie co najmniej trzy razy przy rybnej zapiekance z groszkiem, którą odgrzałam mu na kolację. - Nie do wiary.

Ale, szczerze mówiąc, mam to gdzieś, bo prawdziwe wytłumaczenie - że ktoś przeleciał mnie od tyłu na pojemniku z kompostem pośród słodkiego zapachu gnijących roślin - tak daleko wykracza poza ramy jego wyobraźni, że i tak nigdy by w to nie uwierzył. Zwłaszcza że teraz mogę myśleć tylko o jednym i tylko jedno mnie interesuje:

0 której jutro przyjdzie Pavel.

Jest już wpół do dziesiątej i zaczynam tracić nadzieję. W ciągu ostatniej pół godziny co najmniej czterdzieści razy zerkałam na kuchenny zegar, a jego wciąż nie ma. Bojąc się, że przyjdzie, kiedy mnie nie będzie, znowu proszę moją przyjaciółkę Antheę, żeby zawiozła dzieci do szkoły. Krążę nerwowo po saloniku, obgryzam różowy lakier ze starannie wymanikiurowanych paznokci i sfrustrowana płonę z pożądania. A jeśli przekroczyłam granicę? Jeśli Pavel nie przyjdzie? Jeśli to już koniec? Jeśli mnie tylko wykorzystał? I najgorsze: co będzie, jeśli już nigdy w życiu nikt mnie tak nie zerznie?

Dzwoni dzwonek. Dzięki Bogu. Ściska mnie w brzuchu

I pędzę do drzwi. Otwieram je i... stoi przede mną w białym podkoszulku, wypuszczonym na grube, luźne spodnie, w ciężkich, zabłoconych butach.

- Przepraszam - mówi - ale musiałem przyciąć krzaczek sąsiadce spod dwadzieścia cztery.

-Aha.

Jestem trochę urażona, ale i zaskoczona, że zna aż tyle angielskich słów. Jednakże perspektywa seksu na świeżym powietrzu jest zbyt kusząca, żeby taka drobnostka mogła odwrócić moją uwagę.

- Niech pan wejdzie - mówię. - Mur się sam nie postawi.

Pavel uśmiecha się i idzie prosto do ogrodu. Ledwie kończy wyjmować narzędzia, gdy wkładam mu rękę do spodni i biorę do ust jego własne, jakże twarde narzędzie.

Przysięgam, że nigdy w życiu nie widziałam niczego tak wspaniałego. Jego długi, gruby, sprężyste sztywny członek jest kwintesencją młodzieńczego podniecenia i w niczym nie przypomina miękkiego jak flak członka, jaki, niczym skąpy datek, rzucony na kościelną tacę, widuję tylko po mocno zakrapianej alkoholem kolacji czy wyjątkowo wesołym biurowym jublu. Kucnąwszy obok obsypanej kwiatami *Iris pallida*, obejmuję wargami tę śliczną czerwoną główkę i ssę ją jak lizak. Przesuwam językiem w górę i w dół i słyszę jego coraz krótszy oddech. Podnoszę głowę i widzę, jak napina mu się brzuch, gdy wkładam główkę aż do gardła. Żeby nie upaść, niczym Chrystus na krzyżu, z szeroko rozłożonymi rękami opiera się o kratkę. Wiem, że zaraz dojdzie, bo cały drży, bo zaciska palce tak mocno, że bieleją mu kłykcie.

- A kuku! - Nad płotem falują nagietki. - To ja! Niech to szlag! Tylko nie to, myślę zmuszona szybko połknąć i wstać.

- Witaj, Julio. - Lekko się krztuszę, wycieram usta

wierzchem dłoni i wyjmuję czarny włos łonowy z kącika ust. - Jak się masz?

- Widzę, że masz ręce pełne roboty! - mówi z uśmiechem Julia.

- Słucham?

- Wasz ogródek jest za mały dla kogoś tak młodego i dziarskiego - żartuje Julia. - Więc jeśli będzie miał chwilę czasu...

- Spokojna głowa - przerywam jej z uśmiechem. - Na pewno czymś go zajmę.

- Cóż, skoro tak... - Julia opiera się łokciem o płot, jakby miała ochotę na dłuższą pogawędkę.

- Bardzo cię przepraszam - mówię - ale Pavel miał mi właśnie wytłumaczyć, dlaczego runął nasz mur.

- Ależ nie zwracaj na mnie uwagi - odpowiada Julia, spoglądając na Pavla znad turkusowych okularów do czytania. - Po prostu podziwiam widoki.

Klepię Pavla w ramię i wskazuję dom. Jej ciekawość zaczyna mnie drażnić. A jej lubieżne spojrzenia sprawiają, że czuję się nieswojo. Za bardzo przypominają moje.

Ale w domu cały dyskomfort szybko znika. A moje podejrzenia, że seks na otwartym powietrzu to tylko fetysz, ostatecznie się rozwiewają, gdy Pavel sadza mnie na blacie między kuchenką i zlewem i podwija mi spódnicę. Przesuwa rękami po moich udach i jednym ruchem zrywa ze mnie majteczki. Długimi, brudnymi palcami przeczesuje mi włosy łonowe, rozchyła nabrzmiałe wargi. Patrzy na nie, oblizując usta.

- Świetnie. - Kiwa głową. - Świetnie - powtarza i czubkiem języka muska brzeg cipki. Skutek jest elektryzujący. Przez całe ciało przebiega silny dreszcz i odrzucając do tyłu głowę, z całej siły wałę nią w półkę. Na pewno mnie boli, ale w porywach tak wielkiej namiętności ciało nie odczuwa bólu. Jego język krąży i wiruje, dociera do moich najskrytszych zakamarków. Jest niesamowity. Zagłębia się i drażni, a kiedy już nie mogę wytrzymać, Pavel wkłada tam palce i doprowadza mnie do nieprawdopodobnego orgazmu. Głośno krzyczę, zaspokojona wzdycham i spoglądam na gęstą, czarną czuprynę między moimi udami. Pieszczotliwie targam mu włosy. Pavel patrzy na mnie z uśmiechem. Ma mokre usta; jego oddech pachnie mną.

- Dziękuję - mówi.

Przez cały następny tydzień kopulujemy jak króliki, które odkryły uroki antykoncepcji. Mój dzień wygląda mniej więcej tak: Pavel przychodzi między dziewiątą i dziesiątą rano i natychmiast zaczynamy się kochać. W korytarzu, na schodach, na sofie, na kuchennym stole. Do ogrodu idzie dopiero między jedenastą i dwunastą, żeby widać było, że pracuje. Dzięki temu małemu wybiegowi Julia może sobie trochę popatrzeć, a Steve niczego nie podejrzewa. Chociaż trzeba powiedzieć, że chyba jednak coś zauważył. Mój dobry humor graniczy z histerią i jestem tak napalona, że uderzam nawet do własnego męża. Ale namiastka stosunku, podczas którego rzucał się na mnie jak powoli zdychająca płastuga, utwierdziła mnie w przekonaniu, że był to karygodny błąd.

Popołudnia są bardziej leniwe. Pavel doprowadza mnie do orgazmu powoli i niespiesznie. Czasem całuje mnie tylko, bawiąc się moimi piersiami i pieszcząc krągłości, aż muszę błagać, by mnie wziął. Albo leży na kocu, głaszcze mnie po udach i wtyka kwiatki w moje

włosy łonowe. A czasem, choć z rzadka i tylko wtedy, gdy mamy ochotę na szybki numerek od tyłu, idziemy do pojemnika na kompost pod murem, gdzie wszystko się zaczęło.

I nagle, w pewien piątek, dzieje się coś strasznego. Kochamy się w holu i na schodach, moja *Clematis montana* znowu dostaje porządny wycisk, ale nie można już tego dłużej odwlekać. Pavel kładzie ostatnią cegłę i kończy naprawiać mur. Patrzy na mnie i obydwójmy wiemy, co to znaczy. Mam ochotę rzucić się na ten cholerny mur i go przewrócić - wszystko, żeby tylko go zatrzymać.

- Nie martw się. - Wkłada mi rękę pod spódnicę i klepie mnie po gołej pupie. - Wymyślisz coś innego. Inne drobne prace, żebym mógł znowu przyjść.

- Oczywiście. - Kiwam zdecydowanie głową.

- Wystarczy, że zadzwonisz.

Dwa dni później widzę, jak wychodzi spod trzydziestki-ósemki. Mam ochotę za nim biec. Błagać go, żeby wziął mnie na masce parkującego przy chodniku mini clubma-na. Ale nie biegnę i nie błagam. Wydzwaniam do niego, lecz on nie oddzwania. Wygląda na to, że moje zlecenia

są jednak zbyt małe i niewdzięczne. Zamiast tego idę tam i pukam do drzwi. Otwiera zaczerwieniona kobieta w średnim wieku.

- Bardzo przepraszam, że zawracam pani głowę - mówię - ale właśnie widziałam, jak wychodzi od państwa pewien młody człowiek...

- Och, Pavel - wzdycha. - Pociecha wszystkich sąsiadek.

- Naprawdę?

- O tak - mówi z uśmiechem kobieta. - Proszę tylko spojrzeć na te ogródki. - Patrzę na ulicę. Ogródki są utrzymane tak nienagannie, jakby przed chwilą odjechała stąd Brygada Ogrodowa BBC1. - To taki dobry chłopiec - dodaje tamta. - I taki usłużny. Przycina wszystkim krzaczki.

RUFFY SANTE-MARIE

Przecież tu jestem

Był wtorek, pora lunchu, więc przyjechałam trochę wcześniej. Rozejrzałam się, zajrzałam do toalet - fatalny pomysł, bo były naprawdę straszne - potem przeszłam przez stację tunelem sklepów i wjechałam schodami na górę, gdzie jest to duże, okrągłe coś. Ni to lodowisko - zimą - ni to wrotkarnia - latem - sama nie wiem co, w każdym razie jest tam również kawiarnia i mnóstwo ludzi, nieprzebrane masy ludzi czekających na lunch, wchodzących i wychodzących ze stacji, a wszyscy w urzędniczych garniturach i kostiumach, więc jedynym względnie dobrym miejscem, jakie mogłam znaleźć, był murek, a właściwie schody za murkiem prowadzące do piwnicy czy podziemi, gdzie schodzą monterzy, żeby naprawić centralne ogrzewanie lub coś tam - schody, którymi niewielu innych śmiałoby zejść. Mimo to wciąż stałam na widoku, ale z drugiej strony na widoku byłam przez cały czas, bo łypało na mnie oko kamery bezpieczeństwa, tak jak oczy dziesiątków innych kamer łypały na wszystko i wszystkich.

I tyle, jeśli chodzi o prywatność, nic lepszego nie było, w każdym razie ja niczego takiego nie znalazłam. Dlatego spojrzałam na zegarek, zawróciłam i znowu przeszłam przez główną halę, bardzo już zatłoczoną, ale nie, jeszcze jej nie było, ani jej, ani nawet SMS-a: Wiedziałam, że jedzie metrem, więc stanęłam tak, żebym mogła widzieć wychodzących z peronu ludzi, przed miniwarszatem szewsko-ślusarskim nad stoiskiem owocowo-warzywnym, gdzie mocno pachniało starą skórą i oliwą. Patrzyłam na przetaczające się przez bramki fale ludzi, fala za falą, twarz za twarzą i na widok tych wszystkich twarzy zdałam sobie sprawę, że nie wiem nawet, jak ona wygląda, że nie jestem tego pewna, bo przecież prawie jej nie znam, i przestraszyłam się, że jej nie rozpoznam, no bo niby jak, skoro spotkałyśmy się tylko pięć razy. Szybko to podliczyłam, podczas gdy ludzie wciąż przechodzili przez bramki: wszyscy mogli być nią, nawet ci zupełnie do niej niepodobni, ci nie tej płci, o nie tej sylwetce, kolorze włosów i nie w tym wieku, tak że aż zakręciło mi się w głowie na myśl o tej jawnej anonimowości moich romantycznych odczuć. Spędziłyśmy razem najpierw trzy godziny, potem dwie godziny, potem pięć, potem siedem, a jeszcze potem sześć i pół w Myhotel. Myhotel - co za głupia nazwa dla hotelu, w którym cuchnęło pastą do mebli tak bardzo, że zanim przyszła, musiałam otworzyć okno i podeprzeć je Biblią na wypadek, gdybym miała atak alergiczny, bo gdyby to był mój hotel, nigdy, ale to nigdy nie użyłabym tak śmierdzącej pasty, tak jak nigdy nie brałabym tyle za pokój

ze sztuczną wilczą skórą na łóżku, z której przez cały czas wylaziła sierść - wylaziła i przyklejała się do nas, bo było gorąco, a my spływałyśmy potem i musiałyśmy ją z siebie zeskubywać, wyjmować z ust, zdejmować z rąk, twarzy i ud. Więc chociaż spotykałyśmy się od pięciu miesięcy, tak naprawdę znałyśmy się dwadzieścia trzy i pół godziny -niecałą dobę.

Ludzie szli, wychodzili i przechodzili, ale nikt nie był nią. Stojąc tam, myślałam o kilku rzeczach naraz, ale przede wszystkim o tym, że nie poznaję samej siebie. Bo kto by w to uwierzył: ja kręcąca się po Liverpool Street Station, jednej z największych stacji kolejowych w Londynie, w poszukiwaniu odrobiny prywatności z dziewczyną, której prawie nie znałam - to było zupełnie do mnie niepodobne, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek robiłam na dworcu, tak niepodobne, że roześmiałam się w głos i pomyślałam: może to nie ja, może to wszystko przydarza się komuś innemu i tylko mi się śni, tak jak w *Poradniku harcerki*, który czytałam jako mała dziewczynka: „Pewnemu panu przyśniło się raz, że jest motylem. Kiedy się obudził, wciąż ten sen pamiętał. I pomyślał: a jeśli tak naprawdę jestem śpiącym motylem, któremu śni się, że jest człowiekiem?”. Po co, u licha, zamieścili tę historyjkę w *Poradniku harcerki*? Autorzy musieli być sprytniejsi, niż wskazywałyby na to wszystkie te wiadomości na temat zdobywania odznak budowniczego szałasów czy młodszego koniuszego, ponieważ dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że lepiej było zdawać na odznaki, które nie miały nazwy, i że może

z jakiegoś powodu pozwolono mi - we śnie - wcielić się w kogoś innego, kogoś, kim zawsze chciałam, ale nigdy nie śmiałam być, kobietę, która chodzi po wszystkich miejscach publicznych w Londynie w poszukiwaniu kącika na szybki numerek z kimś, kogo prawie nie zna i kto, tak czy inaczej, należy do kogoś innego.

A może miałam niedługo umrzeć i Bóg, bogowie, ten lub ci, którzy rezydują wysoko nad tablicami z rozkładem jazdy, nad jaskrawo oświetlonymi sklepami w górnej hali głównej, nad po kościelnemu łukowatym, rozświetlonym, przypominającym przewróconą do góry nogami łódź dachem tej londyńskiej bramy dla pociągów jadących na wschód, nad bankowymi wieżowcami i eleganckimi sklepami, nad ruchem ulicznym, nad wszystkimi dźwiękami i odgłosami, nad chmurami londyńskiego nieba, wyżej niż samoloty, niż astronautki, astronauty i kosmiczne śmieci, hen, u źródła mimo wszystko dobrych zasad rządzących strukturą wszechświata, może ten lub ci postanowili zlitować się nade mną i zanim porwą mnie do piekła lub nieba, pozwolą mi doświadczyć swoistego rajy, odrobiny zakazanej, jakże zaskakującej miłości znikąd. Nie przychodził mi do głowy żaden inny powód, dla którego mogłabym dostać szansę bycia zupełnie kimś innym, całkowicie nową osobą, której wnętrzości były motylami śniącymi, że są kimś, kim tak naprawdę nie są. Drugą częścią nowej mnie była oczywiście część stara, ta z okresem dzieciństwa, wieku dziewczęcego, dojrzałości i życia aż do teraz, i gdy tak stałam na stacji, część ta doszła do wniosku, że to, iż dziewczyny podobają mi się bardziej niż chłopcy, jest winą filmów z

cyklu *Carry On* - dobra, zgoda, to oczywiste, że chodzi mi przede wszystkim o Barbarę Windsor i jej *Carry On Camping*, o fruujące w powietrzu staniki i to, że filmy te (z tą niewinną, pikantną łagodnością, którą wiecznie zblazowani i wszechwiedzący wszyscy już dawno utraciliśmy) nauczyły nas, Jak Polubić Dziewczeta, Jak Być Lubianą, a nawet Jak - nieco później - Być Nieszczęśliwą Żoną Albo Przyjaciółką Wiecznie Cierpiącą, Acz Obdarzoną Mnóstwem Nieoczekiwanej Mocy, zwykle na przykładzie Joan Sims. Ale tak, przede wszystkim chodzi mi o pewien sobotni wieczór pod koniec lat sześćdziesiątych albo na początku siedemdziesiątych: miałam wtedy siedem, może osiem lat i siedząc przed telewizorem w naszym pokoju, oglądałam *Dorożkarzu do dzieła*, teraz już wiem, że z Amandą Barrie, ale wtedy, tamtego wieczoru, Amanda była dla mnie nie Amandą, tylko absolutnie najpiękniejszą dziewczyną ze wszystkich pięknych dziewcząt pracujących u Hattie Jacques w tajnej firmie taksówkowej, którą Hattie zakłada, żeby zemścić się na swoim mężu pracoholiku, bo zamiast zgodnie z obietnicą zabrać ją na uroczystą kolację w rocznicę ślubu, ten przez całą noc pracuje.

GLAMCABS. Zadowolimy Każdego. Proś O Co Chcesz. W Glamcabs pracują dziewczyny, które zamiast jeździć czarnymi londyńskimi taksówkami, tak jak mężczyźni, zasiadają za kierownicą małych, zgrabniutkich cortin z serduszkami na dachu, podświetlonym, kiedy są wolne

i prawdopodobnie różowym, tak jak ich malutkie szpiczaste cortiny (mówię „prawdopodobnie”, bo film jest czarno-biały). Zadziorna, radosna, poważna i beznamiętnie ironiczna jak lapidarna Una Stubbs (choć ona nigdy nie pojechałaby na wycieczkę po Europie londyńskim piętru-sem z kimś równie wyjąłowym jak Cliff Richard¹, ona by się na nim poznała, odróżniłaby dorosłego od nastolatka, zwłaszcza w Anglii czasów foto- i mlekomatów, ona wiedziałaby, czym różni się powojenny szlagier od *Ready-Steady-Go*²), Amanda Barrie - w schludnym, nowiutkim uniformie i zgrabnym, nowiutkim, zawiadacko przekrzywionym toczku na głowie, niczym wytworna stewardesa albo Piotruś Pan - idzie tam, gdzie żadna inna dziewczyna pójść nie śmie, do taksjarskiej kafejki pełnej mężczyzn po trzydziestce, którzy wyglądają jak po pięćdziesiątce (w filmach z tego cyklu wyglądają tak wszyscy faceci; dzisiaj już nie, dzisiaj dorośli nie są już dorośli).

I wchodzi tam ku ich zdumieniu, Amanda Barrie, zuchwała, samotna dziewczyna na ziemi niczyjej, i swoją wytworną, iście królewską angielszczyzną pyta, czy to kawiarnia dla taksówkarzy, a gdy wybałuszone oczy tamtych mówią, że tak, z opadającą intonacją, jakby nie było to pytanie, tylko stwierdzenie, mówi: „W takim razie czy mogłabym prosić filiżankę czaju i coś na ząb?”. Albo Amanda, która nonszalancko piłuje sobie paznokcie, z pięknymi,

¹*Summer Holiday* - film z Cliffem Richardem i Uną Stubbs w rolach głównych.

²Piosenka *Generation X*, brytyjskiej grupy punk-rockowej, działającej w latach 1976-1981.

długimi nogami na masce taksówki, podczas gdy jej pasażer zmienia tylną oponę, w upaakowanym garniturze: bardzo się stara ją zadowolić, za nic nie chciałby robić nic innego. Winą za całe moje późniejsze życie erotyczne obarczam tę scenę, w której Amanda Barrie zdecydowanym krokiem przekroczyła próg drzwi zakazanych dla dziewcząt i kobiet, to, jak piękna, beznamiętna i jak przewrotna była w tym czarno-białym filmie z 1963 roku, jak wspaniale się nosiła, z jaką dyscypliną, i to już wtedy, kilka lat przed swoją naj słynniejszą rolą - Kleopatry w *Kleopatro do dzieła* -bo w *Kleopatrze* też była taka, dokładnie taka sama, po mistrzowsku komiczna i nonszalancka, choć już w technicolorze, zwłaszcza kiedy z ramionami w kropelkach mleka po mlecznej kąpieli patrzy na dorodną blond służącą, którą Kenneth Williams jako Cezar podarował jej w prezencie i jakby po namyśle mówi: „O tak. Przyślijcie mi ją do sypialni”.

Ludzie wciąż wychodzili i wychodzili. Gdy dwa tygodnie temu spotkałyśmy się w Myhotelu, od razu się do mnie dobrała. Spojrzała na moją cipkę i z rozbijającą szczerością powiedziała: „Hmm, będzie świetna zabawa”. Zupełnie się nie znałyśmy. Była wesołą łobuziarką, szcawaną lisicą, gwałtownym pragnieniem i czystą przyjemnością: miała chłopięce biodra i szczuplutkie ciało i była jak jaśniejąca ścieżka wczesnym letnim wieczorem, więc pojechałam tą ścieżką jak na rowerze, takim, którym można jeździć bez trzymanki, z rękami w kieszeniach, bez troski gwizdząc. Ten wieczór był jak wyprawa do miejsca, które jest do-

mem, choć się o tym nie wie, a potem, potem poszliśmy do tego prawdziwego domu, bo sześć i pół godziny minęło i musiałyśmy wracać do naszego życia, życia tych, których kochałyśmy: pisałyśmy do siebie SMS-y z pociągu, aż mój wjechał do tunelu i straciłam zasięg i przez całą drogę w letnim mroku myślałam o tym, że znam ją i jej nie znam, że jest dla mnie zupełnie obca, ale że przecież ją znam, przecież leżąc na mnie w przerwie między pierwszymi rozpoznawczymi stosunkami, bez żadnego powodu -może dlatego, że akurat przyszło jej to do głowy - opowiedziała mi, jak poszła kiedyś do muzeum ruchomych obrazów, do sali Dzikiego Zachodu, gdzie próbowała zmusić jedną z płatnych aktorek z makiety planu filmowego do tego, żeby opowiedziała jej o życiu kowbojów i pionierów, o tym, jak to jest być tancerką w kowbojskiej knajpie, żeby powiedziała cokolwiek ponad to, co kazano jej wyrecytować podczas udawanej strzelaniny w udawanym miasteczku, choćby coś o kobiecych strojach, o strojach ówczesnych tancerek, ale ponieważ tamta patrzyła na nią jak na powietrze, ona pytała dalej i pytania stawały się coraz bardziej surrealistyczne: „Co jedzą tancerki? Przecież musicie coś jeść, prawda? Hodujecie kurczaki? Czy amerykańskie kurczaki różnią się od tych w starym kraju? Czym je karmicie w dziewiętnastym wieku?”. Bardzo mnie to ciekawiło, naprawdę - powiedziała mi wtedy w hotelu, ale aktorka nie chciała odpowiedzieć, tylko lekko kiwała głową i ciągle uciekała wzrokiem w bok. A ona przez cały ten czas leżała z głową na rękach splecionych na moich piersiach

i była taka lekka, miała tak piękną główkę i to, że leżąc na mnie w ten sposób, parodiowała tę aktorkę, że tak jak ona kiwała głową i uciekała wzrokiem w bok, bardzo mnie rozbawiło, bo było chyba seksowniejsze niż sam seks - pomyślałam, stojąc na Liverpool Street Station dwa tygodnie później - to uciekanie wzrokiem w bok w moich ramionach. A kiedy wstałyśmy, ubrałyśmy się i w zapadającym letnim zmierzchu wyszłyśmy z hotelu, kiedy idąc ulicą, pocałowałyśmy się pod wielkim tekturowym Freddie Mer-curym przed kinem, gdzie grali *We Will Rock You*, kiedy zeszłyśmy szybko do metra przy Tottenham Court Road, na szczycie schodów zobaczyłyśmy olbrzymiego, białego psa, i zanim zniknęła w ciemności, lekko podskoczyła, jakby spacer ulicą i widok olbrzymiego samotnego psa był czymś niezwykle podniecającym. Ten podskok też był podniecający, był naprawdę cudowny, tak jak nasza rozmowa o tym, że to nieważne, ale to wcale, czy dojdziemy, czy nie. Hmm, dla mnie to jednak ważne - powiedziałam przekornie, ale z jakiegoś powodu w końcu nie doszłyśmy, ani ona, ani ja, i rzeczywiście nie miało to żadnego znaczenia, bo i bez tego było cudownie, a może dlatego, że w końcu nie doszłyśmy, pomyślałam, może właśnie dlatego było tak sprawiedliwie, łatwo, dziwnie uroczo i wygodnie - przynajmniej jak na spotkanie dwóch prawie obcych sobie kobiet - może wcale nie musiałyśmy dojść, może to za dużo jak na pierwszy raz, bo związany z wzajemną nowością stres zbytnio by nas rozpraszał; tak, to było pewnie to. Podniecająca była nawet rozmowa o tym, że nie będzie-

my nastawiać się na osiągnięcie celu ani nie będziemy się ze sobą ścigać. Wracalam do domu szczęśliwa.

Wokół hali krążył mężczyzna przebrany za kartofel: opływała go i mijała niekończąca się rzeka ludzi, a on rozdawał im ulotki reklamujące nowy rodzaj szybkowaru, i zaczęłam się martwić, bo miałyśmy dla siebie tylko przerwę na lunch, tylko tyle, niecałą godzinę: czas staje się czasem, kiedy się wie, że go nie ma. Czas. Całe to doświadczenie dużo mnie o czasie nauczyło, więc może dlatego, gdy parę dni temu obudził mnie o brzasku śpiew ptaków, długo leżałam, myśląc o moim prapradziadku, który pewnego ranka wstał, włożył garnitur na pizamę, naciągnął nań drugi, a zarazem swój ostatni, zszedł na dół, frontowymi drzwiami wyszedł z domu i porzuciwszy żonę i dzieci, uciekł do Londynu z aktorką, dziewczyną ze słynnych Boothsów (z których jeden, w innym kraju i w innej epoce, zastrzelił prezydenta w teatrze, i z których wywodzili się Tony, ten, który grał zięcia w *Till Death Do Us Part*, i Cherie, która wyszła za Tony'ego, ale zupełnie innego). Poranne ptaszki śpiewały wokół domu, a ja, leżąc, myślałam - chyba pierwszy raz - o niejakiim Parsonsie, moim prapradziadku, który robił francuskie kredensy w Newark i Lincoln, który uciekł do Londynu z aktorką i miał z nią nieślubne dziecko tylko po to, żeby parę lat później, po powrocie do domu, żony i dzieci, znowu zacząć robić kredensy - dotąd myślałam o tym tylko w kategoriach opowieści mającej początek i koniec, w kategoriach kolejności i konsekwencji poszczególnych wydarzeń, ale wtedy po raz pierwszy wyobraziłam

sobie - potrafiłam to sobie wyobrazić - jak tamtego ranka przed moim prapradziadkiem otwiera się szeroka droga, wyobraziłam sobie stan jego dopiero co przebudzonego umysłu, jego czujną, beznadziejną i pełną nadziei ślepotę i to samo wyobraziłam sobie teraz, wypatrując pojedynczej, wciąż nieznanym twarzy w tłumie, który musiał mieć coś wspólnego z tym, co między nimi zaszło, między aktorką i stolarzem (może nawet przechodzili razem przez ten dworzec? Pod tą odwróconą do góry nogami zatłoczoną łodzią, przez ten stary kościół podróżników?), z nowym światłem, jakie prapradziadek ujrzał tamtego jakże innego poranka, zapinając guziki jednej marynarki, a potem tej, którą włożył na tamtą, całkowicie przekonany, że nie licząc aktorki, te dwa garnitury są wszystkim, czego potrzebuje.

Jak się odnaleźli, jak pierwszy raz się dotknęli, kto pocałował kogo, kto kogo otworzył i czy zawsze był hul-tajem, mój prapradziadek, a ja potomkiem długiej linii rozpasanych Parsonsów i dopiero teraz odkryłam w sobie tę skłonność? Czy też była to miłość, to znaczy, czy tak uważali, ona i on, czy zaklinali się, że tak jest, czy czuli tak do chwili, kiedy to, co brali za miłość, skończyło się i po prostu wrócili do domu? Czy miłość naprawdę się kończy? Po raz pierwszy potrafiłam sobie wyobrazić, jak się czuł, wtedy, przed laty, stojąc niezdarnie w dwóch garniturach w otwartych drzwiach domu tuż przed. Ludzie mijali mnie i mijali, ale nikt nie był nią.

I czy ja, ta, którą wycelowano do nowego zadziwienia w prawie pustym barze przy Old Compton Street pewnego

sierpniowego czwartku dwa tygodnie temu, jestem nikim więcej jak tylko wredną łajdaczką, mimo że po powrocie do domu szalałam z radości (przygoda, mam przygodę), czy też niewinnym kurczątkiem w pysku lisicy, która kazała mi usiąść sobie na twarzy, a pokaże mi świat (przygoda! Mam przygodę!) - lisicy, która tak naprawdę spieszy do domu nakarmić swoje słodkie lisiątka o cuchnących pyszczkach? Nie, miałam szczęście, doznałam łaski, otrzymałam dar miłości znikąd, która wybrała mnie z tłumu. Prawda? Za kilka minut odwrócę się i ją zobaczę, za kilka minut pojawi się za mną i skreśli w moją stronę, wyszedłszy z peronu innym wyjściem, tym, którego pewnie nie znam. Od razu ją poznam. Oczywiście, że tak. Ludzie będą przechodzili obojętnie między nami, a my będziemy stały, nie widząc nikogo oprócz nas. Ona weźmie mnie za rękę i zaprowadzi do fotoautomatu w hali głównej. PHOTOVISION. Zdjęcie w Trzy Minuty. Za zasłoną, w białym boksie, dziwnym trafem odpowiedniej wielkości, oprze się o mały regulowany fotel, chwyci mnie za rękę i łagodnym, lecz stanowczym ruchem założy mi je na plecy. Uniosę wtedy brew, ona uniesie swoją i zdam sobie sprawę, że nie mogę się poruszyć, a wówczas ona rozepnie mnie wolną ręką i mniej więcej trzy minuty później dojdę pierwszy raz - w rytm muzyki pop z jakiegoś stoiska za automatem z butami, słodyczami czy owocami, a potem, znacznie później, zapomnę jedną melodię z trzech, które wtedy puszczali, ale nigdy nie zapomnę pozostałych dwóch, bo były

zabawne i celne jak zupełnie przypadkowy komiczny żart: *Can't Get Enough of Your Love* Barry'ego White'a i *If I Can't Have You* Yvonne Elliman, więc będzie tak, jakby przeniesiono nas w czasie do lat siedemdziesiątych i zwrócono nastoletni tupet, i kiedy zacznie się ta druga, ze swoim wspaniałym crescendo i gwałtownym wyciszeniem, gdy zagrzmi to rozkołysane orkiestrowe disco, będę już po, bo spełnienie nadejdzie nagle i niespodziewanie, jakby to nie ja, tylko moje ciało stało się na chwilę pijaną cząsteczką rytmu, i kiedy zacznie się piosenka, naprę na nią, na jej otwarte usta i rękę między moimi udami, i spojrzę na nią z nonszalancją, która zawsze skutkuje, a wtedy ona lekko wzruszy ramionami, bezczelnie uniesie brew i niemo spyta: „Zatańczymy?”.

Zostaniemy tam tylko na czas trwania tych trzech piosenek o miłości, na dziewięć, dziesięć minut napowietrznej gry, nie dłużej, a potem rozsuniemy zasłonę dzielącą nas od dworca i znowu znajdziemy się wśród setek innych ludzi: będzie chłodniej niż tam - powietrze w boksie musiało się bardzo rozgrzać - i nasz czas dobiegnie końca, a za kilka tygodni, kiedy będę tędy przechodziła, zobaczę, że zasłona jest o wiele za krótka na to, co tam robiłyśmy, a ponad rok później, przechodząc przez zatłoczoną halę w drodze dokądś tam, zauważę, że fotoautomat zniknął, że zastąpił go automat z biletami i dwie tablice informacyjne, i że hala wygląda tak, jakby nigdy go tam nie było.

Jeszcze tego nie wiedziałam, nie wtedy, nie wiedziałam, że tak będzie, ale spójrzmy prawdzie w oczy: nie wiedzia-

łam prawie nic i wszystko - albo nic - wciąż było przede mną i wszystko - albo nic - miało dopiero odejść. W tamtej chwili wiedziałam tylko tyle, że szukałam dobrego miejsca, że jestem jak nigdy dotąd rozpasana, a teraz stałam na dworcu, czekając na kogoś, kogo ledwie znałam.

Ale w życiu nie ma chyba niczego lepszego niż otwarte na oścież drzwi, chwil piękniejszych niż ta, kiedy przeszłość i przyszłość przestają mieć znaczenie, bo ten końcowy akt jest jednocześnie aktem początkowym dla chwili zupełnie nowej, od której wszystko znowu zaczyna się liczyć i ma zupełnie inną choreografię. Tak więc stałam między historią i nadzieją na szczycie schodów londyńskiego dworca, wdychając słodki, cuchnący, prastary zapach skóry i metalu. Był wtorek, pora lunchu, było tłoczno i hałaśliwie, a ja czekałam na kogoś, kogo prawie nie znałam. Ludzie mijali mnie i mijali, jak zazwyczaj mijają się ludzie, setki i tysiące, a w tym, co robiłam, nie było niczego nowego, to, co robiłam, było starsze niż komedia i tragedia, było stare jak świat. Ale to równie stare, zielone miasto wciąż żyło, wciąż kipiało możliwościami - tak, nie ma to jak ten znany świat: jedna na drugiej, jedna na drugiej, jak płatki starej róży, więc każdy mógł być tym kimś - dlatego patrząc na ich twarze, przenosząc wzrok z twarzy na twarz, z twarzy następnej na kolejną, za każdym razem słyszałam w sobie coś, co brzmiało jak bezgłośny łopot małych skrzydeł: No? Na co czekasz? Przecież tu jestem.

BUNTY B. ROAD

Po pogrzebie

Wszystko przez ten śmiech. Kompletnie niestosowny śmiech, który rozbrzmiał echem w kaplicy, gdy czekali, aż zacznie się nabożeństwo. Lizzie natychmiast go rozpoznała. Krótki, spontaniczny, szczekliwy śmiech uczniaka, trochę chrapliwy, tak jak jego głos. Głowa odwróciła się błyskawicznie sama, zanim jeszcze Lizzie wydała jej rozkaz, no i proszę, był tam: Mark Le Broyeux.

I chociaż wszyscy też się odwrócili, żeby zobaczyć, komu zawdzięczają ten akt niesmacznej wesołości, on patrzył tylko na nią.

Może dlatego, że była w tym głupim kapeluszu z długimi, czarnymi piórami, może to przykuło jego wzrok? Martwiła się, że kapelusz jest trochę za krzykliwy jak na pogrzeb. Ale szybko o nim zapomniała. Mark wciąż na nią patrzył i wciąż się uśmiechał.

Niebieskie oczy. Te same ciemnoniebieskie oczy. Oczy, którymi mógł przejrzeć ją na wylot. Ścisnęło ją w brzuchu, jak zawsze, kiedy był w pobliżu. W brzuchu i trochę

nizej, na południe od brzucha. Znowu się zaczyna, pomyślała.

Uśmiechnął się szeroko, a ona, lekko skrepowana, pomachała mu ręką. Patrzyli na nich ludzie. No i byli na pogrzebie.

- Zaczekam - powiedział bezgłośnie, entuzjastycznie kiwając głową i unosząc brwi.

Lizzie też kiwnęła głową i gdy zabrzmiały niemożliwie smutne takty kantaty Mahlera, spojrzała przed siebie. Robiła wszystko, żeby nie promienieć radością.

Nosi okulary, pomyślała, wstając. I kiedy mijała ją trumna, mogła myśleć tylko o tym, jak cudownie w nich wygląda, w tych okularach w grubej, czarnej oprawce. I o tym, że granatowa kaszmirowa kurtka, którą jakimś cudem zdążyła zobaczyć, choć tylko na niego zerknęła, jeszcze bardziej pogłębia błękit oczu.

Mimowolnie westchnęła, dość głośno. Stojąca obok Bella ścisnęła ją za rękę, najwyraźniej myśląc, że jej najlepsza przyjaciółka uległa emocjom. Lizzie odwzajemniła uścisk. Z poczuciem winy, bo rzeczywiście uległa. Tyle że innym.

Czy on nie jest przypadkiem w szaliku w groszki? To byłoby takie do niego podobne.

Wesoły akcent na ponurą okazję. Bardzo chciała się odwrócić i spojrzeć jeszcze raz i tylko z największym trudem skupiła się na tym, gdzie była i po co tu przyszła.

Ale jej umysł żył własnym życiem, jak zawsze przy Marku. I zastanawiał się właśnie, co by pomyśleli ludzie, gdyby dyskretnie do niego podeszła.

Przecisnęłyby się grzecznie między rzędem kolan i oparciem - przepraszam, bardzo przepraszam, przepraszam... -i usiadłaby obok niego. Potem położyłaby na podłodze haftowany klęcznik, uklękła, po cichu rozpięła mu kurtkę, potem rozporek i nawet nie dotykając go rękami, tak bez trzymanki, wsunęłyby do ust jego członek.

Wiedziała, że momentalnie by stwardniał i zaczął podrygiwać jak wyrzucona na brzeg ryba. A kiedy byłby już twardy jak kamień, przesunęłyby językiem po samym czubku, podrażniła go, wsunęła jeszcze głębiej i coraz szybciej poruszając głową, coraz mocniej by go ssła.

Wyobraziła sobie z uśmiechem swój kapelusz, długie pióra kiwające się wesoło i rytmicznie do chwili, kiedy Mark chwyciłby ją nagle za głowę i z głośnym sapnięciem wytrysnął. Może zgromadzeni nagrodziliby ich oklaskami?

- Módlmy się - powiedział pastor.

Henry na pewno by klaskał, pomyślała, patrząc na porządek nabożeństwa i nic nie widząc. Henry, który leżał teraz na katafalku przed ołtarzem. Jeden z jej najstarszych przyjaciół - jej i oczywiście Marka.

Już o tym zapomniała, ale teraz sobie przypominała: gdyby nie Henry, nigdy by go nie poznała. Po z górą czterdziestu latach musiała wyteńczyć pamięć, żeby wszystko sobie przypomnieć, ale czy nie chodzili razem do szkoły? Tak, do Stowe. A potem Henry studiował z nią sztuki piękne i tamtego lata spotkali się we troje na czyichś dwudziestych pierwszych urodzinach.

Nie miała pojęcia, na czyich, bo już nie pamiętała, za to doskonale pamiętała chwile, kiedy pierwszy raz go zobaczyła, takiego przystojnego w smokingu, z zaróżowionymi od tańca policzkami, w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i w połóżnionym czarnym krawacie. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, było jednak natychmiastowe poczucie głębi. Bo pod tą buńczuczną chełpliwością, typową dla studenta prywatnej szkoły, dostrzegła coś jeszcze. I z biegiem lat to coś zrobiło z niego bankiera, jak wszyscy się spodziewali, tylko skromnego, znanego pisarza.

I właśnie to od początku ją pociągało. Ta głębia. Ta przenikliwość. To i jego ciemnoniebieskie oczy. Ciało sportowca. Radosny śmiech. I przekonanie, że jest świetny w łóżku. Nigdy nie miała okazji tego sprawdzić i bywały w iei życiu chwile, kiedy doprowadzało ją to do szaleństwa. Ta straszliwa, pełna frustracji niepewność, jak też wygląda jego członek.

To zabawne, pomyślała, kiedy brat Henry'ego stanął przed ołtarzem, by wygłosić mowę pogrzebową, że przez te wszystkie lata utrzymywała kontakt z trudnym drazhwym i humorzastym Henrym, ale straciła kontakt z Markiem. Przecież Mark zawsze podobał jej się bardziej. O wiele bardziej. Aż za bardzo. Na tym polegał problem, właśnie dlatego ich drogi się w końcu rozeszły.

Mówiąc tak zupełnie szczerze, straciła go celowo, bo to że jako mężatka czuła coś takiego do żonatego mężczyzny bardzo ją dezorientowało i zupełnie się w tym pogubiła. Przez te wszystkie lata ich status małżeński kilka razy ulegał zmianie, ale zawsze było tak, że albo on miał żonę, albo ona męża.

No i proszę: kaszmirowa kurtka, okulary w grubej, czarnej oprawce - znowu tu był, znowu patrzył na nią tymi przenikliwymi oczami. Jego włosy, kiedyś ciemne i błyszczące, były teraz siwe, twarz pomarszczona i trochę już obwisła, mimo to jednym uśmiechem i obietnicą czegoś więcej wciąż potrafił zrobić z niej napaloną zboczuchę.

Tylko czego więcej? No właśnie, tego nie wiedziała. Od pierwszej chwili, od tamtego spotkania, kiedy to obydwójce ryknęli śmiechem z jego kawału, zadzierzgnęła się między nimi silna więź, ale nie była to więź romantyczna. Nie od razu. Było to raczej spotkanie umysłów, które - przynajmniej dla niej - przerodziło się w pragnienie, żeby doszło również do spotkania ich gonad.

Ale przez cały ten czas nie wiedziała, czy on czuje to samo do niej. Może później czuł, ale nigdy nie była pewna tego na tyle, by zacząć działać. Ani na tyle niezamężna.

Nie żeby z nią kiedykolwiek flirtował czy ją prowokował, a już na pewno nie próbował jej uwieść, ale wiedziała, że zawsze cieszył się na jej widok. Tak jak dzisiaj. Bo kiedy ją zobaczył, w jego oczach dostrzegła ten charakterystyczny błysk. Znak, że jej pożądał, tak po prostu. Sęk w tym, że nie wiedziała tego na pewno.

I nagle przypomniała sobie ze zdumieniem, że dawno temu, dwadzieścia lat przed tym pogrzebem, był taki wieczór, kiedy omal do czegoś nie doszło. Siedzieli obok sie-

bie na przyjęciu z okazji czterdziestych urodzin znajomego i kiedy wszyscy poszli tańczyć, zostali sami w ciemnym kącie ogrodowego namiotu.

Rozmawiali, rozmawiali i rozmawiali, tak jak zawsze, chociaż inaczej. Bo długo patrzyli sobie w oczy, bo namiot przestał istnieć, a ich głowy zbliżały się do siebie coraz bardziej i bardziej.

Oszołomiona, zbyt odurzona, żeby pamiętać o swoim mężu Tomie, który też gdzieś tam był, już myślała, że ją pocałuje, gdy nagle ktoś przysiadł się do nich z butelką szampana i wszystko zepsuł.

Cholera, pomyślała, bo ni z tego, ni z owego przypomniała sobie, kto to był. To był Henry. Biedny, stary Henry. Zawsze podejrzewała, że Mark podobał się mu tak jak jej. Ale tego też nie wiedziała na pewno.

Niedługo po przyjęciu po raz ostatni rozmawiali przez telefon. Zadzwoiła do niego nierozważnie po dwóch dużych kieliszkach ciężkiego czerwonego wina, kiedy Tom był w pracy.

Udała, że dzwoni ot tak, po prostu, do starego przyjaciela, żeby zaproponować lunch i zwiedzanie wystawy, która by ich zainteresowała. Ale tak naprawdę nie było w tym telefonie niczego przypadkowego czy spontanicznego.

Mam dość, uznała z przekonaniem po drugim kieliszku. Zaprosi go na lunch i wszystko mu powie. Przyprze go do ściany w Whitechapel Art Gallery i pocałuje tak mocno, że zakreści mu się w głowie.

A potem, jeśli Mark odda pocałunek - a była pewna, że tak będzie - weźmie go za rękę i włoży ją sobie pod spódnicę, tam, gdzie kończyły się czarne pończochy i zaczynały uda.

Czterdziestotrzyletnie uda, wciąż gładkie i jędrne, dlatego wiedziała, że kiedy tylko Mark poczuje ich miękką jedwabistość, jego ręka powędruje niepowstrzymanie pod skraj majteczek, by odnaleźć jej sekretne wargi, gorące już i śliskie z pożądania.

Kochaliby się tam? - pomyślała, gdy usiedli na czytanie. Przy ścianie. Pod murem.

Obydwoje byli odpowiedniego wzrostu: miała okazję sprawdzić to tylko raz, kiedyś, podczas powolnego, nieznośnie cudownego tańca. Odpowiedniego pod warunkiem, że włożyłaby coś na wysokim obcasie, więc na pewno by włożyła. Tak, czarne, szpiczaste, błyszczące kozaczki. Na myśl o tym poruszyła się niespokojnie i poprawiła w ławce. Jej łechtaczkę podrażniło miłe mrowienie.

Skrzyżowała nogi, mocno je zacisnęła i dno jej miednicy przeszedł silny dreszcz, gdy wyobraziła sobie, jak wchodzi w nią jednym pchnięciem, jak ją dźga, jak bierze ją na tym ceglany murze.

Czuła, że nabrzmał jej punkt G i wiercąc się na drewnianej ławce, zastanawiała się, czy zaraz dojdzie i czy ktoś to zauważy. Bella spojrzała na nią pytająco i Lizzie znieruchomiała.

Pastor głądził o „drogich przyjaciółach”, więc natychmiast wróciła myślą do nich i do ciemnego korytarza w Whitechapel. Byłoby cholernie podniecająco.

Chociaż, z drugiej strony, zawsze wyobrażała sobie, że jeśli kiedykolwiek do czegoś między nimi dojdzie, ten

pierwszy raz będzie trochę bardziej romantyczny. Może by gdzieś wyjechali? Bo czyż nie tak zaczyna się większość romansów?

Nie miała pojęcia. Nigdy nie zdradziła Toma ani swego pierwszego męża Conrada. Nie należała do tych, co zdradzają; pewnie dlatego, że nie umiała kłamać. Ale nawet myśli o Marku przyprawiały ją o wyrzuty sumienia. Nie mówiąc już o snach. O tych niesamowitych snach, z których często budziła się wstrząsana potężnym orgazmem, nie mogąc uwierzyć, że go przy niej nie ma.

Były tak nieprawdopodobnie plastyczne, że doszła wreszcie do wniosku - tego wieczoru, gdy zadzwoniła do niego ostatni raz - że równie dobrze może zrobić to naprawdę. I kiedy odebrał, kiedy usłyszał, że to ona, w jego głosie zabrzmiała wyraźna nutka bezbrzeżnej przyjemności. Zabrzmiała, zanim zdążył nad sobą zapanować i była to najwyraźniejsza wskazówka, jaką kiedykolwiek do niego dostała, że nim też mogą miotać podobne uczucia. Nie platoniczna przyjaźń, tylko dzika, romantyczna, przesycona żądzą miłość. Ale w końcu nie poszli na lunch. Podczas tej odurzająco ciepłej dla niej pogawędki postanowili ustalić datę przez Internet. Ale zanim ją ustalili, Mark poznał swoją drugą żonę na jakimś przyjęciu.

Oto jak szybko się to dzieje, kiedy ktoś jest oficjalnie wolny, tak jak on. A kiedy jest się mężatką, tak jak ona, wtedy nie bardzo można protestować.

Po części cieszyła się jego szczęściem. Skoro nie mogła go mieć - a widocznie, cholera, nie mogła - nie zniosłaby myśli, że jest samotny. Zwłaszcza że wbrew temu wszystkiemu była szczęśliwa z Tomem. To, że mając tak miłego męża, tak bardzo pragnęła Marka, było

przejawem obrzydliwej zachłanności. Tak miłego męża i wspaniałe dzieci. Jakże siebie nienawidziła.

To właśnie wtedy podjęła dobrze przemyślaną decyzję, żeby przestać się do niego odzywać, nawet jako do przyjaciela, przez telefon, Internet czy nawet poprzez kartki świąteczne. Po prostu nie ufała swoim uczuciom. Z trudem ukrywała je przed mężem i przed samym Markiem, ale wiedziała, że nie ukryje ich przed inną kobietą. Lepiej było dać temu spokój.

Dwadzieścia lat i żadnego kontaktu; właśnie podziwiała siebie za tę samodyscyplinę, gdy organy zagrały kolejny hymn. Chociaż z drugiej strony ciągle jej się śnił. A teraz znowu tu był, we własnej osobie, i okazało się, że wciąż działa na nią tak samo jak kiedyś. Jej serce - a już na pewno myszka - najwyraźniej nie liczyły czasu.

Pozostałą część nabożeństwa pamiętała jak przez mgłę, chociaż siadała i wstawała w odpowiednich chwilach i wzięła się w garść na tyle, by pod koniec serdecznie uściskać partnera Henry'ego, Erica, i wymóc na nim obietnicę jak najszybszych odwiedzin.

Biedaczek był okropnie przybity. Nic dziwnego. Byli razem, odkąd ona zakochała się bez wzajemności w Marku, to znaczy - obliczyła to i aż się wzdrygnęła - przez ponad czterdzieści pięć lat.

A tu proszę. Gdy wyszła, stał przed kaplicą i sądząc po uśmiechu, czekał na nią w tych nowych dla niej okularach, w których odbijały się promienie jasnego zimowego słońca. Objęli się. Jak starzy przyjaciele. Kontakt górną częścią ciała między dwojgiem ludzi, którzy właśnie pożegnali kogoś, kogo poznali, mając dziewiętnaście lat. Uścisk pełen wspólnych wspomnień i świadomości, że oni też kiedyś odejdą. Ale kiedy spojrzał jej w oczy, tak głęboko, jak to on, nie wypuszczając jej z objęć, czy nie dostrzegła w jego twarzy czegoś jeszcze? A może to jej serce wciąż robiło stare sztuczki? Nie wiedziała tego jako dwudziestosiedmioletnia dziewczyna, nie wiedziała jako czterdziestotrzyletnia kobieta, nie wiedziała tego i teraz.

Z kaplicy wyszła Bella, która też ucieszyła się na jego widok. Ostatecznie знаła go równie długo jak ona, chociaż nie tak dobrze. Wycelowali się i we troje rozmawiali o Henrym, dopóki Bella nie odeszła, żeby z kimś się przywitać i wdać w tę dziwną, przyciszoną towarzysko-żałobną rozmowę, do jakich dochodzi na pogrzebie.

Lizzie spojrzała niepewnie na Marka, myśląc, że on też odejdzie, żeby porozmawiać z kolejnym znajomym, ale nie, Mark ani drgnął i wciąż na nią patrzył.

- Chodź, napijemy się czegoś - powiedział.

- Teraz? - spytała i natychmiast pomyślała: Boże, jak głupio to zabrzmiało.

Mark kiwnął głową.

- Erie nie będzie czuwał przy zwłokach. Wyjeżdża. Za parę tygodni chce zorganizować w mieście wielki jubel. -

Zrobił pauzę i wykrzywił usta w szyderczym uśmieszku, który tak dobrze pamiętała i na widok którego znowu ścisnęło ją w żołądku. - Moglibyśmy się wymknąć.

- Dobrze - odparła, bo rzeczywiście mogli. Przyjechała tu sama, pociągiem, więc nie nikomu do tego, jak zamierzała wrócić.

Samochód stał za rogiem, dwumiejscowy, sportowy. Lizzie była pod wrażeniem. Mark musi nieźle zarabiać na tantiemach, pomyślała, rzucając kapelusz za fotel.

Zamiast od razu uruchomić silnik, siedział przez chwilę w milczeniu, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Zostanę tu przez jakiś czas - powiedział w końcu. - Zawsze mi się tu podobało, więc zostanę i trochę popiszę. Zatrzymałem się w bardzo ładnym hotelu. Pojedziemy tam? Kiwnęła głową. Było jej wszystko jedno, dokąd pojedą. Nie otrząsnęła się jeszcze z wrażenia, że nareszcie są razem.

- Nauczyłaś się w końcu prowadzić? - spytał, gdy ruszyli i wzruszyło ją, że wciąż pamięta jej dziwną przypadłość. Mimo wielu podejść nie zdała egzaminu na prawo jazdy.

Pomyślała, że pewnie się zaczerwieniła, więc zaczęła wypytywać go o jego książki, aż skręcili na zwirowy podjazd przed pięknym siedemnastowiecznym pałacykiem z czerwonej cegły w stylu Wilhelma i Marii.

- Wspaniały, prawda? - spytał Mark.

Kiwnęła głową, lecz podobnie jak on nie zrobiła żadnego ruchu, by wysiąść, więc wciąż siedzieli w samochodzie. Ona nie chciała burzyć tej ekscytującej atmosfery, która się

między nimi wytworzyła, on pewnie też nie, i czuła się tak, jakby przeniesiono ich w czasie do tej zwodniczej chwili na przyjęciu przed dwudziestu laty.

- Powiedz - rzucił w końcu, patrząc jej w oczy tak jak tamtego wieczoru. - Wciąż jesteś mężatką?

- Nie. - Ona też patrzyła mu w oczy. - Tom zmarł trzy lata temu.

- Tak mi przykro. Nie wiedziałem. Był wspaniałym facetem. Musiało być ci ciężko.

- A ty? - zaryzykowała załamującym się, niemal piskliwym głosem. - Jesteś' żonaty?

- Bywam, jak zwykle. To u mnie standard.

- Nie? Co się stało?

- Z Tina?

Lizzie zrobiła zaskoczoną minę.

- Nie z Polly?

- A tak, była i Polly, ale okazało się, że to niewypał. -Roześmiał się, choć z goryczą. -

Potem była Tina, ale żyliśmy na kocią łapę. Zresztą i tak odeszła. Kolejny niewypał. To chyba moja specjalność, więc jak na razie jestem sam.

Tak jak ja, pomyślała. Po raz pierwszy od początku ich znajomości obydwójce byli wolni.

Mark musiał pomyśleć o tym samym, i to w tym samym momencie.

- Lizzie - powiedział cicho. - Chyba już nie mam ochoty na drinka. Ani na towarzystwo.

Przez jedną straszną chwilę Lizzie myślała, że chce ją odprawić.

Ale wtedy spojrział na nią tym przenikliwym wzrokiem

i delikatnie wziął za rękę. Był to najbardziej intymny gest, jaki kiedykolwiek wykonał w jej stronę, dlatego z zaskoczenia prawie przestała oddychać.

Wciąż patrząc jej w oczy, powoli podniósł rękę do twarzy i czule musnął ustami jej czarną skórzaną rękawiczkę.

- Lizard, pójdziesz ze mną do pokoju? Uśmiechnęła się i zamrugała. Tak ją kiedyś nazywał.

Lizard. Jaszczurka. Już o tym zapomniała. Cieszyła się, że jest w dużych ciemnych okularach, które włożyła po wyjściu z kaplicy. Mogła ukryć za nimi swoje uczucia. A miała co ukrywać.

Pokój był ogromny i piękny. Miał cztery okna wychodzące na ogród, olbrzymie łoże z baldachimem i żółtymi jedwabnymi zasłonami - Czy to jest to? - pomyślała. Czy to naprawdę jest to?

Żeby ukryć zdenerwowanie, stanęła przy oknie zbyt przerażona, by uwierzyć, że oto nadeszła ta jakże długo oczekiwana chwila. A potem, kiedy poczuła, jak Mark obejmuje ją od tyłu, widok, na który patrzyła, rozmył się jej przed oczami.

Objął ją i delikatnie pocałował w kark. Świat przestał istnieć, istniały tylko ich ciała.

Odwróciła się w jego ramionach i ujęła w dłonie jego twarz, piękne policzki, które tak dobrze знаła. Był już bez okularów.

- Kocham cię - szepnął, patrząc jej w oczy, przenikając ją wzrokiem na wskroś, jak to on. - Kocham cię od prawie pięćdziesięciu lat, od pięćdziesięciu lat cholernie mi się podobasz. Proszę, czy mogę w końcu cię pocałować?

Lizzy miała ochotę wybuchnąć radosnym śmiechem, miała ochotę krzyczeć, wiwatować i skakać po całym pokoju. Podobała się Markowi le Broyeux. Mark le Broyeux ją kochał. Nie mogła w to uwierzyć, ale uwierzyła. Bo jak mógł nie kochać jej i nie pragnąć, skoro ona kochała go i pragnęła przez tyle lat?

Nie odpowiedziała, tylko podała mu usta. Zamknęła oczy, czując, jak pierwszy raz w życiu dotyka jej języka swoim i zdumiała się, że jest dokładnie tak, jak zawsze to sobie wyobrażała.

W ciągu tych wszystkich lat zastanawiała się czasem, czy nie przeżyje rozczarowania, jeśli to, o czym tak długo marzyła, kiedyś się spełni. A jeśli się okaże, że Mark nie umie się całować? Znała kilku takich. Ale nie, umiał, i to jak. I właśnie ją całował. Tak jak chciał. A potem przestała świadomie myśleć. Zatraciła się fizycznie w jego ustach, jego bliskości, zapachu, dotyku jego piersi, gdy zdjął marynarkę i rozpiął koszulę.

Kładąc mu rękę na ramieniu, czuła się jak Edmund Hillary z flagą na szczycie Everestu. Wciąż miał mięśnie. Skóra była miękka i trochę zwiotczała, ale mięśnie wciąż silne i mocno zarysowane.

Doskonale pamiętała pewną chwilę w jego ogrodzie przed laty, kiedy w samym podkoszulku - właśnie wrócił z przebieżki - postawił przed nią filiżankę herbaty. Wtedy też widziała te mięśnie, widziała, jak falują pod skórą. Tyle razy fantazjowała o jego ramionach, kochając się z Tomem, że wciąż nie mogła uwierzyć, że naprawdę ich dotyka. Ściągnęła z niego koszulę i delikatnie zatopiła zęby w bicepsie.

- Aj! - krzyknął żartobliwie.

Rozpiął jej sukienkę, ujął w dłonie piersi, podniósł je, pochylił głowę i przez koronkowy stanik polizał sutki.

- Boże - szepnął. - Jakie piękne. Nie mogę uwierzyć, że w końcu je całuję.

Pomógł jej zdjąć sukienkę i powoli opuścił ramiączka, żeby zupełnie je uwolnić.

Trzymając jedną w jednej ręce, drugą w drugiej, ucałował je delikatnie, a potem zaczął mocno ssać sutki.

- Są cudowne - wymruczał.

Lizzie spojrzała w dół i zobaczyła jego głowę na tle pomarszczonej skóry dekoltu. Piersi miała smutne i zapadnięte i nagle poczuła się skrepowana, że Mark patrzy na nie w świetle dnia.

- Szkoda, że nie widziałeś ich czterdzieści lat temu - powiedziała i natychmiast tego pożałowała.

- Widziałem - odparł ze śmiechem. - Jak myślisz, dlaczego mam obsesję na ich punkcie?

- Widziałeś? Kiedy? - spytała, zastanawiając się, czy nie zrobiła czegoś głupiego po pijanemu. W tamtych czasach ostro balowali i wiedziała, że nie zawsze zachowywała się obyczajnie. Ostatecznie studiowała sztuki piękne.

Wyprostował się, objął ją i przytuliwszy pierś do jej nagich piersi, zaczął przekornie się o nią ocierać.

- Pamiętasz, jak w domu rodziców Henry'ego poszliśmy popływać?

Kiwnęła głową. Oczywiście, że pamiętała. Każde ich spotkanie pamiętała z najdrobniejszymi szczegółami.

- Przypadkowo wszedłem do pokoju bilardowego, kiedy tam byłaś. Nie widziałaś mnie, bo właśnie zdejmowałaś podkoszulek i przez kilka sekund widziałem je od przodu, w pełnej krasie. Pocieszałem się tym widokiem przez wiele samotnych nocy.

Od tamtego czasu minęło co najmniej czterdzieści lat, ale Lizzie wciąż pamiętała trzask drzwi w to upalne popołudnie, kiedy przebierała się w bikini. Myślała, że to któreś z dzieci i o wiele bardziej zaniepokoiło ją to, że po wyjściu z pokoju przekonała się, iż Mark gdzieś przepadł. Uznała wtedy, że w kostiumie kąpielowym jest dla niego tak odpychająca, że wolał gdzieś uciec.

- Gdzieś ty wtedy przepadł? - spytała. - Bardzo długo cię nie było.

Roześmiał się wesoło.

- Byłem w samych kąpielówkach, a w kąpielówkach trudno jest ukryć potężny wzwód. Musiałem zniknąć, żeby dojść do siebie. - Lizzie odchyliła się do tyłu i też się roześmiała, kręcąc głową.

- I wiesz... - Mark wziął ją za rękę i poprowadził do łóżka. - Najbardziej zdumiewające jest to, że teraz też taki mam.

Wcale nie żartował. Przez te wszystkie lata udało jej się zobaczyć ramiona, nogi, palce u nóg i plecy. Lubiła patrzeć na jego umięśnione ramiona, eleganckie palce i zarys pośladeków, ale nigdy dotąd nie widziała jego członka.

Zastanawiała się, ile godzin życia poświęciła na spekulowanie, jak też może wyglądać. A jeśli jest malutki albo dziwaczny? Może właśnie dlatego Mark nie próbował jej podrywać. Ale nie, nie był. Kiedy powoli rozpięła mu rozporek, kiedy zsunęła spodnie i bokserki, przekonała się, że jest równie wspaniały jak cała reszta.

I tak jak wyobrażała to sobie w kaplicy, wzięła go do ust i popieściła językiem główkę. Rozchyliła wargi i lekko dmuchnęła, a potem zaczęła lizać go to wzdłuż, to w poprzek i wokoło. W końcu ujęła go mocno w dłoń i opuszczała głowę tak nisko, że cały zniknął jej w ustach i częściowo w gardle.

- Cholera. - Mark jęknął głośno i przeciągle. - Lepiej przestań.

Lizzie spojrzała na niego, przestała poruszać głową i nie wypuszczając penisa z ręki spytała:

- Dlaczego?

Podniósł głowę z poduszki i spojrzał na nią, chyba z zadziwieniem. Lizzie delikatnie podrażniła więzadełko.

- Nie jest ci... hmm... przyjemnie?

Mark uśmiechnął się, usiadł i pociągnął ją na siebie.

- Ty świntuszko - powiedział ze śmiechem. - Moja piękna świntuszko.

Przewrócił ją na plecy, płynnym ruchem położył się na niej i rozsunął kolanami nogi.

Głośno sapnęła, czując, jak delikatnie wkłada tam palce, jak wsuwa je i wysuwa, śliz-

gając się w jej gładkim, śliskim wnętrzu. Myślała, że od razu w nią wejdzie, ale on chwycił ją za kolana silnymi rękami i jeszcze szerzej rozłożył nogi.

Znieruchomiał i patrzył na nią przez chwilę.

- Jesteś śliczna - szepnął i opuścił głowę.

Kiedy musnął językiem łechtaczkę, jęknęła, co bardzo ją zaskoczyło. Ale potem było jeszcze lepiej, bo sunął po niej całą szerokością języka, zataczał czubkiem małe kręgi, a kiedy znowu włożył tam dwa palce i zaczął uciskać od środka w rytm ruchów języka, poczuła, że to już zaraz.

- Mark - wychrypiała, ciągnąc go za głowę. - Ja... ja... nie chcę... Chcę... teraz.

Wtedy uśmiechnął się i ukląkł. Ujął członek, zacisnął na nim palce i patrząc na nią, kilka razy przesunął nimi w górę i w dół. Lizzie jęknęła i wyciągnęła do niego ręce.

Poczuła, że czubkiem penisa rozchyła jej wargi i gwałtownie otworzyła oczy, gdy w nią wszedł. Zdała sobie sprawę, że to punkt zwrotny.

Miała jego członek w ustach i czuła w sobie jego język, ale na ten moment czekała prawie czterdzieści lat. Mark le Broyeux się z nią kochał.

Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy, tak jak zawsze, choć inaczej, bo głębiej. I nie przestając na nią patrzeć, wyszedł z niej prawie cały, by powoli znowu w nią wejść. Z kącika oka spłynęła jej łza, a on scalał ją czule, nie przestając się poruszać.

A potem wszystko rozmyło się w rytmie i doznaniach, aż jego ruchy stały się szybsze i gwałtowniejsze, aż poczu-

ła, że narasta w niej wielka fala, że narasta i narasta, by w końcu runąć w dół. Znowu jęknęła, ale on nie przestał, więc fala urosła ponownie i ponownie się załamała. Mark opadł na nią bezwładnie i zdyszany stoczył się na bok. Lizzie zastygła bez ruchu, delektując się krążącą we krwi rozkoszą. Popatrzyła na żółty baldachim i uśmiechnęła się do siebie. Tak, to jest zdecydowanie lepsze niż ściana w Whitechapel, pomyślała. Odwróciła głowę i spojrzała na Marka. Na jego piękną twarz. Twarz już pomarszczoną, z powiekami jak suszone śliwki, z włosami w uszach, z wydłużonymi małżowinami i krzaczastymi brwiami, mimo to piękną. Potem spojrzała na siebie. Na swoje opadające na boki piersi. Na posiwiałe włosy łonowe. Na poporodową katastrofę na brzuchu. Ale miała to gdzieś. Mark uśmiechnął się czule i pogłaskał ją po twarzy.

- Cześć - powiedział. - Czy my się znamy?
- Teraz już tak - odrzekła.

SYMPHONY MERITT

Frajda

Lindsay i Rick znali się od czterech lat i żyli ze sobą od trzech. Kochali się. Lubili. Podobali się sobie. Ale - nawet w szczytowym momencie ich namiętnego związku - Lindsay to nie wystarczało. Zresztą szczytowy moment już dawno minął. Na dobrą sprawę minął już wtedy, kiedy zrezygnowali z oddzielnych adresów i łóżek. Teraz, pod koniec ciężkiego dnia, zasypiali przed telewizorem równie często jak jedno na drugim. Wolę kimać niż dymać, jak pewnego późnego wieczoru ujęła to Lindsay, kiedy Rick wyciągnął do niej rękę. Roześmiała się wtedy, on też, ale dopiero przy śniadaniu. Bo kiedy to powiedziała, poczuł się urażony. Gniewnie mruknął, przesunął się na swoją połowę łóżka, lecz gniewał się krótko, bo trzy minuty później zasnął. Prowadzili intensywne życie. Każde na swój sposób. Wychodzili prawie co wieczór, chociaż coraz rzadziej razem, a za dnia pracowali. Rick inwestował pieniądze innych i dobrze zarabiał. Dlatego mogli pozwolić sobie na

nowoczesny, luksusowy apartament w Canary Wharf, taki ze szklanymi ścianami w sypialni, olbrzymią, supernowoczesną kuchnię, z której prawie nigdy nie korzystali, wielkim jak sala balowa salonem i ogromnym tarasem na całą długość mieszkania, z którego roztaczał się widok na Tamizę.

Lindsay pozwalała mu płacić prawie za wszystko. Obydwoje tak woleli. Mimo to wciąż pracowała jako sekretarka w wielkiej firmie rachunkowej w City. Pracowała, ale nie dlatego, że potrzebowała pieniędzy. Pieniądzy jej nie brakowało. Pracowała tam, żeby odpocząć. Bo w porównaniu z resztą jej życia beżowo-szare biuro było dla niej azylem, schronieniem pełnym ciszy, zwyczajności, miłej nudy i cudownego, bezmyślnego spokoju. Pracowała tam, ponieważ miała z tego swoistą frajdę.

Chociaż z drugiej strony, „pracowała” to chyba za mocno powiedziane. Ona raczej to miejsce ozdabiała. Pobierała pensję. Przychodziła o dziewiątej, zawsze punktualnie i zawsze elegancko ubrana. Do biura wkładała kosztowne, dyskretnie stonowane ciemne kostiumy, podkreślające ciemną cerę, które stały jednak w sprzeczności z jej skromną pensją i wybuchowym charakterem i celowo ukrywały jej wspaniałe kształty.

Od dziewiątej do piątej, od poniedziałku do piątku, siedziała przy schludnym biurczku w małym pokoiku z dwiema innymi sekretarkami i we trzy gawędziły wytrwale (z krótką przerwą na lunch) aż do końca dnia. Po wyjściu z pracy każda szła w swoją stronę, ale o dziewiątej rano następnego dnia znowu zaczynało się plotkowanie. Lindsay nigdy nie spotykała się z nimi wieczorami. Nigdy-

A to dlatego - każdy, kto ją znał, szybko się o tym przekonywał - że należała do tych, które lubią szufladkować. I chociaż bezbrzeżnie ciekawiły ją szczegóły życia innych, wolała trzymać karty przy swoich pięknych, obfitych piersiach. O koleżankach wiedziała wszystko: co jadły na śniadanie, ile miały lat, kiedy straciły dziewictwo, jak je straciły, kiedy, gdzie i z kim, czy połykały, czy wypluwały, czy wolały *Ally McBeal*, czy *Gotowe na wszystko*, czy fantazjowały o Danielu Craigu, Robbiem Williamsie, Hugh Grancie, czy o Richardzie Madeleyu, czy były przesądne i omijały drabiny i czy wolały od tyłu.

Ale one nie wiedziały o niej prawie nic. Owszem, wiedziały, że ma chłopaka, a kiedyś wypsnęło jej się nawet (czego potem bardzo żałowała), że chłopak ten ma na imię Rick. Wiedziały, którzy gwiazdorzy jej się podobają, wiedziały coś tam - ale tylko ociupinkę - o jej życiu seksualnym. Ale nic ponad to. Z konieczności i nawyku, a przede wszystkim dlatego, że miała z tego wielką frajdę, Lindsay była kobietą skrytą i ceniła prywatność. Na swój szczególny sposób.

Miała przyjaciółki z pracy, z którymi rozmawiała tylko o celebrytach, urlopie i seksie.

Miała przyjaciółki z różnych imprez, z którymi rozmawiała tylko o celebrytach, urlopie i seksie. I inne przyjaciółki, z którymi rozmawiała tylko o seksie.

No i Ricka, z którym rozmawiała o wszystkim i o niczym - pomijając oczywiście prawdę. - Co robisz wieczorem? - spytał.

Nie spali od wielu godzin i o wpół do siódmej rano zaliczyli już numerkę, trochę tak z obowiązku. Pół godziny później wstali z wielkiego jak okręt łóżka, weszli chwiejnie do wielkiej jak dom kabiny prysznicowej i - tu wyrazy uznania dla Ricka - zaliczyli drugi, w kłębach pary, pod grzmiącymi strumieniami ciepłej wody. Ten był zdecydowanie niespieszny. I uroczy.

A więc nie. Nie chodziło o to, że przestali się sobie podobać. Bynajmniej. Ich życiu w luksusowym, acz statecznym apartamencie w Canary Wharf brakowało białego żaru pierwszych wspólnych dni. To właśnie tego Lindsay po cichu pragnęła. To właśnie tego pragnęli obydwój. Bo wciąż pamiętali czasy, kiedy ciupciali się w toalecie na imprezach, za krzakami w Hyde Parku, kiedy Rick rozmawiał przez telefon z klientami, w windach, przebieralniach i między kolejnymi daniami w restauracjach - a raz nawet przy stoliku. Jedli w narożnym boksie, gdzie było ciemno, przytulnie i bardzo, ale to bardzo elegancko. Wokoło siedziały rechoczące grubasy z cygarami i obwieszone biżuterią, chude jak patyk żałosne kobiety, zbyt próżne, żeby uśmiechnąć się czy coś zjeść. Chcąc ich trochę rozruszać, Lindsay przysunęła się bliżej, usiadła Rickowi na kolanach i od tej chwili sprawy potoczyły się szybko. Nawet za szybko. Bo w żarze namiętności Lindsay potrąciła szklankę i oblani zimną wodą z lodem dość gwałtownie otrzeźwieli. Kelner dyskretnie zaczekał, aż poprawią ubranie, a potem grzecznie kazał im wyjść. Co oczywiście zrobili, histerycznie chichocząc. Mieli szczęście, że ich nie aresztowano.

Ale z wielkim jak okręt łóżkiem do dyspozycji powoli stracili ochotę na tego rodzaju szaleństwa. Seksowi w luksusowym apartamencie w Canary Wharf groziło poważne niebezpieczeństwo popadnięcia w rutynę.

- Jeśli nie będziemy uważali - powiedziała Lindsay przed paroma tygodniami - szybko sporządniejemy. Za dwa lata będziemy zamawiali przez Internet sztuczne roślinki doniczkowe. Będę wysyłała cię po tampony i wieszala majtki nad wanną w łazience! Rick roześmiał się nerwowo.

- Ty nigdy nie sporządniejesz - odparł. - Możesz zamówić sto roślinek. Możesz zrobić z mieszkania magazyn naczyń kuchennych. Albo nawet ubierać się jak panna Marple. To niczego nie zmieni. Bo w tobie nie ma ani krztyny przyzwoitości.

Potem długo unikali się wzrokiem. Zapadła cisza, bo obydwójce udawali, że są pochłonięci lekturą gazety. A raczej -jeśli chodzi o Lindsay - plotkarskiego czasopisma, w którym (na szczęście) było kilka stron ze zdjęciami torebek Paris Hilton. Tak czy inaczej, nastrój prysł. Jak zwykle.

- Hej. - Rick nachylił się nad kuchennym blatem, gdzie Lindsay, wciąż w szlafroku, jadła ciepłego croissanta. Uszczypnął ją pieszczotliwie w policzek. - Ahoj! Jest tam kto? Pytałem, co robisz wieczorem.

- Mmm? - odparła, patrząc w bok. - Nic takiego. - Wypiła łyk gorącej czekolady i myślała przez chwilę. - Powinnam wrócić przed północą. Wcześniej.

- Umówiłaś się z kimś? Kiwnęła głową.

- Z Melissą. Ale nie możesz ze mną iść - dodała szybko. - Wczoraj wyleciała z pracy. I zerwała z chłopakiem. Jest trochę zdenerwowana. Nic dziwnego.

- Melissa, ta lesbijka? - spytał Rick.

- Hmm, tak. Miała chłopaka - wyjaśniła Lindsay, też trochę za szybko.

- Więc co ją tak zdenerwowało? Powinna się cieszyć, że z nim zerwała.

- I cieszy się. Nie o to chodzi. Po prostu... chce mi coś powiedzieć. W wielkiej, ale to wielkiej tajemnicy. - Lindsay zaśmiała się gardłowo, żeby odwrócić jego uwagę. - Ale chyba wiemy już co.

Rick zrobił skonsternowaną minę.

- My? Ja też? Przecież jej nie znam. Lindsay przewróciła oczami.

- Opowiadałam ci o niej. I o tej imprezie. Jak nagle oznajmiła, że jest lesbijką. Nie pamiętasz? Jak jej odbiło, jak tańczyła z tą gołą Australijką... Pamiętasz?

Rick wyobraził sobie piękną jasnowłosą Melissę dokładnie tak, jak Lindsay opisała mu ją po powrocie tamtej sobotniej nocy. Piękna blond Melissa (której nie znał i o której tyle słyszał) o wielkich jak spodek żrenicach,

Melissa w rozpiętej bluzce, miała jakoby przez cały wieczór kołysać się w upojnym tańcu z mającą metr osiemdziesiąt nagą Australijką, do złudzenia podobną do Rachel Hunter...

Było mu wszystko jedno, czy ta historyjka jest prawdziwa, czy nie. Nawet się nad tym nie zastanawiał. Po prostu cieszył się, że może jej wysłuchać.

- Chciałby ją kiedyś poznać - wymamrotał. - I tę podobną do Rachel Hunter. Może byś je do nas zaprosiła?

Lindsay pokręciła głową.

- Niestety. Już się rozstały. W niedzielę rano Australijka wróciła do Australii.

- Szkoda.

Lindsay przełknęła ostatni kęs croissanta. Rick wkładał już marynarkę, już zerkał na zegarek, już szedł do drzwi.

- A ty? - spytała, podziwiając jego ramiona, ciemne, gęste włosy i opaloną szyję, wspominając poranne spotkanie pod prysznicem i myśląc już o następnym, może trochę później. Zastanawiała się nawet, czy nie zatrzymać go na szybką powtórkę już teraz. I uznała, że nie. - Co robisz wieczorem? Coś miłego?

- Hmm? Nie. - Spojrzał w bok. - Umówiłem się z Ale-kiem. - I szybko dodał: - Ale sam. To impreza tylko dla facetów.

- Aaa! Na pewno będziecie świetnie się bawić... W takim razie do zobaczenia.

- Na razie.

Nie pocałowali się na do widzenia. Ukradkiem spojrzeli

na siebie, licząc na to, że to drugie tego nie zauważy. Źle wybrali moment. I przez ułamek sekundy patrzyli sobie prosto w oczy. Szybko odwrócili wzrok.

- No to cześć, leczę.

- Cześć. Miłego dnia.

I od tej chwili aż do północy, kiedy to mieli spotkać się znowu w wielkim, pięknym łożu z widokiem na Tamizę, mogli robić praktycznie to, co chcieli.

Lindsay wróciła niespiesznie do sypialni, żeby przygotować się do wyjścia. Po pracy nie zamierzała wracać do domu, więc powinna dokładnie zaplanować cały dzień. Westchnęła. No i musiała zrobić coś ze Stevenem Grange'em, swoim szefem, do niedawna co najwyżej nieudolnym lubieżnikiem, który od poprzedniego tygodnia, kiedy to doszło do tego przypadkowego, późnowieczornego spotkania, zaczął ją traktować zupełnie inaczej, to znaczy gorzej.

Robiła komuś przysługę, pomagała starej przyjaciółce, a ten wredny kutas używał ksywki. Skąd, do diabła, mogła wiedzieć? Starła się na niego nie patrzeć. Nawet się do niego nie odezwała. Po prostu... zrobiła swoje i wyszła. Był zbyt wstrząśnięty, żeby cokolwiek powiedzieć. No, a teraz było już oczywiście za późno.

O ile przedtem pożądał jej po cichu, tęsknie i nerwowo, o tyle teraz dosłownie oblizywał się na jej widok. Od tygodnia robiło się coraz niezręczniejsze, a poprzedniego dnia doszło do najgorszego. Wszedł do sekretariatu, stanął przy biurku i zaczął gapić się na nią z kroczem kilkanaście centymetrów od jej twarzy.

W końcu spytała:

- Stephen, czy mogę w czymś panu pomóc?

- Hmm? - Grange zaczerwienił się jak burak. Podskoczył, jakby poraził go prąd. - Co? Słucham? Boże, nie, ależ skąd. A przynajmniej... Nie.
- Jesteśmy tu tylko we trzy. I jesteśmy trochę zajęte. Mamy mnóstwo pracy. Dziewczyny, Tamsin i Maxine, które, siedząc obok siebie, przeglądały „Grazie”, stłumiły chichot. „Trochę zajęte” -nie były zajęte prawie nigdy, bo prawie nigdy nie miały nic do zrobienia. Co było stałym tematem ich żartów.
- Jak pan widzi - ciągnęła Lindsay, z trudem powstrzymując uśmiech - lecimy z nóg. A pan nam przeszkadza. Nie chciałabym być niegrzeczna, ale przerwał nam pan również prywatną rozmowę. Tamsin ma problemy osobiste. Prawda?
- Tak naprawdę to właśnie prowadziły fascynującą dyskusję na temat życia seksualnego państwa Cruise'ów, a Tamsin mówiła, że Tom ma podobno fiutka wielkości...
- Bardzo, ale to bardzo osobiste - potwierdziła z całą powagą Tamsin.
- Więc jeśli nie jesteśmy panu potrzebne - zakończyła Lindsay - byłybyśmy wdzięczne, gdyby zechciał pan dać nam trochę czasu i przestrzeni.
- Czasu i przestrzeni - powtórzył cicho Stephen. - Tak, oczywiście. Jak bym śmiał przeszkadzać moim zajęтым, bardzo zajęтым dziewczętom. - I zniknął za drzwiami gabinetu.

Po jego wyjściu trzy „bardzo zajęte dziewczęta” omal nie posusiały się ze śmiechu. Mimo to Lindsay trochę się zdenerwowała. Nie była pewna, czy zdoła nad nim zapanować następnym albo kolejny razem. Koniecznie musiała z nim porozmawiać. W cztery oczy. Musiała mu uświadomić jego sytuację.

Wrzuciła potrzebne rzeczy do eleganckiej torby podróżnej i wyszła z domu jak zwykle o czasie.

Przed domem jak co rano złapała taksówkę. Przecznicę od biura kazała taksówkarzowi stanąć. Tak jak zawsze. Bo zawsze kazała mu parkować w tej samej cichej bocznej uliczce. I zawsze rozglądała się uważnie, sprawdzając, czy nie nadchodzi któryś z kolegów i dopiero potem wysiadała, by resztę drogi przejść piechotą. Ostatecznie była tylko zwykłą sekretarką. Gdyby koledzy zobaczyli, że przyjeżdża do pracy jak wielka dama, byłoby głupio.

Punktualnie za pięć dziesiątą obrotowymi drzwiami weszła do przestronnego marmurowego holu wieżowca. Zrobiła krok w stronę wind na drugim końcu - i zobaczyła Stephena. Patrzył na nią.

Wyraźnie na nią czekał. Czerwony jak burak, tak jak przedtem.

Odwróciła się i wyszła na ulicę. Zdenerwowana, odczekała chwilę, nie wiedząc, co robić. Mogła tylko wrócić do holu. Ale gdy wróciła, jego już tam nie było. Wjechała windą na czternaste piętro i ruszyła prosto do biura. Była poirytowana, a nawet wytracona z równowagi. Pierwszy raz od czterech lat spóźniła się do pracy.

Gdy weszła do sekretariatu, Tamsin i Maxine przerwały rozważania na temat aktualnego stanu związku Jolie-Pitt. Spojrzały na nią zdumione. Lindsay nie tylko się spóźniła, ale miała nachmurzoną minę. A przecież nigdy nie miewała nachmurzonej miny.

- Coś się stało? - spytała Maxine.

- Nie - warknęła Lindsay. - Tylko ten... ten Stephen i jego głupie zaloty. Zaczyna mnie to wkurzać.

- Na jego widok dostaję mdłości - powiedziała Maxine. - Ale dopóki nie kwęka, że nic nie robimy, kto by narzekał?

- Przecież on nie daje nam żadnej roboty - wymamrotała Lindsay. - Więc czemu, do diabła, miałby kwękać?

Maxine i Tamsin, skonsternowane, wymieniły spojrzenia. Lindsay nigdy taka nie była.

- Na pewno nic ci nie jest? - powtórzyła coraz bardziej zatroskana Maxine. - Jeśli cię wnerwia, to mu to powiedz. Każ mu przestać, i już. Zawsze cię słucha.

Lindsay pokręciła głową. Żałowała, że w ogóle zaczęła tę rozmowę.

- Nic to - rzuciła lekko z wesołym uśmiechem. - Co nas obchodzi Stephen. Która się wczoraj puściła? Z kim? Gdzie? W jakich ciuszkach? I najważniejsze: czy miała z tego frajdę? Ze szczegółami poproszę. Kto zacznie?

Dziewczyny roześmiały się z ulgą - nareszcie wróciła do nich dawna Lindsay.

- Hmm... - wymruczała Tamsin, nachylając się ku nim. - Zabawne, że o to pytasz. Bo wczoraj...

I wtedy do sekretariatu wpadł Stephen. Wyglądał bardziej elegancko niż zwykle. Był w nowym garniturze, w spodniach, które po raz pierwszy nie łopotały wokół kostek u nóg, i w nowym krawacie, co prawda nijakim - jak zwykle - ale choć raz nie poplamionym jedzeniem. Nie był ani stary, ani młody; ani przystojny, ani odpychający; ani gruby, ani chudy; ani wysoki, ani niski. Był po prostu facetem. Szefem. Kimś, z kogo mogły się nabijać. Do poprzedniego tygodnia Lindsay ledwo zauważała, że Stephen w ogóle żyje i oddycha. Dla Maxine i Tamsin wciąż jakby nie istniał.

Coś tam o nim słyszały, choć niewiele. Podobno miał żonę i dwoje dzieci. A może troje. I dojeżdżał do pracy z Basingstoke. A może z Kingston. To wszystko.

- Dzień dobry - powitała go grzecznie Tamsin.

- Witam, moje panie - odparł, zacierając ręce. Mówił tak jakoś inaczej. Lindsay od razu to zauważyła.

Mówił jak ktoś, kto wie, czego chce. Pierwszy raz, odkąd go poznała.

- Lindsay... - Spojrzał na nią. Miał spocone czoło. I dziwnie błyszczące oczy.

- Tak? - odparła. Lekko, na pozór obojętnie. - Dzień dobry. Słucham.

- Mógłbym zamienić z panią kilka słów?

- Oczywiście. - Lindsay nie drgnęła z miejsca.

- Na osobności.

- Aha, na osobności. - Wstała. - Naturalnie.

Gdy go mijala, przestał zacierać ręce i delikatnie położył dłoń na jej plecach. Tuż nad pupą. Tamsin zachichotała. Co wcale nie poprawiło Lindsay humoru.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać - zaczął, zamknawszy drzwi.

Wzruszyła ramionami. Nie była na to przygotowana. Nie na to, że Grange przejmie inicjatywę, w dodatku tak wcześnie, z samego rana. Nie wiedziała, jak to rozegrać.

- O czym? - spytała niewinnie. Roześmiał się nerwowo.

- Lindsay, najdroższa, myślę, że wiesz o czym. -Nie.

- Hmm... - Przekrzywił głowę i uśmiechnął się z wyższością. Co było trochę odrażające. -

Daj spokój - wymruczał. - Po co to udawanie?

- Nie wyjeżdżaj mi tu ze spokojem, dobra? - warknęła. -Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Najmniejszego. I tak w ogóle, to wiesz co? Wal się.

Stephen wciąż się uśmiechał.

- Zapewniam cię, skarbie, że nic innego nie robię. Od tamtego niezwykłego wieczoru...

- A ja zapewniam cię, skarbie, że dla mnie nie było w tym absolutnie niczego niezwykłego. - Lindsay była tak zirytowana, że zapomniała o zmieszaniu i skrepowaniu.

-Szczerze mówiąc, zupełnie tego nie pamiętam.

Ale on jakby nie słyszał. Zrobił krok w jej stronę. Ona zrobiła krok do tyłu.

- Całymi dniami i nocami myślę o tobie w tym hotelu,

w tym małym pokoiku, nie mogę przestać, po prostu nie mogę. Nie mogę utrzymać rąk...

- Na miłość boską!

- Nie wiedziałem, nie miałem pojęcia, najmniejszego pojęcia...

Wzruszyła ramionami.

- Bo niby skąd? To nie ma nic wspólnego z tobą. Roześmiał się głośno. I zrobił kolejny krok w jej stronę.

Ona zrobiła kolejny w stronę drzwi.

- W zeszłym tygodniu miało, i to ile!

Stał niemal tuż przed nią. Nie mogła się bardziej cofnąć, bo upadłaby na biurko, a on podchodził coraz bliżej i bliżej, był tak blisko, że czuła zapach jego mydła. Lux. I zapach kawy w jego oddechu.

- Ale już nie ma, Stephen - odparła łagodnie, uznawszy, że lepiej będzie zmienić taktykę. - Posłuchaj. Wiem, czego chcesz, ale... nie mogę ci tego dać. Przykro mi. Po prostu nie mam tego w sprzedaży. Musisz to zrozumieć. Nie mogę ci pomóc.

- Tydzień temu mogłaś.

- Gdybym wiedziała, że to ty, nigdy bym tego nie zrobiła. Nigdy. Dlatego proszę. Odejdź. Wracaj do żony.

- Ale ja nie chcę! - zaskowyczał. Głos miał po dziecięcemu piskliwy, mimo to groźny. To, jak mówił, jak się poruszał, jak na nią napierał, kazało jej uciekać i pewnie by uciekła.

Chciała uciec, ale zagradywał jej drogę. - Nie chcę wracać do żony!

- To idź do mojej koleżanki. Ona ci pomoże.

- Jest nudna. Nie to co ty. Chcę ciebie.

- Ale nie możesz. Już ci mówiłam. To niemożliwe. Spróbuj o tym zapomnieć, tak będzie lepiej. A teraz pozwól mi wrócić do pracy.

- Przecież o nic innego nie proszę! - wykrzyknął. - Chcę tylko, żebyś znowu trochę popracowała! - I rzucił się na nią. Zmiażdżył jej usta swymi ustami, chwycił za piersi. Straciła równowagę i oparła się o biurko. Stephen jęknął z zadowolenia, a ona na sekundę zamarła. Biorąc to za swoiste przyzwolenie, znowu jęknął, tym razem głośniej.

Gwałtownie poruszył rękami. Zadarł jej spódnicę. I nagle znieruchomiał. Podniósł wzrok. Lewą ręką wciąż przygniatał ją do biurka, lecz w jego oczach pojawił się błysk niepokoju.

- To tylko interes, tak? - powiedział. - Zwykła transakcja. Tak jak poprzednio. Interes. Zapłacę ci, i tak dalej. Może nawet więcej. Jeśli chcesz, zapłacę więcej, bo tu przyszłaś. - Roześmiał się śmiechem pełnym pożądania i oślizgłym od gulgoczącej w gardle flegmy. - Towar z dostawą na miejsce. Jak handel obwoźny. Albo coś... - I nagle rzucił: - Odwróć się. Chcę...

Szybka jak błyskawica, zgięła nogę w kolanie i kopnęła go w krocze. Krzyknął z bólu, zatoczył się i cofnął.

- Ty suko! - syknął zgięty wpół. - Za co?

- Za co? - Wyprostowała się i spojrzała na niego zdumiona. - Jeszcze pytasz za co?

- Przecież powiedziałem, że zapłacę.

- A ja, że nie jestem zainteresowana. - Starannie wy-

gładziła spódnicę, bez pośpiechu poprawiała włosy. Wciąż zgięty w pół, cicho pojękiwał. - Nie rób tego więcej - powiedziała. - Dobrze? Milczał.

- Tak się przypadkiem składa, że lubię tę pracę - ciągnęła. - I nie chciałabym jej zmieniać. Myślę, że ty też nie. Dlatego zrobimy tak: zaraz stąd wyjdę. I będę udawała, że nic się nie stało. Zgoda?

Grange wciąż milczał.

- Rozumiesz, co mówię? Jeśli ten mały incydent wyjdzie na jaw, stracisz znacznie więcej niż ja. Masz żonę. I dzieci. Rozumiesz?

- Wal się.

- Wyjdę stąd, za pięć minut wyjdiesz stąd ty i będzie dokładnie tak jak przedtem. Zgoda?

- Pieprz się! - stęknął z rękami na kroczu. Z dolnej wargi zwisała mu nitka śliny. - Wracaj, Lindsay. Wracaj w tej chwili, bo przysięgam, że powiem wszystko twojemu chłopakowi. Powiem Rickowi. Znajdę go i powiem. Powiem, jaka z ciebie kurwa.

Lindsay szybko zamruwała. Wzięła głęboki oddech. Uśmiechnęła się słodko.

- Nie bądź niemądry. Pamiętaj: za pięć minut. Jakby nigdy nic. - I wyszła z gabinetu.

Zajrzała do terminarza. Właściwie nie musiała, wiedziała, ile ma dzisiaj spotkań: pierwsze o wpół do szóstej, drugie o wpół do ósmej, trzecie o dziewiątej. Zawsze o tej samej godzinie, zawsze w tym samym miejscu, zawsze te same zabawy. I ci sami mężczyźni.

Stali klienci. Wynajmowała małe mieszkanie w Blackfriars i miała tam mnóstwo zabawek. Z tym na wpół do szóstej spotykała się co czwartek już od paru lat. Z tym na wpół do ósmej jeszcze dłużej.

Ale z tym na dziewiątą było trochę inaczej. Był u niej tylko raz. Dokładnie przed tygodniem. Tego dnia miał przyjść drugi raz. I nie mogła się już doczekać. Szczerze mówiąc, czekała od tygodnia, odkąd zamówił ponowną wizytę. A teraz, kiedy do spotkania zostało tylko kilka godzin, nie mogła się po prostu opanować.

Poprzedniego tygodnia - tego pierwszego - przyszedł do jej mieszkania z polecenia jednego z jej ulubionych klientów, wysoki, smagły i oszałamiająco seksowny. Powiedział, że ma na imię Alec. Był trochę podcięty, a może naćpany, tak czy inaczej dziwnie rozkojarzony. I bardzo dobrze. Bo dzięki temu mogła mu się przyjrzeć, zanim on przyjrzał się jej.

Przyćmiła światło - szybciotko - dała nura do pudła z zabawkami, by chwilę później wyjść w masce i w długiej blond peruce, mówiąc z akcentem, który umiejscawiał ją wszędzie i nigdzie. Zresztą, czy to ważne? Alec miał to gdzieś. Stała za nim, przewiązała mu oczy miękką jedwabną przepaską i zaprowadziła do łóżka.

Nie odezwał się ani słowem, dlatego nie wiedziała, domyślił się czy nie, czy może domyślał się tego od dawna. Przez cały czas milczał. Stanąwszy za nią, zdjął przepaskę, pochylił ją łagodnie do przodu i wszedł w nią, też bez słowa, bez jednego słowa. Panowało między nimi milcze-

nie doskonałe, buchał biały żar namiętności pierwszych wspólnych dni, tylko znacznie gorętszy: o wiele gorętszy.

A potem, wciąż w przyćmionym świetle, położył na stoliku trzysta funtów, zniknął w mroku i wrócił do Canary Wharf. I czekał. Tak jak ona. Tak jak oni obydwój. Na dzisiejsze spotkanie.

MINXY MALONE

Zamknij oczy i mysl o Anglii

Trzymała filiżankę obiema rękami, tak jak zimą, chociaż było ciepło. Ogród upijał się swymi własnymi sokami, ale ona była krucha jak jej wieczorne ciasteczko. Popijając gorące kakao i skubiąc chrupiący herbatnik, nagle poczuła, że zalewa ją fala smutku i nieukojonego żalu. Ze otula ją mgła samotności. Chociaż nadeszła już wiosna, jej życie, zimne, ponure i przewidywalne, było ostatnio jak niekończący się styczeń. Miała już tyle lat, że ulgi nie przynosiła jej nawet uśmierzająca pociecha snu. Budziła się co noc dręczona zmartwieniami: o dzieci i ich fatalne małżeństwa, o rozhukane wnuki, o swarliwego męża. Po gruntownej analizie doszła do wniosku, że nie jest to udany związek. Poza tym mąż zawsze był kochankiem szybkim, gwałtownym i bez wyobraźni. Nigdy nie doświadczyła burzy zmysłów, ale przecież czuła, że stosunek powinien trwać dłużej niż gonitwa trzylatków w Epsom.

Dostrzegła swoje odbicie w lustrze na toalecie i westchnęła. Twarz była dla niej coraz większym ciężarem.

Z ciałem jak historyczny pomnik, pełen zapomnianych szczelin i zakamarków, czuła się jak starożytna ruina. Spojrzała na nogi na atlasowej kapie, niemal pewna, że są omszałe i pokryte plamami jak wiktoriański nagrobek. I z przyjemnym zaskoczeniem stwierdziła, że wciąż są nieskazitelnie białe i kształtne. Co wcale nie złagodziło bolesnego poczucia upływającego czasu i tego, jakie żniwo czas ten zbierał z każdą mijającą godziną.

Cóż, pomyślała. Jak na dziecko wojny przystało, niczym trafiony torpedą okręt, który odcina zniszczone pokłady, żeby bezpiecznie dopłynąć do portu, już dawno nauczyła się szufladkować uczucia i odrzucać te nieprzyjemne. Kolejna krzyżówka, kolejna podróż z pilotem przez kanały telewizyjne, odrobina kremu na twarz, powrót do 157. strony nieprzyprawiającego o dreszcz dreszczowca, a potem - jeśli się uda - trochę snu.

Tylko że właśnie wtedy zobaczyła tego mężczyznę. Stał w najciemniejszym kącie sypialni przy otwartych drzwiach - stał jakby od zawsze, jak wierny strażnik. Zaskoczona cicho sapnęła. Gdy wyszedł z cienia, przyjrzała się jego twarzy. Znała go? Nie, to był ktoś obcy, jakiś intruz. Ci z ochrony instalowali coraz nowsze i lepsze zamki, ale nie brali pod uwagę tego, że intruzi też są coraz nowsi i lepsi. Zerknęła na przycisk alarmowy. Był za daleko, nie zdążyłaby dosięgnąć. Najpierw musiała odwrócić jego uwagę, czymś go zająć.

Usłyszała własny głos, piskliwy, fałszywy, heroikomiczny.

- Jak pan śmie tu wchodzić?

Zdenerwowana poprawiła koszulę nocną staranniej, niż jej mąż poprawiał swój tupecik.

- Przepraszam - odparł. - Chciałem z kimś porozmawiać i nie przychodził mi do głowy nikt inny.

Tak jak wszystkie kobiety, często myślała o różnej maści prześladowcach i podejrzanych typach, i zawsze wyobrażała sobie, że gdyby takiego spotkała, ogarnęłoby ją śmiertelne przerażenie. Tym bardziej zaskoczyła samą siebie, zachowując kamienną twarz i martwiąc się tylko o to, skąd tu wziąć jakąś broń.

- Porozmawiać? - Powoli opuściła gazetę, oddychała równo i spokojnie. Chciała zyskać na czasie.

- Od tak dawna panią podziwiam.

Myślała, że będzie jej rozkazywał, ostro i surowo, tymczasem on miał miękki, melodyjny głos. Gdyby przypisać mu kolor, byłby to kolor morski. Pomyślała o agresywnym, po wojskowemu szczekliwym głosie męża i aż się wzdrygnęła.

Troski i ciężka praca wyryły głębokie piętno na jego ładnej twarzy. Robił wrażenie stroskanego i skonsternowanego, co - absurdalnie w tych okolicznościach - skojarzyło jej się z nazwą jakiejś kancelarii adwokackiej. Choć rozczochrany i w wymiętym ubraniu, pachniał czysto i przyjemnie, mydłem i tytoniem. Miał czterdzieści kilka lat, był szczupły i dobrze zbudowany. Gdyby był dzielnicą Londynu, w gazetach by napisano, że „ma perspektywy”.

- Czego pan chce? - spytała znudzonym głosem, głosem, jakim zwracała się do podwładnych.

Drgnęły mu mięśnie szyi, jakby ścisnęło go w gardle.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Czy mógłbym usiąść? Chodziłem przez cały dzień i lecę z nóg.

- Skoro pan musi - odparła wyniośle. Ze sztywnym, królewskim wdziękiem usiadła jeszcze prościej.

A on opadł ciężko na koniec łóżka. Brązowa sztruksowa kurtka, leżąca na jego kolanach, przybrała wygląd starego, wiernego psa.

- Chodzi o moje życie. Moje zmarnowane życie - zaczął łagodnie. - O małe upokorzenia, które niszczą duszę.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć coś władczego i protekcjonalnego, ale nie powiedziała nic. Zaskoczył ją ból i szczerłość uczuć w jego głosie.

- Udajesz, że nic cię to nie obchodzi, ale z czasem chłód osiada na dobre, przykrywa cię jak nawiany wiatrem śnieg. A potem przywykasz i do chłodu.

Nie wiedzieć czemu, nie mogła odnaleźć w sobie wyniosłego nieprzejednania, z jakim zawsze stawiała czoło światu.

-Tak.

Oślupiała, bo słowo to padło z jej własnych ust.

- Przez całe życie tak ciężko pracowałem. Żeby być dobrym człowiekiem. Żeby utrzymać rodzinę. A teraz... Jeden syn na odwyku, drugi w więzieniu za oszustwa i żeby zapłacić za adwokata, musiałem zastawić dom pod hipotekę.

Zdumiona uświadomiła sobie, że ze współczuciem kiwnęła głową.

- Dzieci. Gdybyśmy tylko mogli utrzymać je przy sobie. Uchronić je przed własną głupotą... Na dokładkę żona uciekła z instruktorem z siłowni. Jest Hiszpanką. Było nam ze sobą dobrze, dopóki... nie nauczyłem się hiszpańskiego.

Poczuła, że wszystkie okrągłe samogłoski, wszystkie zimne kazania utykają jej w gardle jak korek - i znowu zadziwiła samą siebie, bo zamiast je wygłaszać, po prostu się uśmiechnęła. Mężczyzna odpowiedział uśmiechem. Dziwnie sympatycznym.

- Nie mogę uwierzyć, że udało mi się tu wejść, przejść przez ogrodzenie. Byłem pewny, że pani mąż kazał zainstalować tam jakiś wykrywacz i że zaraz mnie zdejmą. Kazał?

Kąciki jej zazwyczaj zaciśniętych ust znowu powędrowały do góry. Zganiła swe ciało za nieposłuszeństwo, za to, że nie przestrzega protokołu. Ale chociaż mężczyzna próbował żartować, wyraźnie widziała, że zżera go smutek i bardzo ją to poruszyło. Jego twarz drgnęła i stężała. Próbował otrząsnąć się z melancholii, tak jak mokre zwierzę otrząsa się z wody. Było to dziwnie ujmujące. Zaskoczyła samą siebie po raz kolejny, bo poczuła, że ma ochotę poklepać go po głowie.

Zerwał celofan z paczki papierosów i poczęstował ją, pewnie w geście przyjaźni. I wmawiając sobie, że robi to, by zyskać na czasie i go uspokoić (cóż, ostatecznie jedno dziecko tego biedaka było narkomanem, a drugie siedziało w więzieniu, w dodatku żona porzuciła go dla jakiegoś

pseudotrenera, no i musiał zastawić dom - nie załatwiłby tego żaden list kondolencyjny), przyjęła papierosa. Gdy nachylił się ku niej, żeby podać ogień, nawiązała się między nimi swoista nić porozumienia i wyczuła, że nic jej nie grozi. Dopiero teraz zauważyła, że intruz ma szkliste, brązowe oczy, tak jak jej ulubiony pluszowy miś z przedszkola.

- Troszczę się o tylu ludzi. Mam tyle obowiązków. Podobnie jak pani. Ale kto zatroszczy się o nas? - spytał odważnie. - Kto zatroszczy się o panią?

Zanim z dobrze wyćwiczonym wyrazem uprzejmej pogardy na twarzy zdążyła wyrecytować stosowną formułkę, poczuła, że coś się w niej otwiera i że intruz widzi wszystkie zakamarki jej serca.

- Pani też jest samotna. Rozczarowanie i samotność potrafią wniknąć w człowieka na trwałe, jak dobre perfumy.

Tak, pomyślała. A on to wyczuł. Ale to, że często wyglądała jak posąg z Wyspy Wielkanocnej, wcale nie znaczyło, że nie jest wrażliwa. Że nie wie, co znaczy namiętność.

Ze nie miewa gwałtownych potrzeb, jak mawiała kiedyś jej nauczycielka WF-u.

Zaczerwieniła się, co przypisała temu, że wypła o jeden dżin za dużo przed kolacją i o jeden za dużo przed pójściem spać. Mężczyzna nie dotknął jej, ale było w nim coś elektryzującego. Nagle domyśliła się, że chce jej dotknąć. I że dotknie. Zgasła papierosa, żeby zyskać na czasie.

Kiedy spytał, czy może ucałować jej dłoń, ogarnął ją lęk przesycony czymś w rodzaju niecierpliwego wyczekiwania. Lęk, a nawet panika, lecz panika minęła, gdy musnął wargami jej palce, gdy poczuła ich dotyk, ciepły, miękki i uspokajający.

Potem, z nabożnym szacunkiem należnym papieżowi, ucałował jej drugą rękę. Mimo lęku zadrżała, czując wilgoć jego ust, a jej serce przyspieszyło w przyływie obcej dla niej żądz. Targały nią sprzeczne uczucia, oburzenie, ciekawość i podniecenie. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tajemniczy mężczyzna jest obdarzony szóstym zmysłem, że czyta w jej myślach. Jego usta wykrzywiły się w wygłodniałym uśmiechu, z oczu biło nieposkromione pragnienie. Było w nim coś cielesnego, jednak cielesność ta stała w sprzeczności ze zmysłowością. I kiedy tylko dopuściła do siebie myśl, że jest całkiem przystojny, pożądanie owładnęło nią i na dobre zapuściło w niej korzenie. Z ogrodu sączyły się zapachy, ostre, ciepłe, wilgotne i rozkoszne. Była kobietą wykształconą i wyrafinowaną, ale uwielbiała również naturę, jej żywiołową, nieokiełznaną spontaniczność.

- Czy mogę panią dotknąć? - Głos miał tak natarczywy i spragniony, że ścisnęło ją w brzuchu. - Oczywiście z pani przyzwoleniem - dodał miękko.

W ciągu tego nieoczekiwanego spotkania z odpornej byliny zmieniła się w delikatny ozdobny kwiat, który potrzebował wody, powietrza i ciepła. Lekko zadrżała, czując ciepło jego męskiego ciała.

Przez witrażowe okna wpadał blask księżyca. Spod zamkniętych drzwi sypialni sączyła się strużka srebrzystego

światła. Przeszedł ją dreszcz zakazanego. Przeszył ją tęskny ból. -Tak.

No i proszę, znowu to słowo.

Kształtnymi jak migdały stwardniałymi opuszkami palców przesunął po jej ramieniu, po nogach i plecach. Przeciągnęła się jak kotka, chociaż o wiele bardziej wołała psy. Zadziwił ją ten koci odruch, i to, że kiedy pod wpływem jego dotyku ożyły nerwy skóry, odkryła w sobie mięśnie, o których istnieniu już dawno zapomniała. Oddychała coraz głębiej, poruszała się wolno, w rytm jego pieszczot.

Nachylił się nad nią i musnął ustami jej usta.

- Czy mogę się położyć?

Tak tęsknie na nią patrzył. Wtedy to dostrzegła, tam, na jego twarzy, wtedy zobaczyła coś, czego od tak dawna nie widziała: wyraz pożądania. I z całą mocą uświadomiła sobie, że już nigdy więcej nic takiego się jej nie przydarzy, że nikt się o tym nigdy nie dowie. Bo gdyby powiedział coś komuś o tej podstępnie skradzionej chwili, kategorycznie by zaprzeczyła. Kto by mu uwierzył? Podniecenie, przyćmione światło i przytulne odosobnienie zrodziło fantazję, która przeniosła ich do innego, jakże erotycznego wymiaru.

Zaskoczona swymi własnymi odruchami, przyciągnęła go do siebie i pocałowała, a śliska miękkość jego warg dała jej spodziewaną odpowiedź. Wyczuwając zarys jego obcej muskulatury, po prostu pozwoliła ciału prowadzić się tam, gdzie chciał. Koronkowy kołnierzyk, haftowane mankiety

wysunęła ręce z atlasowej koszuli, odsłaniając swe miękkie ciało. Nie było niewprawnej szarpaniny ani nieudolnego gmerania. Natychmiast odnalazł jej sutek i objął go wargami. Zachęcony przez jej cichy jęk, przesunął usta niżej niczym podróżnik, który odkrywa nigdy dotąd niezbadane strefy erogenne jej ciała. Jak kartograf, pomyślała, jak kartograf, i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że zaraz nie będzie musiała już myśleć, bo myśli uciekały z głowy szybciej niż goście z przyjęcia, na którym zabrakło Pimmsa.

Usłyszała jego głęboki głos:

- Pani skóra jest gładka jak lody waniliowe.

I nagle przygniótł ją ciężarem swego ciała. Poczowała się jak w pułapce. Bardzo miłej pułapce. Tak dawno nie czuła na sobie mężczyzny. Był ciężki i gorący, powinno przyprawić ją to o atak klaustrofobii, ale nie przyprawiło, bo wbrew zdrowemu rozsądkowi jej ciało poruszało się w rytm jego ciała. A on pieścił ją tak niespiesznie, z takim namaszczeniem, że kiedy w końcu w nią wszedł, było to równie naturalne jak oddychanie. I niczym bohaterka taniego romansu uległa mu, ocierając się o niego, aż zalała ją fala upojnego gorąca. Wszedł w nią jeszcze głębiej i zamknęła oczy. Coraz bardziej przyspieszał, coraz mocniej wgniatał ją w materac. Czuła w sobie ten rytm, czuła bliskie bólu podniecenie, które kazało jej ugryźć go w ucho. I gdy kurczowo zacisnęła uda, opuścił głowę, by znowu ssać jej pierś. Jej ciało zeszywniało, zeszywniało i zaczęło przyjemnie pulsować. Naparł na nią jeszcze mocniej,

gwałtownie wciągnęła powietrze. Przywarła do niego ze wszystkich sił jak do burty ostatniej szalupy „Titanica”, czując drzenie wszystkich nerwów ciała.

A potem zadrzał i on, zadrzał i znieruchomiał jak wiolonczelista, który czeka, aż przebrzmi ostatnia nuta koncertu, ostatnie pociągnięcie smyczkiem. Opadł na nią bezwładnie, aż zabrakło jej tchu. Leżała pod nim, napawając się tą nieoczekiwana przyjemnością.

- Hmm - powiedziała zaspokojona, gdy w końcu z niej zszedł. - Miałam zamknięte oczy, ale na pewno nie myślałam o Anglii. Chyba moglibyśmy zapalić. Nie sądzi pan?

Gdy ubrawszy się, przypalił jej papierosa, przyjrzała się dokładniej jego mięsistym ustom, brązowym oczom i męskiej, surowej, mocno opalonej twarzy. Jest robotnikiem, pomyślała. Albo ogrodnikiem. I z nawyku omal nie spytała: „Czym się pan zajmuje?”.

Z ręką pod głową, łapczywie zaciągnęła się i powoli wypuściła dym, jak gwiazda filmowa z czasów jej młodości.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że to się nigdy nie stało? I że muszę wezwać straż? Inaczej jak bym wyjaśniła pańską tu obecność? Poza tym na pewno nagrały pana kamery. -

Westchnęła głośno i z rezygnacją. - Ale dopilnuję, żeby pana nie ukarano. Żeby ograniczono się tylko do ostrzeżenia. I jeszcze jedno, młodzieńcze...

- Tak, Wasza Królewska Mość?

- Już nigdy więcej nie musi się pan czuć upokorzony, poniżony czy w jakikolwiek sposób gorszy. Nie z takimi klejnotami rodowymi.

Intruz uśmiechnął się, po raz pierwszy samymi oczami.

- Liz, wiedziałem, że po rozmowie z panią od razu poczuję się lepiej.

Królowa roześmiała się wesoło. Och, jej dworzanie oniemieli by na taką poufałość.

-1 jeszcze coś, mój słodki... - Jej palec zawisł nad przyciskiem alarmowym.

-Tak?

- Dziękuję.

W jej głosie nie było już znudzonej wyniosłości. I to ani trochę.

BUNNY PRINCESS

Wstyd x dwa

Górna szuflada była otwarta i wysypywały się z niej moje majtki, biustonosze, koronkowe figi bez kroku i kipiące wściekłą czerwienią staniki marki Agent Provocateur. Szukałam czegoś odpowiedniego na popołudniowe spot... Właściwie to na co? Na spotkanie czy zadanie? Uznałam, że jednak zadanie. Brzmiało bardziej profesjonalnie.

Włożyłam tam rękę i - jak szczęśliwy los na loterii - za pierwszym razem z dna szuflady wyciągnęłam to, czego szukałam: czarny stanik z elastycznej lycry z mojego wiernego M&S i czarne majtki, które pasowały do stanika, jeśli patrzyło się na całość przymrużonymi oczami. Włożyłam to i to. Potem wzięłam te specjalne, zapasowe, z katalogu: złożyłam je w kosteczkę i wrzuciłam do torebki. Na wszelki wypadek.

I pomaszerowałam do metra. Central Line, linia główna. Nie licząc specjalnych protetycznych majtek, w torebce miałam to, co zwykle: komórkę, klucze, tampony, kartę kredytową, portfel, żurawinowy błyszczak do ust

marki Lancôme - żeby zęby były bielsze - i „Vogue'a" do poczytania w pociągu; „Vogue'a" kupiłam już wcześniej, żeby pocieszyć się na zapas, tak jak pocieszała mnie kiedyś mama, ilekroć ominęła mnie jakaś przyjemność: „Kochanie. Obiecuję, że ci to wynagrodzę". I oczywiście nigdy nie wynagradzała.

Wysiadłam na Tottenham Court Road. Było słoneczne niedzielne popołudnie, a ja byłam w centrum Londynu. Hałaśliwym i brudnym, z chodnikami upstrzonymi -jak niechlujna instalacja w stylu Damiena Hirsta - białymi, wyblakłymi plackami gumy do żucia.

Z czeluści metra wysypywali się turyści tylko po to, by zaraz zniknąć w kiszkiowatym gardle Oxford Street albo kręcić się bez celu, trajkotać po włosku, pić wodę z butelki i robić te wszystkie wkurzające rzeczy, które robią turyści, najwyraźniej nie zdając sobie z tego sprawy, jak choćby ta durna baba w pociągu, która przez całą drogę gada głośno przez telefon, opowiadając o wieczorze z chłopakiem przyjaciółce, której chyba nigdy nie widuje.

Z nieukrywaną niecierpliwością przebiłam się przez tłum i minęłam teatr, gdzie od niepamiętnych lat, dłużej niż żyją moje dzieci, grano rockowy musical Bena Eltona z muzyką Queenów.

Moje dzieci. Kurczę. Szybko odhaczyłam je w głowie, jakby mogło to ustrzec je przed niebezpieczeństwem. Wiedziałam, że mnie nie ustrzeże już nic, nie przed poniżeniem, które mnie czekało. Ale tę kratkę odhaczyłam już dawno temu i było o wiele za późno, żeby zmienić zdanie.

Jeden syn oglądał mecz Chelsea z ojcem. Jego brat bliźniak, z niewyjaśnionych przyczyn fan Arsenалу, był u kolegi, moja nastoletnia córka i jej przyjaciółka Bella bez wątpienia wklejały swoje zdjęcia w bebo.com. (Wolę o tym nie myśleć. Ostatnim razem Flora wkleiła tam swój autoportret w krótkim topie, szortach, z króliczymi uszami. Flora ma trzynaście lat).

Próbując nie myśleć, jak mizdrzy się przed lustrem -a tak naprawdę nie myśleć o jej budzącej się seksualności - stanowczym krokiem pomaszerowałam ulicą do celu mojej wyprawy: sklepy muzyczne, księgarnie, sex-shopy -byłam w czarnych kozaczkach i szu-szu-szu, moje nagie uda ocierały się o siebie pod króciutką czarną mini. Starannie ją wybrałam, żeby wyglądać na kobietę w kontakcie z *mojo*, siłą, mocą i energią (często używam tych słów w druku, ale nigdy nie wypowiadam ich na głos), choć niekoniecznie w kontakcie stałym.

Właśnie tak staram się wyglądać, kiedy praca zmusza mnie do wyjścia w teren.

Oczywiście nie praca codzienna -jestem psychoterapeutką - tylko moje zajęcie dodatkowe: redagowanie rubryki porad osobistych w amerykańskim czasopiśmie „Mary Jane”.

Czasopiśmie dla kobiet, które czytają też mężczyźni, jeśli gdzieś na nie natrafiają. Piszę o seksie. Czasem z podkładką empiryczną. A czasem nie.

Podoba mi się, że moje artykuły służą dobru publicznemu, chociaż czuję, że z dzisiejszym zadaniem trochę przegięłam. I to akurat ja.

Zaczynając pracę w „Mary Jane”, postawiłam dwa warunki. Bardzo twarde warunki.

- Nie będę pisała o seksie analnym - oświadczyłam gibkiej blond redaktorce Viv. Długie nogi, białe dzwony, granatowy sweter od Chanel na zwykłym białym podkoszulku - Viv roześmiała się, słysząc to pruderyjne zastrzeżenie.

- Wasze pismo czytuje moja mama - ciągnęłam. - Tato też, kiedy je dorwie. Czy muszę wchodzić w szczegóły? Kobieta ma w pełni funkcjonalny i użyteczny otwór. To wystarczy. Nie chcę pisać o ujeżdżaniu czarnego konia. Nie chcę wymyślać beznadziejnych kalamburów, żeby nie urazić waszych statecznych czytelniczek, dla których bielizna wyszczuplająca firmy Spanx nie ma nic wspólnego ze... zwieraniem tylnych szyków.

Po drugie, nigdy, *ale* to nigdy nie napiszę niczego o karach fizycznych. O chłóście. Spankingu. Czy jak to się tam nazywa. Hmm? Spanking jest dla sadystów. Mnie to odrzuca i nie spotkałam jeszcze ani jednej zdrowej, normalnej kobiety, która by choć raz o tym pomyślała. Mam nadzieję, że wyraziłam się jasno.

Rozmowa ta przepłynęła mi w głowie jak spieniony strumień, gdy nacisnęłam guzik dzwonka Soho House. Viv obśmiała się wtedy jak norka i jej chichot wciąż pobrzmiwał mi w uszach.

- Przyszłam na lekcję... ehm... spankingu - zwróciłam się cicho do dwóch ubranych na czarno kobiet w skromnych białych bluzkach i z nienagannym makijażem, które, siedząc przy błyszczącym czarnym biurku, skrzykiwały pewnie dilerów i wydzwaniały do miejscowych celebrytów, żeby zaprosić ich na niuch koki.

Muszę przyznać, że nie uniosły nawet idealnie wymodelowanej brwi.

- Ach, tak - rzuciła jedna obojętnie, jakbym spytała o gabinet zabiegowy, gdzie mogłabym odświeżyć wegański lakier na paznokciach. - Sala na górze. Tędy proszę. - Gestem ręki wskazała schody.

Wąskie i długie, były oświetlone małutkimi lampkami zamontowanymi tak sprytnie, że miało się wrażenie, iż wiszą w powietrzu. Na dworze świeciło jaskrawe słońce, dlatego tu, w klubie, było ciemno i tajemniczo, i idąc na górę, czułam, że rytm dnia zmienia się i gwałtownie przyspiesza, że wali mi serce, że w obcisłej koszulce z długimi rękawami jest mi za ciepło i że mam zaczerwienioną twarz.

Nie miałam pojęcia, że już za kilka minut będzie mi jeszcze cieplej, i to bez koszulki.

Rubryka porad seksualnych z marcowego numeru „Mary Jane” (przedruk za pozwoleniem wydawcy, Hurst Corp).

No i tak, moje Drogie Czytelniczki...

Co ja, u licha, robię w to leniwe niedzielne popołudnie (w samych majtkach i staniku) przed młodym mężczyzną w szkockiej spódniczce, który chłoszcze mnie batogiem, strzela skórą i sznurem tak szybko i wprawnie, że pokonując barierę dźwięku, muska mi jednocześnie lewy sutek?

Dobre pytanie. Zanim na nie odpowiem, muszę wy-

znać Wam coś wstydliwego. Nigdy nie przepadałam za spankingiem. Zawsze przysięgałam sobie, że nie będę

o tym pisać. Nigdy nie fantazjowałam o tym, że ktoś leje mnie w pupę - o ironio! - trzcina czy bambusem. Ani nie pragnęłam, żeby nauczyciel przełożył mnie przez kolano i dał mi nauczkę, której nie zapomnę do końca życia. Fakt, omal do tego nie doszło, ale tylko raz, kiedy chodziłam do szkoły i kiedy zaproponowano mi wybór między kapciem i zakazem wyjazdu na weekend (jak się już pewnie domyśliłyście, była to bardzo tradycyjna szkoła z internatem), a ja z niewinnością aniołka wybrałam kapeć. Kojarzył mi się z czymś miłym i przytulnym.

Dyrektor osiwiiał, kiedy poinformowałam go o mojej decyzji. Lubił spuszczać lanie na gołą pupę. Tyle że chłopcom, nie dziewczętom. Dziewczyn w szkole było tylko dwie, ja i Steph, straszna dziewczoja, której w mroźny zimowy wieczór nic nie kręciło bardziej niż ostry mecz w hokeja z chłopakami.

Głupi dyro założył, że taka mała, puszysta kobietka jak ja będzie wolała nie spotkać się z rodzicami - chociaż ci mieszkali za granicą i widywałam ich tylko parę razy w semestrze - niż zaznać bólu, łez i cierpienia.

Jakże się mylił. Zapędził się w kozi róg. Miał wezwać do gabinetu mnie, jedenastoletnią dziewczynkę, kazać jej, by zdjęła ładne, sięgające talii elastyczne majteczki, pochyliła się, dotknęła rękami palców u nóg, po czym przylać jej w pupę domowym kapciem. Omal nie parsknęłam śmiechem, widząc, jak na tę ponurą perspektywę opada mu szczęka.

Po południu tego samego dnia siedziałam sama w pokoju, robiąc test z łaciny. Wtedy dyro się spietrał. No, a ja teraz? Też stchórzę?

Cóż, prawdą jest, że przed drzwiami z napisem: SALON CHŁOSTY na chwilę przystanąłam.

Zastanawiałam się, czy wejść tam i wypełnić moje zawodowe zobowiązania wobec Was, Drogie Czytelniczki, czy też zamiast dać się wychłostać pejczem, z podkulonym ogonem czmychnąć do domu. Wzięłam głęboki oddech i pchnęłam drzwi. Trzeba spróbować wszystkiego, pomyślałam. Z wyjątkiem kazirodu i tańców ludowych. Jestem reporterką. To tylko praca. Fakt: to była moja praca.

Kiedy drzwi się otworzyły, w środku zapadła cisza. Weszłam tam i przystanąłam.

Omiotłam salę wzrokiem, żeby sprawdzić, co mnie czeka, a potem spojrzałam na nich. Na starannie wyeksponowane pary w czerni, dżinsie, kaszmirze i skórze na ustawionych w krąg krzesłach. Niektórzy byli w miękkich zamszowych spodniach koloru kruchego ciasteczka. Pomyślałam, że to pewnie stary masoński znak rozpoznawczy spankerów.

Na stole walały się kajdanki i łańcuchy, obręcze i szpicruty, różgi, witki, pejczy oraz inne wyroby siodlarskie i rymarskie. Lubię chodzić na zakupy jak wszystkie kobiety, ale takie rzeczy mnie nie kręcą. Owszem, na wiejskich jarmarkach ciągnie mnie czasem do stoisk z dzianiną czy torbami z makramowych węzłów, ale bez najmniejszego trudu potrafię oprzeć się pokusie kupna dziewięciorze-miennej dyscypliny, a już na pewno nie znalazłabym zasto-

sowania dla tego czarnego, złowieszczonego biczka - pewnie designerskiego - chociaż był naprawdę piękny.

Otoczony przez kursantów, w samym środku kręgu stał młody, szczupły mężczyzna w szkockiej spódnicy, motocyklowych butach i obcisłym podkoszulku, podkreślającym jego szerokie bary i wąską talię. W rękę dzierżył bicz. No właśnie. Skoro już mowa o pięknie: to facet był bardziej w moim guście.

Była tam również kobieta, typowa domina o zapierających dech w piersiach krągłościach i talii osy. Siedziała na krześle lekko wysuniętym do przodu, pewnie dla podkreślenia swojej pozycji w grupie.

- Aaaa.... - Wciąż stałam w progu, a ten w spódnicy wskazał mnie biczem. - Nasza ochotniczka.

Jakby tu na mnie czekali, on i cała reszta.

Chcę usiąść, ale facet bierze mnie za rękę i prowadzi na środek kręgu. Kursanci patrzą z zainteresowaniem, jakby zapłacili za pokaz i chcieli się nim teraz nasycić.

- Jakie masz doświadczenie? - pyta mnie ten w spódnicy (okazuje się, że pozostali są już albo bardzo zaawansowani, albo co najmniej po kursie poziomem pierwszym).

- Żadnego - piszczę nieśmiało. - Jestem nowicjuską. - I kiedy tylko wypowiadam te słowa, natychmiast uświadamiam sobie swój błąd.

Wszyscy sapią z wrażenia, a ten w spódnicy posyła znaczące spojrzenie kobiecie o wąziutkiej talii, długich, czarnych włosach, białej jak śnieg cerze i wydatnych czerwonych ustach. Babka wygląda jak Jessica Rabbit, ta od królika Rogera: odwraca się ku mnie i pogardliwie odyma wargi.

Nowicjuszką! Niemal słyszę ich myśli: nowicjuszkę trzeba najpierw... zmiękczyć, tak jak stek przed rzuceniem na ruszt. Zaczyna mi walić serce i rozglądam się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Powiedzieć im, że jestem dziennikarką? Że piszę artykuł o spankingu? Czy milczeć?

Za chwilę wychłoszczą mnie na oczach obcych. Chyba że coś powiem. Otwieram usta - wzbierające we mnie słowa mojego żalnego wyznania nabierają coraz wyraźniejszych kształtów, ale jest już za późno.

Mężczyzna w spódnicy podchodzi bliżej i otaksowuje mnie spojrzeniem od stóp po głowę. Ma wyraziste różowe usta, prosty nos i migdałowe oczy. Do tego gęste, ciemne, sterczące włosy.

- Jestem Kobra - mówi.

A ja słyszę swój wewnętrzny głos: żartujesz! A tak naprawdę to jak masz na imię? Założę się, że Timmy albo Jeremy: chcę to powiedzieć, ale coś mnie rozprasza. To on, Kobra.

Wyciąga mi bluzkę ze spódnicy i zdejmuję ją przez głowę

Stoję przed nim tylko w mini, kozaczkach i staniku.

- A ja Bunny - mówię.- Króliczek.

Wtedy rozpina mi spódnicę i spuszcza ją do kolan. Wychodzę z niej posłusznie jak małe dziecko z mamusią w przebieralni na basenie. Kozaczków nie zdejmuję.

Tak więc stoję tam teraz w butach, czarnych majtkach i czarnym staniku.

Kobra kładzie mi na ramionach białe ciepłe ręce i odpowiednio mnie ustawia.

- Nie ruszaj się - rozkazuje.

Trach! - strzela bicz i skórzany rzemień obejmuje mi tułów piekącym uściskiem.

Trach! Trach! - Kobra ciężko pracuje i jego czoło zaczyna lśnić od potu. Napręża mięśnie i odciąga do tyłu rękę, jakby naprawdę chciał zrobić mi krzywdę. Rzemień zwija się jak wąż, z sykiem przecinając powietrze.

Cholera, to naprawdę boli. Boli i piecze, i kiedy zerkam w dół, widzę, że biodra opasuje mi bladoczerwona pręga.

- Aj! - piszczę. Ale on nie zwraca na mnie uwagi. Dobrze wie, że ból nie jest silny i że piszczę za wcześnie.

I znowu: Trach!

- Przestań - proszę.

Kobra unosi brew i opuszcza rękę.

- Siadaj - mówi.

Wracam na miejsce w jednym kawałku. Był dla mnie łaskawy. Ale zaraz potem dobieramy się w pary - mamy odgrywać scenki, no wiecie, stajenne, niegrzeczne pokojówki, wojskowi, słowem, klasyka - i kiedy zaczynam - nie mogę uwierzyć, że to piszę - chłostać szpicrutą gołe pośladki ubranej w stringi tancerki na rurze, podchodzi do mnie, żeby zademonstrować poprawną technikę.

- Za bardzo usztywniasz rękę - mówi i zabiera mi szpicrutę. - Pochyl się.

Więc się pochylam. Wtedy bez słowa ściąga ze mnie moje czarne sportowe majtki, przekłada mnie przez krzesło i bardzo wprawnie, tudzież z wyraźną nutką okrucieństwa,

zaczyna chłostać moje nagie pośladki. Czuję palący ból, potem ból piekący, jeszcze potem przyjemnie szczypiący, a wtedy Kobra uderza ponownie.

Nigdy dotąd nie dostałam lania na gołą pupę, ale jedno wiem na pewno. Kobra jest prawdziwym mistrzem w swoim fachu.

- Wystarczy - mówię po chwili, bojąc się, że jeśli odkryje, że mam wysoki próg bólu, zleje mnie tak mocno, że będę musiała błagać o litość i - co dziwne i trochę dla mnie wstydlive - lękając się jednocześnie, że tamci zobaczą, jak bardzo mi się to podoba.

Tak, tak, już słyszę, jak pytacie, czy rzecz jest godna polecenia.

Cóż, wszystko zależy, oczywiście, od tego, co kogo kręci. Ale po tym, jak na oczach zupełnie obcych ludzi dostałam lanie od wytrawnego profesjonalisty, mogę przyznać, że miało to dla mnie co najmniej... walor poznawczy.

Dlatego tym z Was, które kiedykolwiek o tym myślały, nawet tylko przelotnie i niezobowiązująco, powiem, że ze spankingiem jest tak, jak ze wszystkim innym. Nie zaszkodzi spróbować - chociaż dużo zależy od tego, czy nie przesadzicie.

Do zobaczenia za miesiąc. Mam nadzieję, że do tej pory sińce już znikną.

Copyright © Bunny Princess

Kiedy było już po wszystkim, Kobra i Jessica Rabbit uczcili moje postępy szampanem. Ubrałam się, wyściskałam swoich nowych przyjaciół i obiecałam, że odwiedzę Kobrę w lochu, gdzie chłozcze bankierów prawie na śmierć, podczas gdy ich piękne żoneczki, zwykle takie na pokaz, siedzą u fryzjera. Potem poszłam do domu.

Ale coś we mnie zakiełkowało. Bo tam, w klubie, czułam się niemal zawstydzona tym, jak bardzo mi się to podobało, jak bardzo podobało mi się to niecierpliwe oczekiwanie, nagły ból i następujące po nim podniecenie. Cóż, ostatecznie przysięgłam sobie nigdy tego nie próbować, nawet w domu, nie wspominając już o wyuzdanej zabawie z bandą zwyrodniałych sadomasochistów w spokojną listopadową niedzielę.

Przeżycie było tak ekscytujące, że w pewnej chwili -zdaje się, że wtedy, kiedy rozkoszny Kobra zajmował się moją pupą i kiedy z każdym świstem szpicruty coraz bardziej się przed nim wilałam i wierciłam - poczułam, że jeszcze trochę, a zrobię z siebie idiotkę. Nie mogłam też powiedzieć - ani Viv, ani czytelniczkom „Mary Jane” - że po tym, jak mnie wychłostał, chętnie spełniłam jego prośbę i wychłostałam jego. No bo jak mogłam o tym napisać?

Ale tak było. Wzięłam szpicrutę, a on oparł się o krzesło i pochylił. A potem jednym wprawnym ruchem zadarł swoją spódniczkę, demonstrując jędrne, ślicznie umięśnione pośladki. Podziwiałam je przez chwilę, pośladki i zgrabne nogi, żałując, że nie widzę jego pięknego członka, który -poznałam to po jego zaczerwienionych policzkach - miał

już pewnie różowutką wilgotną główkę. A potem zrobiłam swoje.

- Mocniej - powtarzał, chociaż szybko rozkręciłam się do tego stopnia, że lałam go ze wszystkich sił, ciesząc się, że nikogo tam nie znam i że nikt nie zna mnie. - Mocniej, Króliczku, mocniej! Weź większy zamach!

Nic dziwnego, że kiedy wróciłam do domu, wciąż cała płonęłam. Podczas kolacji rzucałam garnkami i narzekałam, że wszystko muszę robić sama. Byłam uosobieniem antymatki. Nawarczałam na dzieci, skrzyczałam je za bałagan i za porozstawiane wszędzie kubki, po czym poszłam do siebie, żeby napisać artykuł (lubię pisać na świeżo). Co tylko pogorszyło sprawę.

Rozpaczliwie szukałam ulgi i zaspokojenia; nie mogłam zmarnować czegoś tak silnego i gorącego. Sęk w tym, że nie wiedziałam, jak nazwać moje... pragnienia.

Bo sama nie wiedziałam, czego chcę. Krążyłam nerwowo po pokoju, niemal wychodząc z siebie. To, czego doświadczyłam w klubie, było tak fantastyczne, że po prostu musiało znaleźć jakieś ujście. Oczywiście nie mogłam powiedzieć tego na głos, ani tym bardziej napisać, ale w Soho House przeżyłam prawdziwe objawienie. Byłam -pierwszy raz od wielu lat - napalona jak róg nosorożca. Ale za nic nie mogłam się do tego przyznać. Nawet przed Heckiem (zdrobnienie od Hector). Wyśmiałyby mnie. Viv też. Gdybym oświadczyła wszem wobec - a szczególnie czytelniczkom „Mary Jane” - że odkryłam nową, cudowną podniętę, nie doczekałabym końca tej opowieści. Tak więc

leżałam na łóżku, błędząc rękami po piersiach i między nogami. W pewnej chwili machinalnie podniosłam z podłogi jakieś czasopismo i przejrzałam spis treści. Okazało się, że to „GQ”, więc postanowiłam zobaczyć, co pisze konkurencja, redaktorka rubryki porad seksualnych dla kobiet. Artykuł miał tytuł *Życie od tyłu*. Przeczytałam go pobieżnie i uznałam, że nie ma takiego prawa, które by nakazywało, żeby zajmujące się seksem dziennikarki były pruderyjnymi świętoszkami.

Z przyspieszonym oddechem czytałam:

Wtedy powiedziałam mu, żeby zerznął mnie porządnie od tyłu, w pupę. Tak do końca. I następnym razem to zrobił. Najpierw palec, delikatnie i powoli, potem mocniej. Jeszcze potem gumka: na zewnątrz środek nawilżający, w środku twardy jak skała członek. Byłam na czworakach. Powoli napał na odbyt i pokonawszy opór mięśni, wszedł we mnie, ale tylko na parę centymetrów. Chciałam więcej, więc napał mocniej i wszedł cały...

Usłyszałam kroki Hectora - szedł umyć zęby - więc szybko doczytałam do końca:

Dziewczyny, pomyślcie jeszcze raz. Przecież tego chcecie. Chcecie, żeby pieszcząc palcami myszkę, zwilżył czymś śliskim Waszą pupę i odbyt. Weźcie swój największy wibrator, włączcie go na najwyższe obroty i wsuńcie w siebie. A jego poproście, żeby jeszcze obficie posmarował Was od tyłu, zwłaszcza w środku, żeby włożył tam swój twardy członek, rozciągnął mięśnie zwieracza...

Trzasnęły drzwi do łazienki.

...i wszedł w Was cały, calutki, aż do końca. A kiedy już wejdzie, powiedzcie mu, żeby Was zerznął, mocno, mocniej, i jeszcze mocniej.

Zróbcie to. Nie wiecie, co tracie.

Wsunęłam czasopismo pod łóżko i zaczęłam na Hectora.

-1 jak poszło? - W końcu się położył. - Opowiadaj. Nie mogę się już doczekać.

- Czy ja wiem... - Przysunęłam się bliżej i gorącym ciałem przylgnęłam do jego ciała. -

Nieźle. Ale jestem trochę rozczerowana.

Przeciągnęłam palcami po jego udach. Jego penis leżał zwinięty jak śpiący mięczak. Ale ja, ja czułam się tak, jakby ktoś wysmarował mi myszkę żądzą w płynie. Czułam pulsowanie między nogami i musiałam zagryźć wargi, żeby głośno nie jęknąć. Byłam zbyt dumna i zbyt się wstydziłam, by otwarcie przyznać, że moje podniecenie wypływa z dwóch źródeł. Ostatecznie obowiązywała mnie tajemnica dziennikarska.

Wciąż czułam razy szpicrutą na pupie, wciąż miałam przed oczami dumną, męską pupę Kobry, wciąż cała płonęłam.

- I już? - zaprotestował Heck. - Nie żartuj, nie wymigasz się. Opowiadaj! To rozkaz. No więc opowiedziałam mu, jak w samych majteczkach i staniku dostałam chłostę biczem przed obcymi, jak Kobra zlał mnie szpicrutą na gołą pupę i jak ja - to był gwóźdź programu - zlałam jego pod czujnym okiem Jessiki Rabbit.

Już w trakcie opowiadania czułam, że mięczak Hectora ożywa, że coraz bardziej napiera mi na rękę, że pulsuje mu żołądek i że jądra robią się wielkie jak orzechy kokosowe na czubku palmy.

Podniosłam się i położyłam na nim, a on przeszył mnie niebieskim spojrzeniem przesłoniętych długimi rzęsami oczu. Przeniknął na wskroś moją duszę, sondował mnie, pytał, czego pragnę.

Szybko usiadłam na nim i chcąc zaznać wreszcie ulgi, poczuć w sobie coś twardego i pulsującego, pochylłam się do przodu, żeby wszedł we mnie jak najgłębiej, i zaczęłam go ujeżdżać.

Doszłam niemal natychmiast i zdyszana opadłam na jego pierś. Ale on jeszcze nie skończył. W żadnym razie. Moja opowieść rozpałała coś i w nim, coś gwałtownego i brutalnego.

- Odwróć się - rozkazał.

Podsłoczyłam i przekręciłam się na brzuch jak zdychająca makrela. Hector otworzył szufladę stolika nocnego i poczułam coś zimnego na pupie, mokrej już od orgazmu.

Starannie mnie nasmarował, a potem napał penisem na zaciśniętą różyczkę. Momentalnie rozkwitła, jakby czekała na to i tylko na to.

Wszedł na dwa centymetry i przeszył mnie promieniujący ból. Ale gdy tylko mu o tym powiedziałam, znieruchomiał i ból zelżał, ustępując miejsca bezwzględnej determinacji, żeby poczuć w pupie jego gruby, rozedrgany członek.

- Zaczekaj. - Wyjęłam wibrator z szuflady. Podniosłam się na czworaki, włożyłam go do pochwy i włączyłam na pełne obroty.

Omiał nie dostałam orgazmu, więc od razu go wyłączyłam, lecz nie wyjęłam. Hector ukląkł za mną, wszedł na pół długości - dziesięć centymetrów - i znowu znieruchomiał. Jęknęłam. Nigdy dotąd nie robiłam niczego tak wyuzdanego, tak nieprzyzwoicie rozwiązłego - i tak wspaniałego jednocześnie. Myślałam, że zaraz zemdleję. Ale nie, nie chciałam stracić ani sekundy. Hector zaczął się we mnie poruszać, powoli i rytmicznie. Włączyłam wibrator. Heck oddychał coraz szybciej i chrapliwiej, dźgał mnie coraz mocniej i głębiej. Byłam na krawędzi najsilniejszego w życiu orgazmu i gdy usłyszałam jego krzyk, tama pękła.

Rano dostałam e-mail od Liz z „Mary Jane”.

Kochany Króliczku,

Twój artykuł o wizycie w salonie chłosty jest fantastyczny! Od razu wysłałam go na górę: Nick, nasz naczelny, też tak uważa. Wielkie dzięki.

Czy możemy porozmawiać o Twoich planach na przyszły

tydzień? Przełamalaś jedno tabu - nie sądzisz, że pora przekroczyć następny Rubikon? Od lat proszę cię o tekst o seksie analnym, a ty ciągle odmawiasz. Skąd ta dziwna pruderia? Daj spokój. Jesteś to winna swoim czytelniczkom! W przeciwnym razie po raz siódmy w tym roku każę ci napisać artykuł o kryzysie kobiecego libido i o tym, co może zrobić żona, aby ubarwić nudny seks ze stetryczalym mężem. Będziesz musiała wymyślić serię technik i wszystkie osobiście przetestować.

Czuj się ostrzeżona.

Daj znać.

Liz

Skasowałam e-mail i zesłałam na dół, przystając tylko po to, by wyjąć z torebki usztywnione gąbką majtki, które zamówiłam na wszelki wypadek, i z uśmiechem zadowolenia na ustach wrzucić je do kosza na śmieci.

PATCH O'GILBY

Pamiętasz Paryż?

Jest to opowieść o pewnej nocy w Paryżu. Znasz Paryż, prawda? Pamiętasz Paryż? Ja pamiętam. Jest tam mała uliczka - w każdej opowieści jest mała uliczka, to oczywiste -jest też na pewno kafejka, bar, mała rodzinna restauracja i jej miły właściciel Patrie, który ma głębokie, lecz wciąż seksowne zmarszczki biegnące od kącików zmęczonych oczu aż do siwiejących już włosów. Patrie ma dopiero czterdzieści trzy lata, ale ponieważ od ćwierć wieku pracuje na nocną zmianę w dymie z papierosów żony i musi ciągle mrużyć oczy, czas wyrył na jego twarzy trwałe piętno. Popisując się, robi doskonały koktajl, twój koktajl, twój wytrawny, aż za bardzo wytrawny koktajl (jest Francuzem -paryżaninem - i wie, że trzeba dodać trochę więcej noilly prat), wytrawną wódkę z martini; jedna oliwka, naturalnie bez cytryny. Wie, co lubisz, a ty przecież uwielbiasz miejscowe drinki. Jest też Annisette, jego żona, kobieta o imponującym biuście, chłodnych rękach i wąskich biodrach typowej

Francuzki, która całuje wszystkich gości jak dawno niewidzianych przyjaciół, przeliczając ich ponowne wizyty na przyszły dochód. Jest w tym bardzo dobra, w całowaniu obcych jak członków najbliższej rodziny. Bardzo ją lubię, chociaż uważam, że od czasu do czasu powinna coś zjeść. Ja też jestem dobra w całowaniu obcych. A więc mała uliczka.

Niedaleko Gare du Nord. To wygodne dla tych z was - dla tych z nas - którzy dojeżdżają tu Eurostarem, krążąc między domem (ja) i miejscem pracy (ty) pod kanałem la Manche, *sous* la Manche. Uliczka biegnie trochę na ukos między Montparnasse i Pigalle, na północny zachód od szerokich, rozłożystych sklepów z ubraniami, które rwą się i strzepią po jednym długim praniu, z butami na obcasach, które natychmiast się łamią, z odzieżą dla tych, którzy nie mogą pozwolić sobie na porządne tkaniny i którzy, mając puste portmonetki i cienkie portfele, muszą zawierzyć syntetykom. Jest to wąziutka uliczka łącząca szersze ulice pełne letniego żaru i zimowego chłodu, młodziutkich jeszcze-nie-kobiet i starszych mężczyzn, australijskich turystów i młodych Amerykanów, którzy żałują, że Bowiemu już się nie chce. Tego rodzaju okolica. Latem. W upał. Ale w upał lipcowy, tuż zanim opustoszeją urzędy i zanim ci, którzy mogą, zamkną interes, by oddać miasto turystom. Czyli mnie pod rękę z tobą.

Ty nie jesteś turystką, a ja nie zwiedzam Luwru, wieży Eiffla, katedry Norte Dame ani Pere-Lachaise. Ja odwiedzam ciebie w hotelu niedaleko Gare du Nord. Wiem, że

wolałabyś St Germain; to bardziej pasuje do twojej fantazji

0 Jean-Paulu i Simone. Chodzi o to, że ten hotel był tańszy. Mieszkam w Londynie, rozumiem zasady rozdzielonej kanałem gospodarki.

No więc tak. Mała uliczka. Hotel. Hotel. Hotel zaczynał jako *boulangerie*, czyli piekarnia. Tu, na tym podwórzu, mężczyźni, i bez wątpienia kobiety, harowali całymi dniami i nocami. Chociaż przypuszczam, że mężczyzn było więcej niż kobiet: ilekroć myślę o piekarzu, zawsze wyobrażam sobie władczygo macho. A ty? Poza tym mężczyźni są w tym dobrzy. Nie ulegają kaprysom księżyca i mają gdzieś babskie przesady, głupią gadaninę o tym, kiedy kobieta może piec chleb, a kiedy na pewno nie. Poza tym im większy macho, tym łatwiej mu sprostać uciążliwościom porannej zmiany, wstawaniu z kurami, podczas gdy większość kobiet tuli się jeszcze do materaca. Albo prześcieradła. Narzuty. Koca. Albo do ciebie. Ja tulę się do ciebie. Tuliłam się i ciągle się tulę. Przytuliłabym się znowu. Przepraszam. Zapędziłam się. Nie pierwszy raz. A więc pamiętasz Paryż? Może powinniśmy zapomnieć. Powinniśmy. Musimy. Trzeba. Formy nakazu, które mają mi w tym pomóc. Bo wciąż pamiętam.

No więc jest ta uliczka i hotel, w którym mieściła się kiedyś piekarnia pełna ciężko pracujących mężczyzn, męskich rąk, grubych palców, silnych, dorosłych dłoni, które uważnymi, delikatnymi, acz zdecydowanymi ruchami zagniatały masło z mąką, wodą - z powietrzem, gorącym

1 czasem - na croissanty, bułeczki maślane, drożdżówki

z kremem i rodzynkami, na drożdżówki z czekoladą. Na ptysie. Na angielskie paszteciki. I kruche ciasto. Takie z cieniutkich warstw, płatków łuszczących się bardziej lub mniej. Albo jeszcze mniej. Albo jeszcze bardziej. Każdy z nas ma swoje warstwy.

W hotelu, który był kiedyś' piekarnią, są zimne, puste piece, gdzie właściciele trzymają zapasowe naczynia i za duże rondle. Za hotelem jest zapuszczone, porośnięte zielskiem podwórko, a na jego końcu stoi wysoki pudełkowaty dom. Myślę, że miłe panie z hotelu mają mężów, partnerów - za ladą kręcą się czasem mężczyźni, którzy wyglądają na takich z zaplecza - ale to nie mężowie ani partnerzy prowadzą ten interes. Miłe panie, obecne właścicielki wszystkich budynków, podwórza i przecinającej podwórze ścieżki, urządziły w pudełkowatym domu pokoje gościnne, każdy w innym stylu, żaden nie pomalowany na szaro, czarno, beżowo czy brązowoszaro.

To jest Paryż. Pari. Tu nikogo nie obchodzi, że Manchester uważa, iż Londyn uwielbia minimalizm, że Leeds żałuje, iż nie jest Manchesterem bez zachodzącego słońca, że Birmingham wciąż się stara, tak cholernie się stara. Tu malują egipskim błękitem, marokańskim odcieniem pomarańczowego i libańską czerwienią. Hotel zalewa tyle barw, że równie dobrze mógłby stać w Sydney, w Sienie czy San Francisco. Ale my jesteśmy w Paryżu. W każdym pokoju jest stara głęboka szafa, wysokie, szerokie łóżko, czysta łazienka - całkiem przyzwoita - mydelniczka i kwadratowy kawałek mydła starannie zawiniętego w papier i gotowego do użycia: nie ma tu nic, co zalatywałoby butikiem, a każdy dodatkowy szczegół tylko potwierdza przypuszczenie, że kobiety za ladą w recepcji, która była kiedyś ladą w piekarni, dadzą nam święty spokój. Dajcie nam spokój. Dziękujemy. Nie, dziękujemy.

Dziękujemy. Jeszcze raz. Co?

Powiedz to jeszcze raz. Dziękujemy. Grzeczna dziewczynka.

Pomieszczenie od frontu, gdzie kiedyś przychodzili klienci, z białymi kafelkami na ścianach i podłodze i z oknami w stylu art nouveau - tam jada się śniadanie. Tam jadłyśmy i my, trzy kolejne dni, ale czwartego już nie. Nie czwartego. Śniadanie podawano na papierowym talerzu. Sama ci je podawałam na takim talerzu. Świeże croissanty z piekarni przy tej samej ulicy, porcja dżemu; nie pytają, jaki wolisz: ja lubię morelowy, ty truskawkowy, dostałyśmy malinowy. Może to był znak. Zjadłyśmy go, chociaż był za słodki, ale i tak go zjadłyśmy. Oprócz tego solidny kawał niesolonego masła, jakby mało go było w bułkach.

Masło. Kawa. Café au lait. Rozpuszczalna. Tak, prawdopodobnie Nescafe. Ale europejska, nie angielska. Dobrze wiemy, że są różne rodzaje; to miała być tajemnica, tak jak różne smaki fanty w zależności od kontynentu. To już nie

tajemnica. Po prostu różnica. Kawa nie jest zła, ot, zwykły napój. Jest taka, jaka miała być. A miała być Nesca.

Widzisz, jak dobrze pamiętam Paryż? Każdy jego szczegół, każdy wątek i osnowę? Jak dobrze pamiętam ciebie?

No więc tak.

Trzy noce. Cztery dni. Trzy razy byliśmy tam razem. Za każdym razem tylko jedną noc, z wyjątkiem tej ostatniej, tamtej, kiedy to nie śpiąc, dotrwałyśmy do rana. Nigdy przedtem nie widziałaś podwórza w świetle dnia. Pewnie byłaś trochę rozczarowana. Kiedy je zobaczyłaś. Ale nie ja, nie ty i ja. Jak mogłybyśmy być rozczarowane? Sobą może tak, to było nieuniknione, ale jako para? Jako kolejna para, która wymyka się z domu, ucieka od rodziny, od prawdziwego życia, by paść w objęcia rąk, nóg, nadziei, głodu, pożądania i wzajemnego zadowolenia? Droga każdej pary, droga wszystkich par wiedzie ku nieuchronnej klęsce, ku chwili, gdy pożądanie przegrywa z nadużyciem zaufania - to właśnie z tą świadomością zaczyna się i kończy każdy romans; jedynym czynnikiem zmiennym jest czas. Nie pytałam, co wiesz, choć wiedziałam, jak to się skończy. To nie dlatego byliśmy sobą rozczarowane. Wpadając w stare jak świat sidła pożądania, tego rodzaju pary nie rozczarowują się sobą, ani pary, ani nawet my; tego rodzaju pary myślą: idź, daj się porwać, zerznąć, pędź, obal bariery zakazanego i zrób to! To taki sam rytuał jak ukłon kabuki, jak namalowane usta Pierrota i Pierretty czy sztuczne łyzy. Oto jakie byliśmy banalne. Ale już nie jesteśmy: nie mamy już nic wspólnego z tradycyjnymi, potajemnie spotykającymi się parami. Prawda?

Zaczekaj, już przechodzę do rzeczy.

Pierwszej nocy była burza. Może nie burza, ale padało. I trochę wiało. Bardzo wiało. Chciałam, żeby wiało, błyskało się i zacinało deszczem. W świetle błyskawic lepiej widziałabyś podwórze. Ale grzmotów nie lubię, więc może był to tylko pretekst do tego, żeby ukryć się pod twoim płaszczem, twoim ramieniem, żebyś mocniej mnie przytuliła, uchroniła przed deszczem. Mocniej przytulić mnie nie mogłaś.

Przyszłaś przede mną, czekałaś już na mnie; podałam ci adres i powiedziałaś, że trafisz. Dlaczego miałabym nie wierzyć, że znajdziesz hotel, coś zwykłego i trwałego, skoro z taką determinacją, tak dobrym wyczuciem kierunku i celu znalazłaś mnie? Od zawsze polowałaś?

Czekałaś w pokoju, siedząc na brzegu łóżka. Nie chciałaś wejść pierwsza, nie chciałaś, żeby było twoje, bo miało być nasze. Tak założyłam. Bo ty tego nie powiedziałaś. Nigdy dużo nie mówiłaś. Ty oszczędzałaś słowa, a ja je wydawałam. Jedna z nas jest dzisiaj bogatsza. Zawsze musiałam zgadywać, czytać w twoich myślach. Dzięki temu łatwiej mi było zrozumieć twoje pragnienia. Wtedy.

Czekałaś na brzegu łóżka, łóżka z grubym białym prześcieradłem i kocem. Nie narzutą. Wspomniałam, że lubię tulić się do materaca, do narzuty. Kocem można się przykryć, owinać i opatulić. Opatul mnie jak kiedyś mama i tato, zerwij kape, jak zrywać jej nie powinni rodzice. Zerwij kape.

Pierwszego dnia jadłyśmy śniadanie z dwiema młodymi

kobietami przy sąsiednim stoliku. Należały do tego samego gatunku lesbijek, doskonałych i modnych. Były ubrane na czarno - dwie chude kobiety w obcisłej czerni. Jedna miała usta rozcięte czerwoną szminką i fryzurę à la Louise Brooks, druga fryzurę à la młody Elvis i była w botkach na niskim obcasie. Jeśli nie pochodziły z Nowego Jorku, to powinny. Nie mogły utrzymać przy sobie rąk, ciągle głaskały swoją idealną skórę i idealnie ułożone włosy, i nagle zobaczyłam walizkę obok krzesła jednej z nich. Żegnały się, dlatego wybaczyłam im te nastoletnie pieszczoty trzydziestoletnich ciał. My nie dotykałyśmy się w miejscach publicznych, a jeśli już, to w ciemnych uliczkach czy ukrytych zaułkach dyskrecji. Wierzyłam wtedy, że nasze dotykanie było bardziej namiętne, bo tak długo musiałyśmy się wstrzymywać. Wiara jest zawsze kwestią wyboru.

Ale pod tym grubym prześcieradłem już się nie wstrzymywałyśmy. Ty i ja razem. Ty na mnie. Twoje usta na moich, twoje biodra na moich, moje ciało na twoim. Wiedziałaś, że to uwielbiam - uwielbiałam - prawda? To uczucie, że na mnie leżysz, ciężar twojego ciała. Martwiłaś się, że jesteś dla mnie za ciężka. Że za dużo ważysz. Że jest mi z tobą niewygodnie, tam, tu i tam. Ale nie było. Nawet wtedy, kiedy było. Pragnęłam, tego, tamtego i ciebie. Rzeczy, które robiłaś, tych wszystkich rzeczy. Układam z nich teraz listę. Pomaga mi to zasnąć, pomaga nie spać, utrzymuje mnie przy tobie, dlatego jesteś ze mną, choć już nie jesteś. Wciąż je robię. Te rzeczy. Tak jak robiłaś je ty. W wyobraźni. Rękami. Głową.

Przytrzymujesz mnie, moje ręce za głową, a ty przytrzymujesz mnie ręką i biodrami na moich biodrach. Przygniatasz mnie do łóżka. Do podłogi. Przypierasz do ściany. Ja na twoich plecach, twoja skóra pod moimi palcami. Długo spijałam ją samymi opuszkami, smakowałam w myśli twój obraz, zanim dotknęłam prawdziwego ciała, zanim poczułam je w ustach. Teraz nie mogę cię dotknąć, bo jesteś za daleko, ale nawet teraz smakuje twoją gładką, śliską, spoconą skórę. Skórę, która pokrywa całą resztę. Resztę ciebie. Chciałam spróbować wszystkiego. Nie odpoczywałyśmy.

Ja u twych stóp i twój uśmiech: ilekroć tam byłam, ilekroć byłam u twych stóp, nigdy nie mogłaś wytrzymać i uśmiechałaś się, wiedząc, co zaraz będzie. Wiedząc, że zaraz dojdę, że zaraz dojdiesz i ty, choć nie zawsze chciałaś, bo czasem wolałaś, żebym położyła się przy tobie, często na tobie, mimo to uwielbiałaś tę parodię tradycji. Ten uśmiech. Znaczący, agresywny, pełen pożądania, fantazja każdego nastolatka i nastolatki. Tym dla ciebie byłam, wiem, że tak. Sama to powiedziałaś. A ja ci uwierzyłam.

Ty na kolanach. Dobra byłaś na kolanach. Cieszyłam się, że jesteś dobra - nie ma to jak chwila przyjemnego wytchnienia - w ogóle byłyśmy w tym dobre, w tych wszystkich pozycjach, w dawaniu i braniu, chociaż zawsze, ale to zawsze ja dawałam trochę więcej - bo tak chciałam. Uwielbiam dawać, wiem, jaka to władza. Jaką moc ma ten, kto tym kieruje, dyryguje, kto sprawia, że do tego dochodzi.

Pozwoliłaś mi tak myśleć, a może tak rzeczywiście było. Wtedy. Przez chwilę. Ty i ja w ciemnym zaułku za kafejką Patrica i Annisette. Tak blisko twoich sąsiadów, tak daleko od moich, tak ostro, z takim wyuzdaniem: twoje ręce chętniejsze niż moje, ból, którego obydwie chciałyśmy, pragnienie, żeby bolało ciebie i mnie, dziewczęcy wigor, którego już chyba nie mamy, rozpaczliwa chęć, żeby się rznąć zaraz teraz, żeby to się już stało, żeby nie czekać na łóżko pościel czystość i światło, żeby, Chryste, pieprzyć się właśnie tu na tej ścianie pod tą uliczną latarnią przy kap-kap-kap uporczywie kapiącej rynnie w smrodzie kociego moczu - upojne ry-panko w najbardziej świńskim wydaniu. Na ulicy. Gdzie ktoś może nas zobaczyć.

Bo zawsze mógł. Może nie rozpoznać, a przynajmniej mnie. Ale zobaczyć, tak. Mnie to nie przeszkadzało. To ty musiałaś uważać na innych. Na to, co mogli zobaczyć. Co o tobie pomyśleć. Wtedy. Teraz. Boże, jak ja uwielbiałam cię widzieć. Patrzyć na ciebie. Patrzyć na ciebie patrzącą na mnie. Nigdy w życiu nie czułam się bardziej naga.

Paris plage. Uważałaś, że to głupie, ja, że podniecające. Było takie i takie, dziecinne i urzekające. Trzy noce, jeden dzień. Poszłyśmy na plażę. Wolałaś szybki spacer, mocną kawę i długi lunch. Ale ja chciałam na plażę. Postawiłam na swoim, ale na krótko.

Przywykłam do tego, że zawsze dostaję to, czego chcę. I zawsze myślałam, że będzie tak do końca życia. Z tym dostawaniem, nie z nami. Bo wiedziałam, że my nie przetrwamy. Byłyśmy źle ubrane. Ty w kostiumie, tym swoim idealnie skrojonym lnianym kostiumie z gładką jedwabną podszewką. Ja w starych džinsach i kusym topie, który kupiłam w jednym z tych sklepów po drodze z dworca do hotelu i do ciebie. I w nowych (tanich) majtkach i staniku. Zawsze biegłam, kiedy zadzwoniłaś. Nagle masz wolny wieczór, a ja

godzinę do pociągu. Nie było czasu na pakowanie: zamykałam drzwi na klucz i pędziłam do ciebie bez względu na to, gdzie byłam i co właśnie robiłam. Myję okna. A ty mówisz, żebym przyjechała tak jak stoję. I przyjechałam. Zawsze przyjeżdżałam. Zostawiałam znajomych przy kolacji, biegłam prosto ze spotkania, byłam niegrzeczna dla ciotki mojej matki, zapomniałam nakarmić kota. W sumie to miałam szczęście, że spędziłyśmy razem tylko trzy noce, bo mogłabym wszystko stracić. Przekreślić przyszłość dla twego telefonu. Nie żałuję tego, nigdy nie żałowałam. Trzy noce, jeden dzień. Za to dużo, dużo telefonów. Dużo pieprzenia się głosem i cudzym - moim - dotykiem. Dzięki uprzejmości Edisona i Bella zawsze byłaś na wyciągnięcie ręki. Mili z nich faceci.

Źle ubrane. Ty w tym pięknym kostiumie i ja, jak twoja pokojówka, służąca albo córka. Mogłam zdjąć dzinsy, w których myłam okna, i nowy tandetny top, bo w tanich majtkach i staniku z cienutkiego materiału wyglądałam jak w bikini. Ty zdjęłaś zakiet, podwinęłaś eleganckie rękawy, zrzuciłaś buty i zanurzyłyśmy czubki palców w piasku, w wodzie. Zanurzyłyśmy palce w świadomości, że je-

steśmy razem, na słońcu. Potajemny romans zmienia nas w wampiry.
Smak twojej skóry. Musi mieć coś' wspólnego z czystością twego ubrania. Bo twoje ubrania pachną praniem, ale takim zwykłym, nie chemicznym. Przypominają mi moje dziecięce ubranka - używane bawełniane sukienki, które mama kupowała dla mnie i mojej siostry - ale już zupełnie rozbiera mnie słońce i ten świeży zapach prasowania. Nie przypuszczam, żebyś miała sznury do wieszania bielizny w swoim domu, czteropokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze. Masz? Nie, to pewnie mydło albo jakiś inny produkt, coś, czym służąca spryskuje prasowanie. Masz służącą - jakie to niesamowite i zabawne. A może to krem do pielęgnacji skóry. Masz cudowną skórę, ale nie wiem, jakich używasz kremów, jeśli w ogóle jakichś używasz. Nigdy nie byłam w twojej łazience ani sypialni, nigdy nie spisywałam tajemnic szaf, które dzielisz z rodziną. Ale nawet teraz czuję w ustach cień smaku twojej skóry, twego smaku. I pragnę tego. Wciąż tego pragnę. Już jako czternastolatka wolałam przesyt bulimii niż niedosyt anoreksji. Zawsze wolałam mieć, niż nie mieć. Wtedy i teraz.
Wiesz, co się stało? Wiesz, dlaczego zmieniłam domowy numer, kupiłam nową komórkę, nie odpisywałam na twoje kartki, ignorowałam kolejne wezwania? Dlaczego już cię nie odwiedziłam? OK. Było tak.
Przyjechałam bez uprzedzenia. To nie miała być niespodzianka, w ogóle nie chodziło o ciebie. Chodziło o mnie. Jeździłam do Paryża nie tylko z twojego powodu. Zawsze lubiłam to miasto, zawsze było dla mnie czymś więcej niż turystyczną atrakcją, atrakcją dla podglądaczy. Znałam je dobrze już przed tobą, poza tym byłam tam kilka razy w związku z moją pracą - pamiętasz, że pracowałam? Ze w ogóle pracowałam? - no i oczywiście dla

przyjemności. Ostatecznie tam się spotkałyśmy, więc dobrze znałam wszystkie dworce, metro i kaprysy taksówkarzy. Nie licząc Londynu, gdzie mieszkam, i dalekiego miasta, gdzie się wychowałam, to właśnie Paryż znam najlepiej.

Wiedziałam, że nasz związek nie przetrwa, już to mówiłam. Nigdy byś jej dla mnie nie zostawiła, nie zamieniłabyś tego życia na moje, twojego czy mojego miasta na nasz dom.

Dlatego przygotowywałam się już wtedy, może podświadomie, ale już wtedy przygotowywałam się do tego dnia, tygodnia czy miesiąca, kiedy nie zadzwonisz.

Wzięłam prysznic, umyłam głowę, ogoliłam nogi i spokojnie włożyłam do torebki rzeczy - książkę, wodę, długopis, papier - o których tak często zapominałam, pędząc do ciebie.

Ubrałam się odpowiednio i na podróż, i na pobyt. I pojechałam.

Nie szpiegowałam ani nie polowałam. Ucieszyłabym się, gdybym w ogóle cię nie znalazła ani nie widziała. Nawet z oddali, z kolegami z pracy, z rodziną czy twoją prawdziwą córką.

Nie musiałam oglądać cię w tym przytulnym kadrze. Wystarczyłoby mi, gdybym zobaczyła, jak podczas szybkiego lunchu rozmawiasz o interesach przez telefon. Jak wychodzisz z pracy, wrzucasz teczkę do samochodu, jak wyjeżdżasz ze służbowego parkingu. Chciałam tylko

na ciebie popatrzeć, tylko raz cię zobaczyć i resztę dnia mieć dla siebie. Pójść do kawiarni, do których chodziłam przed tobą, zapalić świeczkę u świętej Magdaleny, kościele według ciebie przytłaczającym i pretensjonalnym, dać kilka euro polskim studentom, którzy występują na ulicy, zbierając na bilet do Luwru; ich mim, trochę w stylu Jeana Cocteau, mnie bawił, ciebie nudził. Po prostu chciałam pójść na spacer. Sama ze sobą, żeby moja skóra znowu była moja. Przysięgam, robiłam to dla siebie, chodziło tylko o mnie. Naprawdę chciałam spędzić w Paryżu chociaż jeden dzień, który nie miałby nic wspólnego z tobą. Z nami.

Ty i ona. Nie poznałaś jej na Gare du Nord, z czego się cieszę. Nie zabrałaś jej do naszego hotelu; i z tego się cieszę. Nie, odludną ścieżką w południowej części Montmartre'u zaprowadziłaś ją do prywatnego ogrodu, gdzie pieprzyłyście się na starannie przystrzyżonym, dobrze podlanym trawniku, tuż obok drzewka laurowego w ciemnogrnatowej doniczce. Miała ciemne kręcone włosy - świetnie wyglądały na tle zieleni i w ceramicznym blasku.

Nigdy nie uważałam się za turystkę. Nigdy przedtem nie bawiło mnie oglądanie i patzenie. Ale gapiłam się na was, chłonełam was wzrokiem. Ten widok. Była śliczna, to oczywiste. Inaczej nigdy byś jej nie wyjęła. Śliczna, choć zupełnie do mnie niepodobna. Niższa, delikatniejsza, może trochę bardziej krągła. Ale tylko trochę, troszeczkę. Ciekawe, czy gdybym wiedziała, że wolisz krągłejsze, tobym więcej jadła? Chyba nie. Już mówiłam: sycił mnie i wypełniał twój smak. Pochyliła się, wtuliła w ciebie - wasze ciała splotły się, szczepiły, złapały rytm, który nie mógł być rytmem przypadkowym i zupełnie nowym. Znałam go aż za dobrze, aż za dobrze znałam ciebie. Ona też. I ja.

Kiedy odwróciła głowę w moją stronę, nic niewidzą-cymi oczami widząc tylko ciebie... To była druga niespodzianka. Córka Patrica i Annisette. Ma dziewiętnaście lat.

Dziewiętnaście lat. Nie wiem, dlaczego tak mnie to szokuje. Masz pracę i rodzinę i dobrze sprawdzasz się w tej roli, w tych wszystkich rolach. Po tym, co razem przeżyliśmy, naprawdę nie wiem, dlaczego miałabym uważać, że to źle, że jest taka młoda. Ciekawe, czy gdyby była dojrzałą kobietą, taką jak ja, czy wciąż odbierałabym twoje tęskne telefony i odsłuchiwała wiadomości, dzień, tydzień czy miesiąc później. Albo dojrzałą kobietą taką jak ty. Ale nie mogłam. I nie odbierałam. Stałam tam i patrzyłam, jak w nią wnikasz, jak swymi nienagannie wypielegnowanymi paznokciami drapiesz jej kark, jej gładkie, zaokrąglone dziewczęce ramię. Pragnąc cię i obserwując. Włożyłaś rękę pod jej koszulkę. Wiem, że obejmowałaś jej pierś, obejmowałaś moją.

Moja ręka pod topem. Naparłaś językiem na jej usta, rozchyliłaś je i rozwarłaś: język dotknął języka, poczuł jego smak, zatańczyły biodra. Moje też. Byłam tam z tobą. Wciąż jestem. Dotykasz jej, dotykasz mnie, a ja dotykam się na ścieżce z widokiem na ogród, gdzie leżałyście, gdzie leżycie, pieprząc się na trawie.

Ale ty jesteś tam, a ja tu. I kiedy nie mogę już wytrzy-

mac, kiedy wreszcie odwracam wzrok od dziury w płocie, od ciebie i jej, od ciebie na niej, widzę, że obserwuje mnie jakiś' mężczyzna. Że patrzy, jak się dotykam, podczas gdy ty dotykasz jej. Wkłada rękę do kieszeni i przez chwilę myślę, że może zwróci mi trzy euro, które dałam polskiemu mimowi, bo zrobiłam mu pokaz, tak jak ty zrobiłaś pokaz mnie. Ale mężczyźni z zaułków nie płacą za uliczne występy.

Słyszałam, jak rozmawiacie, jak czule do siebie szepczecie. Wiem, że czule szeptałaś. Umiesz mówić, i to w kilku językach, a twoje słowa są zawsze takie same. Ale ona nie jest dzieckiem, nie jestem dzieckiem i ja. Więc wróciłam do domu. Nie jadłam dżemu truskawkowego i nie jeżdżę do Paryża tym szybkim tunelem po prostu dlatego, że mogę, i już do ciebie nie przychodzę. Tylko że teraz, kiedy o tobie mówię, dotykam mojej skóry, dotykam się tam. Dotknij mnie. Ja dotykam ciebie.

POM POM PARADISE

Łamiąc zasady

- *Tonight's the night...* - nuciła cicho, sunąc błyszczkiem po ustach i krytycznie przeglądając się w lustrze. Dokładnie sprawdziła, czy na twarzy nie widać zdradliwego podkładu, bo wie - to zburzyłoby iluzję, iż wygląd, nad którym pracowała przez ostatnie pół godziny, jest „naturalny”. Zrzuciwszy szlafrok, rozpuściła proste, jasne, jak najbardziej naturalne włosy - ich końce łaskotały sutki - i ujęła w dłonie piersi. Były jędrne, ładnie zaokrąglone i przed dwoma laty trochę poprawione przez chirurga plastycznego; brzuch miała płaski jak deska, bo nigdy nie rodziła i stosowała dietę złożoną głównie z jedzenia gotowanego na parze, które smakowało jak tektura.

Skończyła już trzydzieści lat, ale wyglądała na dwadzieścia pięć. Miała duże, ciemnobrązowe oczy, gęste rzęsy, idealnie prosty nos - dzięki matce naturze - pełne usta i białe, równe zęby, te ostatnie dzięki „Skurwielowi”, jak go nazwała, otrzymawszy astronomiczny rachunek za wybielanie i lakierowanie.

Kiedy była małą dziewczynką, jej matka z uporem wznosiła okrzyk bojowy Heleny Rubinstein, że nie ma kobiet brzydkich, tylko leniwe, dlatego dbanie o urodę i nieustanne jej poprawianie stało się z czasem jej sposobem na życie. Miała tylko sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu - nic, czego nie mogłyby naprawić buty na zabójczych obcasach - szczupłe, seksownie umięśnione uda, kształtne łydki i idealnie proporcjonalne ciało. Współczuła tym z „kostkołydami”, z kostkami u nóg grubości łydki, które skazywały kobietę na dożywocie w spodniach albo w kozakach - jej kostki były bardzo kształtne i mogła je z powodzeniem demonstrować. Gdyby nie wzrost, pewnie zostałaby modelką. - Dorwij go - wymamrotała i wróciła do sypialni.

Była pewna, że go tam dzisiaj zobaczy, więc starannie dobrała strój. Należał do tych, dla których najważniejszy jest sam podryw. Domyślała się, że woli kobiety powściągliwe, o stonowanym seksapilu, królowe randkowego świata, które dużo obiecują, niczego nie gwarantując.

Wybrała najcieńsze czarne pończochy z koronkowym brzegiem, przypięła je do pasa i przejrzała się w lustrze. Tak jak większość kobiet uważała, że są niepraktyczną, lecz najbardziej zabójczą bronią w uwodzicielskim arsenale. Od hydraulików, geodetów i sanitariuszy po magnatów handlu nieruchomościami, a nawet prezydentów... To niepojęte, pomyślała, że bez względu na inteligencję i umiejętności tylu najpotężniejszych mężczyzn w historii świata padło na kolana - dosłownie i w przenośni - przed dwoma kawałkami czarnego nylonu na kilku zapinkach.

Jakie to przewidywalne - uśmiechnęła się, wkładając czarną bardotkę, stanik z ozdobną koronką, który efektownie podkreślał jej kształtne piersi, i czarne majteczki do kompletu: te włożyła bardzo ostrożnie, bo utrzymywały je na miejscu dwa niebezpiecznie cienkie paski materiału.

Potem przyszła kolej na jej ulubioną czarną jedwabną bluzkę, zapraszająco miękką i z charakterystycznymi chromowanymi guziczkami: trzeci z nich był przyszyty we wprost idealnym miejscu, bo gdyby znalazł się centymetr niżej, zamiast za kobietę niechcący seksowną, mogłaby uchodzić za zdesperowaną ekshibicjonistkę. Następnie włożyła wąską, prostą spódniczkę, oczywiście też czarną, tuż przed kolana, która znakomicie podkreślała zarys jej twardych pośladków, wreszcie czarne szpilki od Yves'a Saint Laurenta z wysokimi na piętnaście centymetrów metalowymi obcasami, które krzyczały: „Przeleć mnie, ale lepiej ze mną nie zadzieraj”.

Wieczór był ciepły, więc zrezygnowała z płaszcza, czym przyciągnęła kilka pełnych podziwu spojrzeń - nie licząc tych otwarcie lubieżnych - w drodze do pobliskiego baru, gdzie dwa dni wcześniej siedział przy stoliku w kącie sali, ciesząc się samotnością i tylko od czasu do czasu zamieniając kilka słów z obsługą.

Tajemniczo przystojny, o gęstych, czarnych, krótko ostrzyżonych włosach, zdumiewająco niebieskich oczach, silnych, szerokich ramionach i zdecydowanie zarysowanej szczęce, wyglądał jak gwiazdor filmów wojennych. Był w kosztownym, szytym na miarę garniturze i świeżo wy-

prasowanej białej koszuli, a kiedy otworzywszy portfel od Louisa Vuittona, wyjął czarną kartę kredytową American Express, dostrzegła w nim cień arogancji typowy dla człowieka zamożnego.

I nagle wyobraziła sobie jego twarz wykrzywioną z rozkoszy ledwie centymetry od jej twarzy, jego mocno umięśnione ramiona, jego ciało na jej ciele. Przystanęła, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że jeśli chce go uwieść, musi zachować zimną krew.

Pierwszy raz zobaczyła go pod koniec długiej przebieżki; była wtedy nieumalowana, miała spoconą twarz i związane w kucyk włosy. Ledwo na nią zerknął, więc doszła do wniosku, że woli kobiety, których wygląd krzyczy: „No to gramy!”. Jej przypuszczenia potwierdziły się następnego wieczoru, gdy zobaczyła, jak leniwym spojrzeniem taksuje krągłości ufarbowanej na rudo młodej kobiety w czymś, co jej brat nazywał „sukienką z drutu kolczastego”, ciuszku spełniającym swoje zadanie, lecz niezasłaniającym widoku. Kiedy ruda zamawiała drinka, Brad Fit, jak go teraz nazywała, nachylił się ku niej, powiedział coś, a ona odrzuciła do tyłu głowę, zaśmiała się gardłowo, odsłaniając gładkie, blade podniebienie, by już po chwili, bawiąc się kosmykiem czerwonych jak ogień włosów, chłonać każde jego słowo. Nie trzeba było być Desmondem Morrisem, by domyślić się, że facet bardzo się jej podoba. Ale kilka sekund później u jej boku wyrósł jakiś mężczyzna - pomógł jej zabrać drinki i Brad Fit znowu został sam. Zerknęła w okno wystawowe sklepu, wygładziła spód-

niczke i sprawdziła, czy kołnierzyk bluzki jest schludnie zagięty do dołu. Był piątek i czuła, że facet tam będzie. Jeśli tak, tym razem na pewno przyciągnie jego uwagę. Jeszcze tylko kilka kroków - pchnęła drzwi i zakreśliło jej się w głowie od nagłego hałasu i gorąca. W barze kłębił się tłum ryczących ze śmiechu urzędasów z City, głównie maklerów w prążkowanych garniturach i pretensjonalnych czerwonych szelkach, i kobiet, które wyglądały jak delegatki na zjazd miłośniczek Alice Bandu. Wyciągnęła szyję, rozejrzała się i przeżyła wielkie rozczarowanie, widząc, że na jego stałym miejscu siedzi napako-wany blondsurfer w baseballowej czapeczce i podkoszulku z napisem KOCHAM ZWIERZĘTA: SĄ PYSZNE.

Cholera jasna, cały wysiłek na nic, pomyślała buntowniczo, krzywiąc się z bólu, bo zapięcie pończochy wbiło jej się w udo. Ciężko westchnęła i przez chwilę stała bez ruchu niczym śpiewaczka operowa z Covent Garden, która zamiera na scenie jak posąg w wirze mijających ją ludzi. Jeden drink, postanowiła, inaczej musiałaby wyjść stąd jak striptizerka, która pomyliła lokale.

Przed barem stała gruba na trzy rzędy kolejka, więc upłynęło co najmniej dziesięć minut, zanim dotarła do lady, nad którą wisiała tablica w kształcie płyty nagrobnej z napisem: MARTWY BARMAN: NARESZCIE DOSTRZEGL BOGA. Utkwiła nieruchome spojrzenie w mężczyźnie po prawej stronie, który wymachiwał rękami jak kontroler ruchu powietrznego wkurzony tym, że wszyscy go ignorują.

- Koszmar, co? - zadudnił. Był w szarym garniturze i miał czerwoną twarz. - Mogę postawić pani drinka, jeśli kiedyś mnie tu obsłużą?

Wszystkie grubasy mają świra na punkcie szczupłych kobiet, pomyślała ze znużeniem. Uśmiechnęła się enigmatycznie i pokręciła głową, nie chcąc wyjść na niegrzeczną i pragnąc jak najszybciej go spławić. Z doświadczenia wiedziała, że jeden drink prawie zawsze prowadzi do następnego i że prędzej czy później, na pewno jeszcze przed zamknięciem baru, facet zacznie się ślinić, bełkotać i spróbuje się do niej dobrać.

- Rozchmurz się, złotko, to tylko drink. - Powiedział to ze stężoną twarzą i nagle poczuła się nieswojo.

Już miała odejść i przebić przez tłum, gdy ktoś dotknął jej ramienia.

- Opuść, stary, ona jest ze mną.

Odwróciła się. To był on, on w tym samym garniturze, choć tym razem w zielononiebieskiej koszuli, która podkreślała kolor jego niesamowitych oczu.

- Jasne, jasne - mruknął grubas, łypnął na nią spode łba i znowu zaczął wymachiwać rękami, żeby zauważył go barman.

- Założę się, że jego drzewo genealogiczne nie ma gałęzi. - BradFit zrobił minę i posłał jej zabójczy uśmiech. - Skoro już uratowałem cię z jego szponów, postawię ci drinka, żeby uwiarygodnić szlachetność moich intencji.

Kiwnęła głową i z wyćwiczoną wprawą zerknęła na jego lewą rękę. Ani obrączki, ani bladego wgłębienia, które byłoby znakiem, że niedawno ją zdjął.

- Kieliszek białego wina, dziękuję. - Ruchem głowy wskazała tył sali. - Zaczekam tam.

Znalazła wolny stolik, poszperała w torebce, wyjęła lusterko, szybko poprawiła włosy i usta. Była zdenerwowana, czuła się jak po zastrzyku adrenaliny i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Poznając kogoś nowego, zawsze zachowywała zimną krew, dlatego nie rozumiała, skąd te nerwy. Ale on nie był zwykłym śmiertelnikiem, on był bogiem miłości w ludzkiej postaci. Kiedy przepychał się przez tłum z kieliszkami w wysoko uniesionych rękach, po raz pierwszy mogła przyjrzeć się jego twarzy. Z bliska miał jeszcze bardziej przenikliwe oczy, a żółte plamki na tęczówkach nadawały mu wygląd groźnego kota, na razie spokojnego, lecz w każdej chwili gotowego do ataku. Oby rzeczywiście tak było.

- Proszę. - Postawił kieliszek.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. - Mam na imię...

- Ciii.... - Przytknął jej palec do ust. Upojnie pachniał piżmem. - Bez imion. Tak jest o wiele zabawniej.

Przeszedł ją dreszcz, gdy uwodzicielsko otaksował spojrzeniem jej ciało. Oczy rozszerzyły mu się, gdy dotarł do stóp.

- To są dopiero buty - rzucił lekko. - Zajebiste.

Oni razem w łóżku - znowu przemknął jej przed oczami ten obraz. Jezu Chryste, pomyślała. Weź się w garść.

Dwa kieliszki wina później obraz się zmienił i przedstawiał teraz jej starannie wypielegnowane palce na jego członku. Rozmawiali o filmach, muzyce i polityce, ale kilka razy straciła wątek, zerknąwszy na wielkie wybrzuszenie w jego spodniach. Pod wpływem alkoholu przestała udawać, że zajmuje ją rozmowa i wbiła w nie wzrok. Poszedł za jej spojrzeniem, uśmiechnął się i powiedział:

- Widzisz, jak na mnie działasz?

Położył rękę na brzegu spódniczki i zaczął zataczać kciukiem leniwe kręgi na udzie. Gdy przesunął rękę wyżej i dotknął koronkowego brzegu pończochy, poczuła, że jej majteczki nasiąkają znajomą wilgocia i cicho jęknęła.

- Pończochy. - Dosłownie kochał się z nią oczami. -Czekasz na kogoś?

Oderwała wzrok od jego krocza i pokręciła głową.

- Czekałam - zełgała. - Na koleżankę. Kiedy poszedłeś po wino, zadzwoniła i powiedziała, że nie przyjedzie.

Zabrzmiało to żałośnie nieprzekonująco, ale nie zwrócił na to uwagi. A może było mu wszystko jedno. Nachylił się ku niej jeszcze bardziej i poczuła na policzku jego gorący oddech.

- Pończochy na spotkanie z koleżanką. Jesteś w moim typie.

Przysunął bliżej krzesło i mięśnie jej krocza skurczyły się z czystej żądzy. Miała ochotę objąć go i wpić się ustami w jego usta, ale wiedziała, że to on musi tego chcieć, nie ona. Dlatego ani drgnęła. Kilka sekund później posłuchał jej niemego rozkazu i delikatnie szarpnąwszy zębami gór-

ną wargę, wsunął jej do buzi język. Włoski na jej karku momentalnie stanęły na baczność i tylko dzięki nadludzkiemu wprost wysiłkowi nie rozłożyła przed nim nóg - już tam, w barze - i nie poprowadziła jego ręki tam, gdzie chciała.

Potem powiódł językiem po jej dolnej wardze, drwiąc z niej oczami niczym drapieżny ptak, który bawi się myszką, by po chwili połknąć ją w całości. Gdy zaczął całować ją w szyję, jej wnętrzości wpadły w korkociąg, bo szorstkim zarostem drażnił zakończenia nerwów na policzku i czuła się tak, jakby eksplodowały tam setki malutkich fajerwerków.

Potem zaczął skubać płatek małżowiny, od czasu do czasu wsuwając język do ucha.

- Hmm, nie ma to jak seks... auralny - wymamrotała z nadzieją, że odrobina humoru pomoże jej odzyskać kontrolę nad sytuacją. Przestał ją pieścić, kiwnął głową, uśmiechnął się przelotnie i znowu przybrał minę pięknego diabła.

- Mieszkasz gdzieś tutaj?

Widziała, że pytanie jest jednoznaczne i wybuchowe jak torpeda w jego spodniach, wyraźnie wycelowana w jej stronę.

- W hotelu za rogiem.

- Świetnie. Chodźmy.

Pomógł jej wstać i położywszy rękę tuż nad pośladkami, pchnął ją lekko do drzwi.

Pewność, że zgodzi się pójść z nim do łóżka, zapierała dech w piersiach, ale było jej wszystko jedno. Właściwie to nawet bardzo jej to odpowiadało. Chciał ją przelecieć, to wystarczyło.

Na ulicy znowu zaczął pieścić jej szyję i jego delikatne ugryzienia jeszcze bardziej wzmogły pulsujący ból między nogami. Lewą ręką pocierał jej udo przez cienki materiał spódniczki, najwięcej uwagi poświęcając zapięciom pończoch.

- Zerznę cię do nieprzytomności - szepnął.

Dłonie miała lepkie od potu i celowo naprężyła mięśnie krocza, żeby choć trochę ulżyć tępo pulsującej łechtaczce, ale tylko pogorszyła sprawę. Nigdy dotąd czegoś takiego nie odczuwała, tego przemożnego pragnienia, żeby pieprzyć się z nim tu i teraz, na środku ulicy, jak dwa psy.

-To tu...

Słowa utknęły jej w gardle. Chwyliła go za rękę i przez małe foyer poprowadziła do czekającej windy. Gdy tylko zamknęły się drzwi, przygniótł ją do ściany, rozchylił bluzkę, odsłonił pierś, opuścił głowę i zaczął ssać jej sterczący sutek. Wepchnęła kolano między jego nogi i potarła twardy jak skała członek.

Silny wstrząs - zatrzymali się gwałtownie i na chwilę otrzeźwiała. Odepchnęła go, szybko poprawiła ubranie i wyszli na pusty korytarz. Pokój był dokładnie naprzeciwko, a ona już wkładała rękę do torebki, już ścisnęła klucz. Ale przystanęła na chwilę, udając, że nie może go znaleźć -musiała pomyśleć, zyskać na czasie.

Bo wcale nie zamierzała się z nim kochać. Byłoby to wbrew jej zasadom. Chciała tylko trochę poflirtować, może się trochę zabawić, a potem powiedzieć, że nie należy do dziewczyn, które idą na całość na pierwszej randce.

Ale była tak seksualnie sfrustrowana, że wkładając klucz do zamka, wiedziała, iż nie ma już odwrotu. Chciał ją zerznąć do nieprzytomności, jak to ujął - krótko i lapidarnie - a ona miała ochotę zerznąć jego.

Ledwo zdążyła uchylić drzwi, gdy otworzył je gwałtownie, napał na nią potężnym ciałem i wepchnął ją do pokoju. Zamknął kopniakiem drzwi, lewą ręką przyparł ją do ściany, a prawą zadarł spódnicę tak wysoko, że zwinęła się w wałek na talii i już tak została.

Zmiażdżył jej usta swymi ustami i całkowicie ją unieruchamiając, jedną ręką chwycił za pośladek, a drugą odsunął jej majtki, włożył tam palce i zaczął ją pieścić. Omal nie odleciała z rozkoszy i chociaż próbowała go powstrzymać, resztką silnej woli utonęła w dzikiej żądzy, żeby wreszcie go w sobie poczuć.

Rozpięła mu spodnie, spuściła je wraz z bokserkami i wprost do jej niecierpliwych rąk wdzięcznie wyskoczył z nich członek. Pieszcząc go, podziwiała jego rozmiar i gładkość. Cholera, pomyślała. Nawet to ma śliczne.

Oderwawszy usta od jej ust, zerwał z niej bluzkę i po podłodze potoczyły się dwa chromowane guziczki. Lekko ugiął kolana, zajmując pozycję.

- Zaczekaj. - Chwyciła go za członek i pociągnęła za sobą do sypialni, w stronę podwójnego łóżka. - Tutaj.

Pchnął ją na bielutką narzutę, kolanem rozchylił nogi, jednocześnie zdejmując koszulę z wprawą, która wskazywała, że robi to nie pierwszy raz. Spojrzała z podziwem na jego szerokie, opalone ramiona, owłosioną pierś i pasek puszystych włosów przecinający twarde podbrzusze,

kuszaco zwezajacy sie ku dolowi i ginacy miedzy nogami. Sunac po nim jezykiem, powoli, centymetr po centymetrze dotarla do czlonka i zaczela muskac go od spodu wargami.

Potem musnela glowke, powiodla jezykiem wokol krawedzi, jakby lizala lody i z triumfem usmiechnela sie do siebie, gdy glucho jeknal.

Juz miala wlozyc go sobie do ust, gdy nagle odsunal sie i ukryl glowe miedzy jej miakkimi udami, skubiac i lizac wszystko z wyjatkiem obrzmialej lechtaczki. Uniosla biodra, rozpaczliwie pragnac poczuć tam jego jezyk, ale on tylko jej dotkнал i, jeszcze bardziej rozpalona, celowo porzucil na krawedzi ekstatycznego orgazmu.

Nie mogac tego zniesc, zaczela pieścić sie sama, ale on odepchnal jej reke, polozyl sie na niej, chwycil zebami brzeg stanika i jednym szarpnięciem odstlonil piersi. Muskajac gotowym do boju czlonkiem cieniotka koronkowa barierę miedzy nogami, zaczal delikatnie gryzc jej sutki. Poczula jego rece w kroczu, uslyszala trzask dartego materiału i przeszył ją piekacy ból, który momentalnie ustapil pod naporem fali rozkoszy.

Jeknela, gdy lekko zmieniwszy pozycje, koscia lonowa dotkнал lechtaczki, gdy zaczal rytmicznie kołysac sie na boki, trac, pocierajac i pieszczac ja, az poczula, ze od strony krocza zalewa ja znajome cieplo. Wstrzasnal nia potężny orgazm i w zapamietaniu glosno krzyknela.

Miala mokry policzek, wiec szybko wytarla go w narzute, spojrzala na niego i oplotla go nogami, wbijajac mu w biodra czubki metalowych obcasow.

- Chcesz ostrzej? - wysapal.

I nie czekajac na odpowiedz, wszedl w nia jeszcze glębiej.

- Tak dobrze? Mocniej?

Kiwnęła głową i rozorała mu paznokciami plecy, gdy wypchnął do przodu biodra i kością łonową znowu podrażnił łechtaczkę. Po kilku szybkich, celnych dźgnięciach, gdy wstrząsnął nią drugi orgazm, stękał:

- O kurwa... - wyszedł z niej, wytrysnął i jej brzuch zalały strużki spermy z wzbierającego na pępku jeziora.

Wyszedł dziesięć minut później, mamrocząc coś o porannym samolocie - jego oczy, chwilę przedtem tak seksowne i otwarcie zapraszające, były teraz zimne i nieobecne. Kiedy zniknął za drzwiami, opadła na łóżko i zapatrzyła się w sufit, odtwarzając każdą sekundę tego isticie olimpijskiego rżniętka i czując się jak wypalona skorupa. Spękane wargi, sucho w ustach - była wypluta, poobijana i posiniaczona, mimo to doprowadziła się do trzeciego orgazmu, wyobrażając sobie, jak wchodzi w nią i wychodzi, jak bezwładnie opada obok niej, spocony, zdyszany Adonis, którego przyprawiający o zawrót głowy zapach, piż-mowo świeży i seksowny, chciałaby na zawsze przechować w szczelnie zamkniętej butelce.

- Musimy to kiedyś powtórzyć - rzuciła zdawkowo, łamiąc kolejną zasadę. Ale nie mogła się powstrzymać. Ten facet był jak najgorszy narkotyk: szybki kop, a zaraz potem kompletny dół, bolące kończyny i brak chęci nawet

do tego, żeby normalnie oddychać. Ale fala wszechogarniającej rozkoszy, jaka ją wtedy załapała, była silniejsza i zdecydowanie wygrała z uczuciem postkoitalnego rozbitcia.

Zapragnęła go znowu. I znowu.

- Jasne - odparł obojętnie, zapisując numer telefonu na kartce z hotelowego notesu. -
Zadzwoń kiedyś.

Kiedyś. Enigmatyczne słowo, które wypowiadają mężczyźni od początku świata, opuszczając miejsce najnowszego podboju. Co to właściwie znaczy? Jutro? Za tydzień? Czy: „Nie chcę cię już widzieć”? Nigdy dotąd nie była w takiej sytuacji. Mężczyźni jej życia dzielili się na dwie kategorie: na tych, których poznała przez znajomych i stopniowo poznawała coraz lepiej, umawiając się z nimi i spotykając, i na tych, których poznawała w barze czy klubie tylko po to, żeby trochę z nimi poplirtować, czasem się trochę po-miętosić, a następnie kazać im spadać. Tych ostatnich nie chciała już potem widywać. Nigdy. Aż do teraz.

Westchnęła, usiadła, położyła kartkę obok telefonu i zbierając porozrzucone ubranie, zerknęła na nią od czasu do czasu. Wzięła buty, spódniczkę i pas, położyła to wszystko na łóżku i podeszła do drzwi, żeby poszukać guziczków od bluzki. Podniosła z podłogi porwane majtki, spojrzała na nie i wrzuciła je do kosza na śmieci. Przegrana sprawa. Włożywszy dżinsy i podkoszulek, wyjęła z torby jednorazową myjkę i wytarła twarz, na której wciąż widniały rozmazane ślady namiętności. Delikatna skóra wokół ust była zaczerwieniona od jego kolczastych pocałunków, podobnie jak wnętrze ud. Zamknęła oczy, próbując ponownie uchwycić ten ekstatyczny moment, odtworzyć chwilę, kiedy ją dźgał, ale nie mogła. Wiedziała, że już nikt nie zaspokoi jej bardziej, brutalniej ani pełniej

niż on. Usiadła na brzegu łóżka, głęboko odetchnęła, wzięła kartkę i spojrzała na równe, pochyłe cyferki. Podniosła słuchawkę i wystukała numer.

Jeden sygnał, drugi, trzeci - coraz bardziej się denerwowała. Co mu powiedzieć, jeśli odbierze? Ale nie, podał jej numer telefonu stacjonarnego, więc chyba nie mógł tak szybko wrócić do domu. Miała nadzieję, że nie, chciała tylko sprawdzić, czy numer jest prawdziwy i dopiero potem zdecydować, co dalej.

Klik. Ktoś jednak odebrał. Zamarło jej serce.

- Halo? - Głos mężczyzny, jakiegoś obcokrajowca. Cholera, pomyślała. Nawet nie znam jego imienia.

- Halo? Przepraszam, ale... czy oprócz pana mieszka tam ktoś jeszcze?

- Nie, oprócz nikt - odparł tamten; Europa Wschodnia, pomyślała. - Tu jest pralnia.

Trzasnęła słuchawką. Przez kilka sekund gapiła się na nią tępo, wreszcie potrząsnęła głową i cicho prychnęła, z rezygnacją i niedowierzaniem.

- Ty sukinsynu - mruknęła. - Ty pierdolony sukinsynu.

Starannie złożyła karteczkę, schowała ją do bocznej kieszeni torebki i zdjęła torbę podróżną ze stolika telewizyjnego. Otworzyła ją i zajrzała do środka: kamera była ustawiona tak, że obiektyw dotykał małego otworu zama-

skowanego od zewnątrz bogato haftowanym wizerunkiem smoka.

Wyjęła ją, przewinęła ostatnią minutę nagrania i nacisnęła przycisk PLAY. Malutki ekran ożył dokładnie w chwili, gdy radośnie krzyknęła podczas pierwszego orgazmu i gdy odwróciwszy głowę, wytarła łzę z policzka. Ciężko wzdychając, przewinęła nagranie do chwili, gdy wpadli do pokoju i gdy zdarł z niej ubranie. Skasowała całą resztę i ostrożnie schowała kamerę do torby.

Przejrzała spis telefonów w komórce, znalazła ten, którego szukała, przytknęła komórkę do ucha i ze smutkiem zapatrzyła się w dal. Jeden sygnał, drugi, trzeci.

- Witam, to ja. Jak pogoda na Bermudach? - Przez kilka sekund słuchała, machinalnie drapiąc paznokciem brzeg małego rozdarcia na dzinsach. - To miło. Proszę posłuchać, bardzo mi przykro, że psuję pani urlop, ale boję się, że miała pani rację.

Westchnęła, ciężko i z żalem, ale nie ze względu na kobietę, z którą rozmawiała, tylko na siebie, na tę przyprawiającą o skręt kiszek świadomość, że chociaż facet tak bardzo na nią podzierał, ona była dla niego tylko kolejnym towarem.

- Dziś wieczorem omal nie przespałam się z pani mężem i mam wszystkie dowody, których pani chciała.

PENNY RICHMOND

Ten, któremu się udało

Zawsze znajdzie się ktoś taki, prawda? Taki, któremu się udało... A może raczej taki, któremu zawsze się udaje? To zależy... Tak czy inaczej mój miał na imię Nathan. Kiedy studiowaliśmy na uniwerku, niektórzy mówili mu Nat; ja nigdy, bo brzmiało to jak nazwa irytującego owada, który potrafi paskudnie ugryźć.

Ale tak, szczerze mówiąc, już wtedy było w nim coś irytującego. Irytującego? Mało powiedziane. Był próżny, puszczał się na lewo i prawo i doskonale wiedział, że leci na niego mnóstwo dziewczyn. Ale kiedy wybrał mnie -kiedy spłynął na mnie jak błogosławieństwo - wszystko mu wybaczyłam.

I od razu się w nim zakochałam: w jego ciemnych włosach, tych gęstych, jedwabistych lokach, w bursztynowych oczach i karmelowej cerze, pięknych kościach policzkowych, w jego ciele... Tak, ciało miał doskonałe. Sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, szerokie bary, wąska talia, muskularny tors i długie, mocno umięśnione nogi:

wyglądał jak mężczyzna nawet wtedy, kiedy zachowywał się jak mały chłopiec. Miałam dwadzieścia lat, on był rok starszy i pewnej zimowej nocy pod koniec jakiejś imprezy - ludzie już wychodzili i, niczym pobudka, zza otwartych drzwi raz po raz wpadał do środka podmuch mroźnego powietrza - uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Między nami zawsze było coś niedopowiedzianego, nie sądzisz?

A ja bez słowa kiwnęłam głową i wtopiłam się w jego ramiona. Uważałam się za najszczęśliwszą dziewczynę pod słońcem, myślałam, że umarłam i jestem w niebie.

Zamiast powiedzieć: „Do widzenia”, wrócić do domu i położyć się spać, poszłam z nim jak baranek, by, owszem, wylądować w łóżku, tyle że jego.

- Muszę się trochę przespać, jutro pracuję - zaprotestowałam słabo, próbując złapać oddech między kolejnymi pocałunkami.

- Kogo obchodzi jutro - wymruczał - skoro dzisiaj jest nam tak dobrze?

No właśnie, na tym polegał problem: dla niego liczyła się tylko chwila obecna. Ale byłam wtedy młoda i głupia, więc zignorowałam to, że prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, że za jego ślicznymi oczami czaiła się pustka, że Nathan naprawdę żył tylko chwilą i jeśli w chwili tej znalazłam się akurat ja, świetnie, doskonale, ale nigdy, ani razu nie obiecał mi niczego na przyszłość. I tak było chyba OK - byliśmy młodzi, więc niby dlaczego mielibyśmy coś sobie obiecywać? Ale nie, nie mogłam się powstrzymać.

Musiałam mieć jakieś jutro. Chciałam, żeby poznał moich rodziców, chciałam, żeby powiedział, że mnie kocha, bo przecież ja jego kochałam.

Oczywiście nigdy tego nie zrobił. Mówił rzeczy takie jak: „Jesteś wspaniała” czy: „Lubię z tobą być”. Ale ani razu nie powiedział, że mnie kocha, bo pewnie nie kochał. Dziwne jest

to, że godziłam się z tym przez trzy lata - całe trzy lata bez żadnej obietnicy. Trzy lata ciągłego powtarzania, że ma uraz na punkcie stałych związków, bo jego rodzice się rozwiedli. Ze współczuciem kiwałam głową, podczas gdy powinnam była powiedzieć: „Wiesz co? Moi rodzice też się rozwiedli. Co nie znaczy, że chcę pójść w ich ślady”. Pomieszkiwaliśmy razem, chociaż nie do końca. To było moje mieszkanie - zaczęłam je wynajmować, kiedy, zrobiwszy dyplom, dostałam pracę w redakcji magazynu ilustrowanego - ale on spędzał tam mnóstwo czasu, chociaż oficjalnie wciąż mieszkał u siebie. „U siebie”, to znaczy w suterynie domu jego matki. Powinno mnie to zastanowić, prawda? To i wszystko inne. Mężczyzna powinien opuścić rodzinny dom przy pierwszej lepszej okazji, zwłaszcza gdy zgorzkniała matka za dużo pije i uważa, że żadna dziewczyna nie dogodzi jej ukochanemu synusiowi jedynakowi. Jego matka miała na imię Amelia i była kiedyś modelką, co powtarzała przy każdej okazji: „Pracowałam w twoim magazynie - powiedziała, kiedy zaczęłam tam pracować. - Pamiętaj”. Jakbym mogła zapomnieć.

Amelia nie znosiła mnie, tak jak nie znosiła wszystkich dziewczyn Nathana, ale najdziwniejsze było to, że kiedy

tylko z nimi zrywał, zaczynała zachowywać się tak, jakby zawsze je lubiła i zachęcać go, żeby do nich wrócił. Miała poważne zaburzenia emocjonalne, a on był błogo tego nieświadomy nawet wtedy, gdy upiwszy się podczas niedzielnego lunchu, nazwała mnie pazerną suką, która poluje na jego kasę. Co było zupełnie absurdalne, bo to ja płaciłam za mieszkanie i regulowałam wszystkie rachunki, gdy on wydawał pensję na ubrania od Prądy i na kokę; pracował już wtedy w agencji reklamowej.

Najbardziej żalosne było to, że godziłam się z tym wszystkim, bo było nam cudownie w łóżku. Chciałabym powiedzieć, że teraz zdaję sobie sprawę, że jednak nie, a przynajmniej nie do końca cudownie, ponieważ osiągnąwszy pewien poziom dojrzałości emocjonalnej, widzę, że nasze życie seksualne determinowała adrenalina i niepokój (u mnie) i nielegalne środki farmaceutyczne (u niego). Byłoby w tym trochę prawdy, ale tylko trochę. Problem polegał na tym, że uwielbiałam się z nim kochać, chociaż zdawałam sobie sprawę, że nasz związek jest beznadziejny. Nie wiem dlaczego, ale nasze ciała po prostu do siebie pasowały i nawet cień zapachu jego skóry (nieco przydymiony i czysty zarazem) sprawiał, że natychmiast pragnęłam być z nim nago, leżeć przy nim, na nim i w nim. A on reagował tak samo na mnie. Szkoda, że cała reszta była do kitu.

W końcu musiałam przyznać sama przed sobą, że będę z nim szczęśliwa tylko w łóżku, chociaż nawet w łóżku czegoś mi brakowało. Bo nie było to chyba szczęście, tylko dzikie zapamiętanie, graniczące niekiedy z bólem i cierpieniem, tak że często po ciemku

płakałam. Ale on nigdy nie widział moich łez, bo miał już zamknięte oczy. I kiedy wrócił kiedyś wieczorem i powiedział, że właśnie przeleciał swoją sekretarkę - w pakamerze, w połowie bożonarodzeniowego przyjęcia w biurze - w końcu coś we mnie pękło.

- Dość! - Byłam tak zła, że miałam ochotę go uderzyć. - To już koniec.

- Dziecinko - on na to - ona nic dla mnie nie znaczy. To głupstwo, dlatego ci o tym mówię, to zupełnie nieważne, coś jak zwykły pocałunek.

- Może dla ciebie nieważne - odparłam - ale dla mnie to coś znaczy, pocałunek też. Jak możesz tak mówić? Dłużej tego nie wytrzymam, po prostu nie mogę. - Rozszlochałam się, a on, co dziwne, robił wrażenie wstrząśniętego, jakby nie mógł zrozumieć dlaczego, próbował mnie przytulić, scałować łzy. Ale wiedziałam, że jeśli mu pozwolę, jak zwykle wylądujemy w łóżku i już do końca życia będę jego wycieraczką.

Dlatego kazałam mu wyjść, a kiedy wyszedł, usiadłam i wiele godzin płakałam, potem zasnąłam i trochę spałam, a rano czułam się tak, jakby piersi przygniatał mi wielki ciężar. Zadzwoiłam do siostry i powiedziałam:

- Jestem taka nieszczęśliwa. Właśnie zerwałam z Na-thanem.

- I dzięki Bogu - odrzekła. - To gówniarz. Lepiej ci będzie bez niego, zobaczysz.

Pewnie miała rację, mimo to wciąż uważałam, że wszystko poszło nie tak, więc dźwigałam ten mroczny ciężar przez kolejne poranki, kolejne tygodnie i miesiące, wreszcie powoli, bardzo powoli, poczucie całkowitego przytłoczenia - bycia nikim bez Nathana w moim ciele - zaczęło znikać. Nie żebym zupełnie straciła nadzieję, że dostrzeże niegodziwość swego postępowania i zadzwoni, błagając o przebaczenie, mówiąc, że mnie kocha i nie może bez mnie żyć; wiedziałam jednak, że to tylko fantazja równie nieprawdopodobna jak to, że odnajdzie Boga i zostanie księdzem.

W końcu, mniej więcej rok później - przez cały ten czas ani razu się do mnie nie odezwał - zaczęłam umawiać się z chłopakiem, którego poznałam jeszcze w college'u. Był miły - mogliśmy z sobą rozmawiać - i dobry, ale seks z nim też był tylko dobry, daleki od wspaniałego. Kiedy powiedziałam siostrze, że po Nathanie odczuwam pewien niedosyt, odparła, że powinnam pójść na terapię.

- Problem polega na tym - tłumaczyła - że przyjemność fizyczna kojarzy ci się z emocjonalnym bólem.

Boże, co za amatorszczyzna, diagnoza jak z rubryki porad intymnych w moim czasopiśmie. Ale siostra miała chyba rację, przynajmniej częściowo; choć raczej nie byłam gotowa to wtedy przyznać.

Rozstaliśmy się bez żalu i wyrzutów. Po prostu sypialiśmy ze sobą coraz rzadziej i rzadziej, wreszcie romans przestał być romansem i na powrót przeszedł w przyjaźń. Dlatego wyjeżdżałam do Paryża jako kobieta oficjalnie

wolna, i to już od kilku miesięcy. Rzadko kiedy bywam na takich imprezach, bo choć brzmi to efektownie i prestiżowo, zwykle takie nie jest. Ktoś musiał reprezentować nasze czasopismo na starcie kampanii reklamowej nowych perfum wielkiej firmy kosmetycznej - ważnego reklamodawcy - i w normalnych okolicznościach pojechałaby tam redaktorka działu urody, cała śliczna i w pachnącej chwale. Ale dzień wcześniej czymś się zatrzała (okropny pech, zważywszy na fakt, że tak mało je), a jej zastępczyni była na urlopie, co jeszcze bardziej zirytowało naczelną.

- Na miłość boską - warknęła, omiatając nas wzrokiem. - Dlaczego nigdy nie ma tu nikogo pożytecznego?

Jej wzrok spoczął na mnie, najmłodszej stażem członkini zespołu.

- Olivio - powiedziała i ciężko westchnęła. - Pojedziesz. Trudno.

„Ależ skąd, to wcale nie takie trudne” - byłam za mądra, żeby tak odpowiedzieć, więc uśmiechnęłam się tylko i z nadzieją, że okaże tym swoją gorliwość i operatywność, spytałam:

- Co mam zrobić?

- Jutro po południu ktoś od nas musi być w Paryżu - wyjaśniła naczelna. - Pójść na prezentację, następnego dnia rano wrócić do Londynu i napisać krótki artykuł.

Tak się przypadkiem złożyło, że ostatnim razem byłam w Paryżu z Nathanem i w pociągu ogarnęła mnie melancholia, bo wspominałam tamten weekend, zastanawiając się, czy nie zerwałam z nim zbyt pochopnie i czy już do

końca życia będę sama. Ale kiedy ekspres wjechał na Gare du Nord, zalała mnie fala optymizmu - ostatecznie miałam okazję uciec na trochę z redakcji - poza tym hotelowy pokój, z obitymi zielonym aksamitem krzesłami, srebrzystymi poduszkami i perłowszarymi ścianami, był bez porównania ładniejszy niż moje mieszkanie. Zarezerwowano go najwyraźniej dla szefowej działu urody - apartament odpowiedni do jej statusu i pozycji - dlatego na małym stoliku z lustrem czekała butelka szampana i porcelanowa tacka pełna blad różowych ciasteczek w kształcie makaroników, co bardzo mi się spodobało. Wzięłam kąpiel, długo pływając się w pachnącym różami luksusie, a potem włożyłam swoje ulubione szpilki z czerwonego aksamitu i obcisłą małą czarną, którą kupiłam w ciucholandzie i która leżała na mnie jak ulał. Kiedy wygładziwszy sukienkę, spojrzałam w lustro, przez kilka sekund widziałam tam kogoś tajemniczo uśmiechniętego, pełnego życia i emanującego gorączkowym wyczekiwaniem. Niemal zawstydzona tym obrazem odwróciłam się i w przypiływie praktyczności wrzuciłam do torebki pieniądze i klucze. Potem zgodnie z poleceniem zeszłam na dół, gdzie czekała na mnie bardzo wytworna francuska publicystka o wygiętych w łuk czerwonych ustach i czerwonych paznokciach. Wsiadłyśmy do taksówki i pojechałyśmy.

Pocałunek - tak nazywały się perfumy, dlatego imprezę urządzono w muzeum Rodina, gdzie stoi oryginalna rzeźba zatytułowana *Pocałunek*. Wynajęcie sal musiało kosztować fortunę, ale cóż, oto byliśmy na tarasie, oto serwowano nam kawior i koktajle na

szampanie, a nad Paryżem zapadał letni zmierzch i przezroczyste niebo tonęło w świetlistej poświacie. Była tam co najmniej setka osób -połowę stanowili dziennikarze z całego świata, w tym kilka redaktorek z Dalekiego Wschodu, które leciały z nóg po długiej podróży samolotem, a resztę - ludzie z branży, spece od marketingu i sprzedaży. Nie znałam tam nikogo oprócz tej Francuzki, ale ona miała na głowie ważniejszych gości, redaktorki z amerykańskiego „Elle” i włoskiego „Vogue'a”. Zupełnie mi to nie przeszkadzało - czułam się tak, jakbym oglądała sceny z czyjegoś życia - i po chwili wymknęłam się do ogrodu, naprawdę pięknego, bardzo tradycyjnego i typowo paryskiego, takiego ze starannie przystrzyżonymi żywopłotami, wypielegnowanymi trawnikami i fontanną tryskającą łagodnie w wielkim kamiennym basenie.

Stałam tam samotnie, patrząc na ciemną wodę, gdy wtem ktoś zaszedł mnie z tyłu tak bezszelestnie, że odwróciłam się dopiero wtedy, kiedy dotknął moich pleców.

- Olivia. - Cichy, męski głos. Jego głos.

- Nathan? - Serce waliło mi tak mocno, że bałam się, iż to usłyszy. - Co ty tu robisz?

- O to samo mógłbym spytać ciebie. - Uniósł brew, lekko i ironicznie, jak to on.

Nie odpowiedziałam - byłam za bardzo zbita z tropu i miałam nadzieję, że zmierzch ukryje rumieniec, który z szyi spłynął na moją twarz.

- Pracuję u nich od zeszłego roku - powiedział. - U tych

od Pocałunku, w reklamie. A ty? Nie widziałem cię na liście gości.

- Przyjechałam w zastępstwie - odparłam. - Naszej redaktorki działu urody.

- Ale ciągle pracujesz w tym samym czasopiśmie? Kiwnęłam głową.

- Ile to już? - spytał z uśmiechem. - Półtora roku? Minęły dwa lata, ale nie zamierzałam się przyznawać,

że wciąż pamiętam dokładną datę naszego rozstania, więc znowu kiwnęłam głową, z trudem odwracając wzrok, żeby się na niego nie gapić, chociaż zdążyłam odnotować każdy najdrobniejszy nawet szczegół jego twarzy: włosy, teraz trochę krótsze i porządniej uczesane - sięgały do kołnierzyka białej koszuli - kosztowny garnitur, starannie ogolone policzki, cytrynowy zapach mydła i dymu z cygara.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział. - Dlaczego przestaliśmy się widywać?

- Bo przespałeś się ze swoją sekretarką.

- Ach, z nią. - Głos lekceważący i nieco rozkapryszony. - Już się z nią nie spotykam. Teraz zamiast sekretarki mam przerażającego smoka.

- Pewnie jesteś rozczarowany.

Szybko zerknął w dół, na moją lewą rękę, na której nie było pierścionka zaręczynowego ani obrączki.

- To niesamowite, że znowu tu jesteśmy. - Tym razem głos ciepły i prowokacyjny, bez cienia smutku czy markotności. - Pamiętasz tamten weekend?

Nie był to znowu aż taki przypadek - tak jak tysiące osób przed nami, byliśmy tu jako studenci i tak jak tysiące innych, w tłumie turystów staliśmy przed *Pocałunkiem*. Ale tak, oczywiście, dobrze to pamiętałam. Pamiętałam uczucie dziwnego osamotnienia i

niepewności, pamiętałam, że nie minęło nawet wtedy, gdy wziął mnie za rękę i szepnął do ucha, że chce spędzić ze mną popołudnie w łóżku, pamiętałam również wypływające z niepewności podniecenie, to, jak mieszało się z pożądaniem.

- Jak mogłabym zapomnieć? - odrzekłam i natychmiast tego pożałowałam, bo przez jego twarz przemknął wyraz samozadowolenia i satysfakcji. Nie podobało mi się to -i to, że znowu zaczynałam wpadać w nawyk sprawiania mu przyjemności - więc odwróciłam się i poszłam z powrotem w stronę zatłoczonego tarasu.

- Nie odchodź - poprosił, mimo to szłam dalej, z trudem zachowując równowagę na wysypanej żwirem ścieżce i zdając sobie sprawę, że wstawiłam się kilkoma lampkami szampana na prawie pusty żołądek (kanapki były modne, czyli mikroskopijne, a ciasteczka wielkości sporej lalki). Dogonił mnie, a kiedy doszliśmy do drzwi z tarasu do muzeum, wziął mnie za rękę i ominąwszy grupę japońskich dziennikarzy, pociągnął w stronę bocznej sali.

- Spójrz - szepnął. - *Le Baiser*. - Wciąż tam byli, tak jak wtedy, wciąż złączeni w uścisku, tak jak zostawił ich sam Rodin, uwiecznieni, a może uwięzieni w kamieniu, dwie marmurowe postacie zastygłe w porywie nagiej namiętności: jej ręce na jego szyi, jego ręka na jej udzie.

- Przypomina mi ciebie - powiedział Nathan i czubkami palców musnął mój policzek. - Tak bardzo tęskniłem.

Mogłam być zimna jak marmur albo tylko pokręcić głową; mogłam powiedzieć, że to frazes, banał, tak jak ta rzeźba, bo z czasem ona też stała się banałem. Ale nie powiedziałam. Po prostu stałam tam, po raz kolejny czytając napis na tabliczce, nie odrywając od niej wzroku, aż objął mnie i wyprowadził z sali.

A potem... Wszystko potoczyło się z pełną wdzięku nieuchronnością. Wróciliśmy na przyjęcie - rozkręciło się już na dobre - i chociaż tuż przed prezentacją spotu reklamowego odciągnęli go koledzy, wiedziałam, że nie odrywa ode mnie wzroku, jakby ktoś związał nas niewidzialną nicią, której nie można było rozerwać ani nawet poluźnić, chociaż poruszaliśmy się w przeciwnych kierunkach.

Spot - pokazano go na wielkim ekranie w sali głównej - był dokładnie taki, jak można się było spodziewać: zgrabny, trzyminutowy filmik z hollywoodzką gwiazdą w roli głównej, nakręcony przez rozchwytywanego reżysera, zdobywcę Oscara. Tak reklamuje się dzisiaj perfumy: inwestując olbrzymie pieniądze z nadzieją na jeszcze większe zyski. Mimo to urzekł mnie ten filmowy romans: był pięknie sfotografowany i osadzony w zalanym złotawą poświatą Paryżu. No i to zakończenie: hollywoodzka gwiazda - słynna znakomitość, która chce uciec ze swojej złotej klatki - wbiega do muzeum Rodina, by spotkać się z ukochanym w ogrodzie, gdzie całują się tak, jakby zaraz mieli umrzeć. Oglądałam je z lekkim cynizmem - była to oczywiście próba odtworzenia *Pocałunku* Rodina, z tym że z ubranymi aktorami - bo wiedziałam, że celuloidowe postacie są równie

nierealistyczne jak te z marmuru. Mimo to nawet w tym kontekście poczułam coś dziwnego - piekące łzy w oczach.

Potem podszedł do mnie Nathan.

- No i co o tym myślisz? - spytał na pozór obojętnie, chociaż wiedziałam, że czeka na pochwałę.

- Budzi emocje - odparłam.

- Zawsze trudno było ci dogodzić.

- Mnie? Myślałam, że wprost przeciwnie. Taka już ze mnie naiwniaczka.

Roześmiał się, pokręcił głową, a kiedy odwróciłam się, by odejść, ruszył za mną. Resztę przyjęcia pamiętam jak przez mgłę: on przedstawiał mnie swoim znajomym i współpracownikom, ja czarowałam ich uśmiechem i dawałam się oczarować. Kiedy wyszliśmy, na dworze było już ciemno - za oknem taksówki panowała aksamitna noc bez gwiazd i księżycy, którą rozświetlały jedynie migoczące neony i uliczne latarnie.

Siedzieliśmy na tylnym siedzeniu. Nathan wziął mnie za rękę i zaczął głaskać moją dłoń, rysując na niej kręgi tak małe i delikatne, że prawie nie czułam jego dotyku.

Zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu - jego firma zarezerwowała prawie wszystkie pokoje - i kiedy wjechaliśmy windą na piąte piętro, gdzie mieszkałam, poszedł za mną.

- Nie zapraszałam cię. - Sięgnęłam do torebki po klucz.

- To może wpadniesz do mnie? - spytał. - Mam apartament na dachu z cudownym widokiem na miasto. - Znowu wziął mnie za rękę i przyciągnął ku sobie. - Proszę. No więc poszłam z nim, i patrzyliśmy na dachy Paryża -co było absurdalnie romantyczne, jak scena z bajki, bo ta bezgraniczna, ta obezwładniająca przestrzeń aż kusila, by wyskoczyć z okna i poszybować jak ptak - i czułam się tak lekko, jakbym rzeczywiście miała zaraz odpłynąć i pofrunąć hen, wysoko ponad miastem. Ale wtedy pocałował mnie i przytulił, stanowczo i niecierpliwie, ale wtedy znowu mną zawładnął, dlatego łatwo nam było upaść na łóżko i wrócić do tego, co tak dobrze pamiętaliśmy.

- Kochanie - szepnął. - Uwielbiam z tobą być. Potem, gdy odpoczywaliśmy w eleganckiej pościeli, powiodł ręką po moich plecach i położył ją na udzie.

- Masz piękne ciało - powiedział. - Jak żadna inna. Chciałbym, żeby było tak zawsze... - I zasnął jak dziecko, tak jak kiedyś, a im głębiej zapadał w sen, tym jego ręka robiła się coraz cięższa i cięższa.

Ale ja nie spałam. Ogarnął mnie dziwny, mroźny bezruch, jakby przygniatał mnie ciężar tej silnej, umięśnionej ręki, bo wrażenie płynnej miękkości, z jaką przed chwilą splatały się nasze ciała, znikło, ustępując miejsca zimnemu bezwładowi. I leżąc tak przy nim, wspominałam jego słowa - coś w rodzaju wyznania, jeśli nie miłości, to na pewno czułości - ale zamiast odprężyć się i uspokoić, ciągle wracałam myślą do napisu na tabliczce obok *Pocałunku* Rodina. Nie zauważyłam go, kiedy oglądałam tę rzeźbę jako studentka - a może zauważyłam, przeczytałam i natychmiast zapomniałam - ale tego wieczoru po prostu nie mogłam go zignorować. Rzeźba przedstawia dwoje skazanych na zatracenie kochanków z *Inferna* Dantego i miała stanowić element monumentalnej *Bramy piekieł*, nad którą Rodin

pracował przez wiele lat i której nie zdążył ukończyć. Co oznaczało, że to słynne ucieleśnienie erotyzmu i romantycznej miłości jest tak naprawdę symbolem wiecznego bólu i potępienia.

Dlatego nie mogłam zostać z nim w łóżku. Prawda? Nawet jeśli nie miałyby to skończyć się tak dramatyczną formą uwięzienia, wiedziałam, że to bardzo niebezpieczne miejsce, swoista otchłań, stężały bezruch, nic tylko on i jego ciało. Jedna taka noc, proszę bardzo, ale nie chciałam, żeby trwało to wiecznie.

Dlatego wzięłam głęboki oddech, odsunęłam się i jego ręka opadła ciężko na łóżko. Cicho westchnął przez sen, ale się nie obudził. Wyglądał tak bezbrinnie, że pochyliłam się i pocałowałam go lekko w policzek. Potem ubrałam się i zostawiłam list na poduszce.

„Pocałunek - napisałam - na pożegnanie”.

TUTTY MONMOUTH

Obudzić wspomnienia

- Nudzi mnie to - jęczę do słuchawki.
 - Ale co? - pyta moja najlepsza przyjaciółka Kate. -Praca? Dave? Życie?
 - Wszystko razem - burczę. - To jedno i to samo.
 - Przykro mi, ale ani trochę ci nie współczuję. Co więcej, zazdroszczę ci, że od dwóch lat jesteś szczęśliwą mężatką. Spróbuj pochodzić sobie co piątek na randkę w ciemno tylko po to, żeby twoje już i tak niskie oczekiwania zostały jeszcze bardziej stłamszone przez facetów, którzy wyglądają jak Quasimodo z ilorazem inteligencji Homera Simpsona. Albo pobaw się trochę w speed dating. Albo poumawiaj się przez Internet. - Kate podnosi głos, dając mi do zrozumienia, że jest naprawdę zdesperowana.
- Wiem, wiem. Głową i sercem czuję, że jestem w o wiele lepszej sytuacji, że stały, szczęśliwy związek, choć czasem monotony i szary, o cztery długości wygrywa z bezustannym czekaniem na księcia z bajki, który okazuje się w końcu nędznym giermkim, i to wcale nie z bajki. Czuję

to głową i sercem, chodzi o to, że coraz częściej odczuwam również niepokój na południe od podbrzusza. Dave jest - podkreślam - jest moim księciem z bajki. Potrafi być bystry, zabawny, troskliwy i seksowny, pod warunkiem, że się postara. Ale jesteśmy razem tak długo, że doszedł pewnie do wniosku, iż nie musi już starać się regularnie. Pobraliśmy się przed siedmiu laty. Zaczynam wierzyć - zupełnie poważnie - że siódemka wywołuje małżeński kryzys. I zastanawiam się, jak z niego wybrnąć.

- Może to dlatego, że razem pracujemy i razem mieszkamy - mówię. - On zawsze tu jest i mam tego dość. I tego, że zawsze jest tak samo. Nie ma żadnego urozmaicenia, żadnych nowych wyzwania, niczego.

Podświadomie tęsknię - jeśli nie ja cała, to na pewno mała część mnie - za odlotowymi weekendami, z których ona nie musi jeszcze rezygnować. Nic nie dorówna uczuciu niecierpliwego oczekiwania i podniecenia, jakie ogrania cię, gdy otwierasz drzwi modnego baru i uderza cię zapach papierosowego dymu i alkoholu, gdy słyszysz ten głośny, zwariowany gwar. Wciąż pamiętam dreszczyk, który przechodził mnie na widok grupy tajemniczych mężczyzn w ciemnych garniturach, mężczyzn przy forsie, przynajmniej wtedy, może chwilowo, którzy obnosząc się z kasą, suną przez tłum do baru, by skończyć w sercu i łóżku jakiejś kobiety.

Bary działają jak afrodyzjak nawet wtedy, kiedy jest się nieodłączną połową drugiej połowy. Jeszcze nim się zaręczyliśmy, Dave i ja, zanim zaczęliśmy odkładać pieniądze

na ślub, a potem na dom, chodziliśmy do tych horrendalnie drogich lokali dwa, trzy razy w tygodniu. Potem wracaliśmy do domu i zdieraliśmy z siebie ubranie. Myślę, że przez tę muzykę. Tę głucho dudniącą, pulsującą muzykę, która najpierw wnika do mózgu, a potem atakuje całe ciało, zwłaszcza krocze i penis. Zawsze chciałam tańczyć, chciałam tańczyć nawet wtedy, kiedy nie było miejsca. I zawsze musiałam tłumić w sobie tę nieprzepartą chęć, by ziuuu!, zawirować, zakołysać biodrami i wywalczyć kawałek parkietu - co w tych eleganckich, do cna stylowych barach byłoby absolutnie obciachowe, zupełnie nie do pomyślenia. Rozumiem striptizerki. Muzyka ma dużo wspólnego z seksem. Muzyka wchłania, pożera, wypełnia i w końcu przynosi ulgę. Wolę kochać się przy muzyce niż w ciszy. Pomaga mi to stworzyć nastrój, taki, na jaki akurat mam ochotę. Gorączkowy i szalony albo leniwy i uwodzicielski. Szczerze mówiąc, chętnie wróciłabym do starych zwyczajów. Bo rzadko kiedy teraz wychodzimy. Jedno z nas zawsze krzyczy: „Jestem wykończony!”. Albo: „Jestem wykończona!”. Bynajmniej nie seksem. Wykończony/a pracą, dojazdami, szefami i stresem. To smutne.

- Jane - mówi czule Kate. - Jesteś żalosna.

Po piętnastu latach przyjaźni może pozwolić sobie na tę bezkompromisową zasadniczość. Jej szczerłość i sympatia idą ze sobą w parze.

- Możliwe.

- Przecież wiem, że ty szalejesz za nim, a on za tobą. Myślisz, że życie jest usłane różami? Bądź realistką.

- Nie lubię róż. Wolę pończochy i oliwkę do masażu. To właśnie tę iskierkę zabiła rutyna.
- A jak tam interesy? - pyta Kate, gwałtownie zmieniając temat.

Wiem, że ma mnie za taką, która nie zna umiaru.

- Świetnie. Tylko trudno jest podniecać się sprzedawaniem samochodowych polis ubezpieczeniowych.
- Zgarniasz niezłą prowizję i nigdy dotąd nie narzekałaś. Zawsze mówiłaś, że kręci cię praca w męskim środowisku - wytyka mi Kate z niemal irytującym rozsądkiem.
- I kręciła, dopóki się nie spiknęliśmy, nie poszliśmy ze sobą do łóżka, a potem do kościoła.
- Małżeństwo było gwoździem do trumny moich niewinnych flirtów biurowych. Bo nagle zniknęłam. - Teraz, kiedy objam się z kumplami przy automacie z wodą, nic między nami nie iskrzy.

Znowu wracam myślą do niezliczonych flirtów i szybkich, sprośnych romansików. Praca w męskim środowisku bardzo mi sprzyja i wspomnienia wywołują miły dreszcz.

Przyznaję: moje ego potrzebuje doładowania.

- Serce mi pęka. W salonie piękności nie ma takich okazji. Spotykam tam tylko siwiuteńkich pedziów, którzy przychodzą na depilację pleców, tyłka i moszny, żeby mogli zaimponować jakiemuś młodemu pakerowi.

Śmieję się i pytam:

- Wydepilowana moszna może komuś zaimponować?
- Nie wiem, to dla mnie zagadka. To znaczy, faceci. I hetero, i homo. Pewnie tak, inaczej by nie przychodzili.

Ale ból musi być straszny. Czekaj, czy ty nie jedziesz na jakąś konferencję? Jedziesz. No to będziesz miała tę swoją odmianę i odstępstwo od rutyny.

- Tak, w przyszłym tygodniu, do Brighton. Na trzy dni i dwie noce. Pozbędę się Dave'a i poderwę kogoś zupełnie nieodpowiedniego - rzucam nonszalancko.

Oczywiście żartuję, ale chcę ją zaszokować. A może wcale nie żartuję - może nie żartuje ta ukryta we mnie cząsteczka - może mówię zupełnie poważnie, co z kolei szokuje mnie.

- O wiele rozsądniej by było, gdybyś szczerze z nim porozmawiała.

- Nie jestem rozsądna.

- Fakt. Jak mogłam o tym zapomnieć?

To typowa impreza firmowa, wielka, rozdęta i głupia. Ale wszystkim się podoba, a ponieważ udało mi się spławić Dave'a, podoba się i mnie. Podpici, niezbyt wybredni faceci stoją w wygłodniałych grupkach, próbując zwrócić uwagę kobiet głośnym krzykiem i szczeniackimi przepychankami. Czasami myślę, że wciąż jesteśmy na szkolnym boisku i że zostaniemy tam na zawsze. Zaczerwieniem mężczyźni zataczają się i coraz bardziej bełkoczą. Kobiety są spocone i zaskakująco chętne, bo one też korzystają z okazji, nie ograniczając się wcale do kieliszka wina na koszt firmy. Jutro będzie wstyd, niechętnie spojrzenia i gigantyczny kac, ale dzisiaj wszyscy mają to gdzieś. Znajduję stolik z moim nazwiskiem na tabliczce, siadam i przywołuję na twarz miły, zawodowy uśmiech.

To on. Namierzam go już po kilku sekundach. Kiedy tylko kojarzę go sobie w głowie, natychmiast kojarzę i w majtkach. Czuję tam przyprawiające o zawrót głowy łaskotanie, irytujące i podniecające zarazem. Poznałam go lata temu. Wydaje się, że w innym życiu. Nie spodziewałam się, że dziś go tu zobaczę. Nie spodziewałam się, że zobaczę go w ogóle, nie mówiąc już o tym, że będzie siedział przy moim stoliku. Minęło tyle czasu. Uśmiecha się do mnie szeroko i leniwie i czuję ten uśmiech między nogami. Rozbiera mnie wzrokiem. Niemal widzę, jak mój seksowny top ląduje na podłodze. Ma błyszczące zielone oczy, takie ze złotawymi iskierkami. Nagle widzę promienie słońca sączące się przez liście w gęstym lesie, nagle widzę, jak przez ten las biegnę - oczywiście nago. Wszystkie myśli o domu idą precz. Nie mam zamiaru ich dzisiaj przewietrzać. Ma gładką, niemal przezroczystą skórę i wydatne kości policzkowe. Jest świetnie zbudowany - świetnie, lecz nie onieśmielająco. Powiedziałabym, że atletycznie, bez pakerskiego przegięcia. Widać, że dużo ćwiczy. Patrzy na mnie, patrzy prosto w oczy. Jakby wszystko o mnie wiedział, jakby znał wszystkie moje tajemnice i sprośne zamiary. Ekspłoduje we mnie bomba atomowa instynktów, wybucha gejzer emocji - odłamki trafiają w głowę i piersi. Moje serce i punkt G śpiewają w duecie. Cała drzę. Kłębiący się wokoło tłum zmienia się w niewyraźną, zupełnie nieważną smugę i zostajemy sami w łączącej nas bliskości. Sami w bliskości, bliscy w samotności. Bo naprawdę czułam się ostatnio samotna. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie zaczęłam zwijać się pod jego znajomym, lecz zakazanym spojrzeniem. Samotność w małżeństwie jest straszna. Natychmiast postanawiam go zdobyć. Oszołomiona i zmieszana tą ewidentną żądzą nie mogę zignorować tego, że coś nas do siebie ciągnie. Niemal czuję, jak to coś

pachnie. Jestem pewna, że poczułabym nawet, jak smakuje. Mam ochotę polizać dzielące nas powietrze, ale boję się, że weźmie mnie za wariatkę.

- Cóż za niespodzianka...

- Dla mnie też, ale jeśli nadarza się okazja, trzeba korzystać.

Nie wiem, czy zna moje buntownicze myśli, ale wygląda na to, że tak. Pewnie je wyczuwa i zechce to wykorzystać.

- Napijesz się czegoś, Mikrusie? - I już nalewa mi czerwonego wina (mojego ulubionego). Wino i to, że pamięta moje przezwisko, tworzy atmosferę niemal namacalnej intymności. Czegoś, czego od dawna brakuje mi w domu. Próbuję sobie przypomnieć jego przezwisko. Jak przez mgłę pamiętam, że na pewno jakieś miał. Tylko jakie? Miało coś wspólnego z jego wielkim członkiem. Tak, na sto procent. Osioł? Ogier? Wisior? Mam! Zapchaj! Tak, Zapchaj! Boże, jak się z tego śmialiśmy. Okrzyk: „Dave!” podczas orgazmu (prawdziwego czy udawanego) brzmi w porównaniu z tym tak prozaicznie.

Nasz flirt osiąga bezprecedensowy poziom. W ciągu ledwie kilku minut staję się frywolna i nonszalancka jak przed ślubem, na nowo odkrywam w sobie swoją drugą naturę, tak ostatnio stłamszoną i nieobecną. Nagle mogę

równać się z największymi uwodzicielkami w historii. Jestem równie tajemnicza jak Kleopatra, która kazała nasącać żagle swego okrętu wyciągiem z przypraw, żeby jej ukochany wojownik Antoniusz poczuł ten zapach nawet zza morza. Moje sarnie oczy obezwładniają spojrzeniem jak oczy ciemnowłosej bohaterki czarno-białego romansu. Chce zaciągnąć mnie na górę. Pod byle jakim pretekstem, po prostu chce mnie tam zaciągnąć. Jestem panią Robinson, a mój absolwent pragnie, bym powolutku zdjęła pończochy. I do diabła z konsekwencjami.

Otwarta i bezpośrednia, nie ukrywam swoich zamiarów, jednak kiedy próbuje przyprzeć mnie do muru, staję się pokrętna i zwodnicza. Jeszcze nie tknęliśmy przystawek. Nie zamierzam z nich rezygnować, chociaż już teraz daje mi do zrozumienia, że lepiej rozmawiałoby się nam w cztery oczy, w hotelowym pokoju. Jestem odważna, ale i płochliwa - koń dobry, lecz nie stuprocentowo pewny.

On też jest pełen wyzwań i sprzeczności, które nie denerwują mnie jednak ani nie frustrują: przypomina dawnego, bezpiecznie swojskiego kochanka, ale jest w nim również coś nowego i nieznanego, coś, co przyprawia mnie o dreszcz. Dolewa mi wina. Opowiada o swojej pracy, śmiertelnie nudnej, bo takiej samej jak moja, ale robi to w porywający sposób. Sypie zabawnymi historyjkami o klientach i co raz wybucham śmiechem. Dave i ja pracujemy w tej samej branży, mniej więcej na takim samym stanowisku. W zeszłym roku dostałam awans, a on nie, więc formalnie rzecz biorąc, jestem od niego ważniejsza.

Powiedział, że się cieszy, ale od tamtej pory nie rozmawiamy już o pracy. Trochę to ryzykowne. Zresztą po co, skoro dzień w dzień robimy to samo? Telefonujemy do klientów, omawiamy szczegóły, uaktualniamy polisy - no cóż, żadne z nas nie pracuje w ONZ. Ale on, mój słodki Zapchaj, umie opowiadać o naszej nudnej pracy interesująco i przezabawnie. Żałuję, że nie rozmawiamy tak z Dave'em przy kolacji; może gdybyśmy rozmawiali, nie zaczęłabym nazywać go w myśli Nudziarzem.

Zapchaj zgarnia wysokie prowizje, bo jest wygadany i czarujący. I przez telefon, i na żywo. Zapomniałam już, jak bardzo.

- Ale ilekolwiek bym zarabiał, moja żona i tak natychmiast wszystko wydaje - mówi. Najeżam się i krztuszę winem. Nie odpowiada mi ta nieprzychylna uwaga o żonie. Nie chcę takich słyszeć - nie dzisiaj.

Muszę zmienić temat. Przychodzi mi do głowy seks. Jemu najwyraźniej też.

Wspominamy to, co nas kiedyś łączyło i odkrywamy nowe lądy. Zapchaj wyznaje, że fantazjuje o trójkącie, ale szybko zastrzega, że tylko z dwiema kobietami.

- Ty seksistowska świnko - mówię. I całkiem na serio pytam: - Poważnie?

- Cztery piersi, szeroki wybór otworów, obfitość ciała. Marzenie każdego faceta. - Muszę mieć głupią minę, bo uśmiecha się szeroko i dodaje: - Spokojnie, to tylko fantazja. Tak naprawdę to nie miałbym chyba odwagi, nawet gdyby...

- Żoneczka się zgodziła?

- Właśnie. Nawet gdyby dała mi swoje błogosławieństwo, pewnie bym stchórzył. Pod tym względem jestem trochę staromodny. Lubię, kiedy ta, z którą jestem, wie, że skupiam na niej całą uwagę.

Dziwne słowa, zważywszy na okoliczności. Czerwienię się i sięgam po wino. Podaje mi kieliszek i dotykamy się dłońmi. Przysięgam, że czuję, jak w majtkach wybucha mi sto fajerwerków. Całkiem nieźle, bo to małe stringi, które z trudem zakrywają świeżo wydepilowane rejony mojego ciała.

Ni z tego, ni z owego wypalam:

- Właśnie zrobiłam się tam na gładko.

- Coś ty.

- Zupełnie.

- Po co?

- Dla odmiany. Żeby poczuć się, bo ja wiem... schludniej. - Wydepilowałam się, bo uznałam, że obszar ten potrzebuje trochę uwagi, trochę czułości i miłości, ale nie potrafię mu tego wyznać.

- Bolało? - pyta.

- Jak jasna cholera - odpowiadam ze śmiechem.

On też się śmieje, podnosi kieliszek i wypija łyk wina.

- Zapewniam cię, że tego nie pożałujesz.

Chichoczę jak idiotka i odsuwam talerz. Nie mam apetytu, przynajmniej na jedzenie.

Wieczór mija w korowodzie jaskrawych obrazów i obezwładniająco intensywnych

zapachów. Kosztowna woda kolońska zabija zapach potu; zapach szkockiego łososa i holenderskiego sosu miesza się z metalicznym zapachem jednorazowych tacek. Nie wiem już, jaki czuję smak i zapach, nie wiem, czego dotykam, co widzę i słyszę. Istnieje tylko on. Jego obecność zniewala wszystkie zmysły i nie mogę - albo nie chcę - nad sobą zapanować. Tłum jest niesamowicie głośny, śmiech i euforia zderzają się z wybiórczą żądzą i powszechnym wyczekiwaniem. Spakowana walizka w tajemniczy sposób doprowadziła do tego, że wielu, bardzo wielu z nas straciło poczucie przyzwoitości i własnego „ja”. Zdaje się, że wszyscy, których widzę, pozbyli się zahamowań. Kontynuujemy wymianę fantazji. Wmawiam sobie, że to tylko rozmowa, więc co mi szkodzi powiedzieć, o czym tak naprawdę myślę? Z Dave'em rozmawiam tylko o rzeczach takich jak zmiana dostawcy prądu czy wymiana płytek w łazience. Tymczasem z nim jestem zupełnie inną kobietą.

- Chciałabym zrobić to na dworze. - Chichoczę w kieliszek szampana (którego mi postawił - to bardzo kosztowny kaprys i jego rozrzutność sprawia, że bąbelki smakuja dwa razy lepiej).

- Jestem pewien, że da się to załatwić - mówi i puszcza do mnie oko.

Głośno wciągam powietrze, udając, że jestem oburzona. Bo powinnam być oburzona. Jestem mężatką. Mężatce nie przystoi. Powtarzam to sobie, lecz bez przekonania. Fala podniecenia, która zalewa moje ciało, mówi, że mężatka czy nie, powinnam się zachowywać właśnie tak. Od miesiący nie byłam tak ożywiona, od miesiący nie czułam się tak wspaniale.

- Chciałbym to zrobić u mamy - mówi Zapchaj.
 - Co takiego? - Tym naprawdę mnie zaskakuje.
 - Wymknąć się z jadalnego między jagnięcą pieczenią i szarlotką: to takie zbereżne. Przeprosić gości, wyjść i zrobić to pod ścianą w pakamerze.
 - Zbereżne i dziwaczne - mówię niepewnie.
 - Ale jakie ryzykowne! Przyparłbym cię do ściany i z półek pospadałyby wszystkie te pachnące mydełka. Zgorszylibyśmy wszystkie ozdóbki, rybki, syrenki i całą resztę. Czy to nie podniecające?
- Parskam śmiechem, bo nareszcie mam w ręku dowód: chłopcy nigdy nie dorastają. Cieszy mnie myśl, że seks może znowu być czymś radosnym. Seks z Dave'em jest dla mnie ostatnio tym, czym pranie czy porządkowanie szuflady ze skarpetkami: zwykłym obowiązkiem. Sączę szampana; przyjemnie łaskocze w gardle. Świeżość i wy-trawność milionów bąbelków, tańczących podniecająco na dziąsłach, prowokuje mnie do kolejnego wyznania:
- Chciałabym, żebyś mnie... związał.
 - Mógłbym wtedy posmarować cię kremem.
 - Nie, polać szampanem.
 - I do sucha cię wylizać. - Na chwilę milkniemy, żeby to przetrwać. - Chciałbym dołączyć do klubu Mile-High.
 - A ja kochać się we wszystkich pokojach mojego domu.
 - Chciałbym zobaczyć cię w malutkich majteczkach, w pasie do pończoch i w podwiązkach.

- Boję się, że dzisiaj nic z tego.

Chwyta mnie za rękę. Omal nie wyrywa jej ze stawu i szybko wychodzimy z jadalni.

- Tutaj. - Wskazuje salę, gdzie delegaci mają przyjść na kawę po kolacji. Kiedy wychodziliśmy, podawano deser. Zaraz ktoś tu zajrzy, to pewne jak dwa razy dwa jest cztery. I bardzo ryzykowne: może lepiej w pokoju? Zapchaj czyta w moich myślach.

- Tutaj - powtarza. Najwyraźniej lubi ryzyko.

Równiutkie rzędy filiżanek, dwa wielkie termosy z wrzątkiem i tace pełne miętowych czekoladek - ale dobrze wiem, że nie chodzi mu o kofeinę. Rozgląda się szybko, przygważdża mnie do ściany i zaczyna całować. Całuje gorączkowo, pospiesznie i oszałamiająco. Podnosi moje ręce, przygniata je nad głowę do ściany i nie przestając całować, napiera na mnie całym ciałem. Nie musi mnie przytrzymywać, bo wrosłam w tynk. Jego pocałunki są mocne, mroczne i obezwładniające. Czuję się tak, jakby nikt mnie nigdy nie całował. Albo jakby były to tylko niezbyt udane próby. Podwija top, ociera się o moją nogę sztywnym, twardym penisem. Całuje mnie w zwykłe miejsca, w brzuch, pępek, piersi, szyję, głowę i włosy. Ale nie zanedbuje również miejsc mniej pospolitych, powiek, rzęs i nosa. Oddaję pocałunki, liżę, ssę i pochłaniam. Zapchaj zadziera mi spódnicę, tańczy na mnie chłodnymi palcami. Spływam podnieceniem, zanim je we mnie wkłada. Zimne jak lód palce w rozgrzanym do białości ciele - momentalnie dochodzę na jego dłoni. Cudowne uwolnienie, boska

ulga - wstrząsają mną dreszcze. Jedną ręką wciąż mnie pieści, drugą rozpina rozporek i niemal natychmiast we mnie wchodzi. Patrzą w jego błyszczące oczy, on patrzy w moje. Ani na sekundę nie odwraca wzroku. Jest niewiarygodnie. Jest tak, jak być powinno. Jest dobrze.

A on wznosi się na wyżyny, on zapełnia mnie i wypełnia. On mnie dopełnia. Szybko kończy. Ale ja już wiem, że to dopiero początek.

- Jeszcze - sapię. Kiwa głową.

- Nie tutaj. Na dworze. - Wygładzam spódnice, ale to na nic, bo jestem pewna, że nad głową świeci mi neon z napisem: „Zapchaj właśnie mi zapchał”. Podbródek mam cały w szmince, włosy, przed chwilą ładnie uczesane, są zmierzwiłone i potargane. Modlę się, żeby nikt nas nie zobaczył.

- Chodzi. - Ciągnie mnie za sobą; to cudowne, że jest taki władczy. Bo Dave jest w najlepszym razie uległy - zawsze, ale to zawsze pozwala sobą kierować, czy to w sprawach takich jak wybór miejsca na weekendowy wyjazd, czy w inicjowaniu spraw łóżkowych - a w najgorszym leniwy i apatyczny. A to mnie nie pociąga, ani uległość, ani lenistwo. Zapchaj chwytając mnie za rękę i nie zważając na ciekawskie spojrzenia ludzi, ciągnie przez recepcję; jego zdecydowanie i pewność siebie podniecają mnie jeszcze bardziej.

- Tam.

Wskazuje kamienistą plażę. Jest ciemno choć oko wykol. Mam nadzieję, że noc ocali moją skromność, bo czuję, że on o tym nie myśli. Najwyraźniej chce zrealizować moją fantazję, a ja, do zawrotu głowy upojona radosnym podnieceniem, niczego bardziej nie pragnę. Zaszło mi w gardle, mam spocone ręce. Jestem zdenerwowana i zachwycona zarazem. Padamy na ziemię i natychmiast zaczynamy zdzierać z siebie ubranie. Zapchaj ściąga mi przez głowę top i odrzuca na bok. Mam gdzieś, że nie da się go uprać w pralce i że za ten ekstrawagancki gest będę musiała zapłacić w pralni chemicznej. Jestem naga od pępka w górę, mam zadartą do bioder spódnicę. Zapchaj zdejmuję marynarkę i koszulę, wyciąga ze spodni nogę. Robię sobie przyjemność i powoli sunę wzrokiem po jego ciele: szerokie bary, lekko zaokrąglony brzusek - dowód jego namiętności - wreszcie nogi, silne i owłosione. Leżę twarzą do niego. Po tym niespiesznym przeglądzie wracam oczami do jego oczu i widzę, że patrzy na mnie tak, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. Bezwstydnie, z nieukrywanym zachwytem czekam, aż spojrzy na moje usta, piersi i łono. I nagle zaczyna mnie tam całować. Powoli, całuje, liże i skubie wargami tak powoli, że jęczę z rozkoszy. Ostrożnie się kładę. Twarde kamyki wbijają mi się w nagie, niemal zupełnie odsłonięte ciało. Wiem, że na plecach i pośladkach będę miała wiele mówiące sińce, ale dopiero jutro, bo teraz jestem tak pochłonięta tym, co mi robi, że prawie nie czuję bólu, że nic poza tym mnie nie obchodzi. Najwyraźniej jednak obchodzi jego, bo przesuwając mnie na nasze wilgotne, zmięte ubrania.

Czuję zapach morza, zapach, który pobudza mnie jak narkotyk. Kawałek po kawałku, skrawek po skrawku jego język bada moje ciało. I kiedy myślę już, że zaraz nie wytrzymam, że eksploduję, jeśli wreszcie nie przestanie, nagle we mnie wchodzi. Wbija się, wsadza, dźga, zapycha, popycha i napiera, aż krzyczę z bólu i rozkoszy. Jestem w ekstazie, ale nie chcę wyjść na samolubną. Ani leniwą. Raz już dzisiaj doszedł i nie jestem pewna, jak szybko się regeneruje, mimo to muszę dać mu szansę. Popycham go na plecy i klękam. Czuję się przy nim taka seksowna - czuję się przy nim jak wybitna ekspertka. Głośno jęczy, wije się pode mną i miota. Chwytam go za członek i zaczynam nim poruszać, w górę i w dół, płynnie i szybko, coraz szybciej. Wreszcie Zapchaj krzyczy. Wyje tak głośno i przeraźliwie, że jestem pewna, iż w naszej tajnej kryjówce zjawia się zaraz bardziej konwencjonalni kochankowie, ci, którzy spacerują po molo.

- Ciii... - Śmieję się i zasłaniam topem piersi na wypadek, gdyby ktoś nas tu znalazł.

Zapchaj przyciąga mnie do siebie i mówi:

- Przytul mnie.

Włosy kleją mi się do karku. Piersi mam mokre od jego pocałunków, brzuch i uda od jego miłości. Tulimy się do siebie, aż uspokaja nam się oddech, aż zaczynamy oddychać równo i razem. Jego ręce pachną spermą, pachnę spermą i ja. Mimo to czuję się czysta i oczyszczona. Z jego zarumienionej twarzy bije radosna, wprost nieprzytomna pewność siebie. Mam nadzieję, że z mojej też.

- Mikrusie - mówi. - Jestem najszczęśliwszym facetem pod słońcem.

- Możesz mi znowu mówić Jane - odpowiadam i radośnie wzdycham.

- Kocham cię, Jane. Kurwa, jak ja cię kocham! Jesteś kobietą doskonałą. „Udawajmy, że właśnie się poznaliśmy”: ile żon miałoby odwagę przyznać, że zaczyna być nudno i przewidywalnie i zaproponować taki numer? - Ze szczerym szacunkiem kręci głową.
- Niewiele, Dave, niewiele. - Uśmiecham się do siebie. -Nie ma to jak smaczek prawdziwego romansu.

- Bez nieprzyjemnych konsekwencji.

Słyszemy czyjeś głosy, chyba jakichś chłopców, są coraz bliżej. Wątpię, żeby przyszli nas podglądać. Pewnie szukają miejsca, żeby wypić piwo i zapalić, mimo to nie chcę wnosić wkładu do ich nastoletniej edukacji. Wstajemy i szybko się ubieramy.

- Muszę oddać top do pralni - mówię. - Podrzucisz go po drodze? Odbiorę. Twoją marynarkę też przydałoby się uprać.

Dave wybucha śmiechem.

- Alarm bojowy: zarządzam natychmiastowy odwrót!

- Przynajmniej do czasu, aż zabierzesz mnie gdzieś na urlop, koniecznie samolotem. Klub Mile-High czeka.

- Słusznie. W takim razie, jadąc do pralni, wpadnę do agencji turystycznej - mówi Dave i całuje mnie tak powoli, długo i namiętnie, że czuję to na południe od podbrzusza.

CASSIUS PRIORY

Próba

Charlie szlochała. Grzebiąc w torbie swego chłopaka, na spodzie koperty znalazła wiersz - miłosny - a właściwie kilka jego zrodzonych w bólu wersji.

- Rob się w kimś zakochał. - Ścisnęła Neli za rękę. - Sam się przyznał. Powiedział, że chodziło to za nim już od jakiegoś czasu.

Neli nigdy nie miała chłopaka poety. Czy Rob często pisał wiersze? Dla niej, dla Charlie? Nie, w tych okolicznościach pytania te zabrzmiałyby zbyt okrutnie.

- Biedactwo - powiedziała. - A to sukinsyn! Jak on mógł? - Objęła przyjaciółkę, czując dotyk mięciutkiej jak puch skóry, tak delikatnej na jej skórze.

Charlie była najładniejszą dziewczyną na roku. W szkole aktorskiej było dużo dziewczyn, w tym kilka bardziej rzucających się w oczy i pod każdym względem doskonałych - na przykład prerafaelicka Szwedka o porcelanowej cerze albo Francuzka o wydatnych ustach w ciup - ale Charlie była po prostu śliczna. Wysoka i szczupła, miała

gładką, jasną cerę i kasztanowe włosy, mięciutkie jak włosy dziecka. Ubierała się byle jak, w różne odcienie szarego i popielatego, kolory, o których Neli nawet by nie pomyślała, mimo to wyglądała cudownie, jakby cały sekret, prawdziwy sekret jej urody tkwił w niej samej.

- I co teraz? - spytała Neli, kiedy Charlie wytarła łzy. - Co z mieszkaniem? Jedno z was...?

- On się wyprowadza. W weekend ma przyjechać po rzeczy. - Charlie miała czerwony nos i podpuchnięte oczy, które znowu wezbrały łzami. - Będę mieszkała sama.

Neli odwróciła wzrok. Płacząc, brzydła nawet Charlie, nawet ta piękna na zabój Charlie - sprawiło jej to nieoczekiwaną przyjemność. Kiedy płakała ona, puchła jej cała twarz, szyja pokrywała się plamami, a uszy robiły się czerwone, i dałaby wtedy wszystko, żeby zapaść się pod ziemię. Chyba że grała i sztuczne łzy, lżejsze od tych prawdziwych, jedna po drugiej spływały jej po policzkach. Chociaż nie zawsze tak chciała.

- Jesteś dziewczką od krów! - wydarł się na nią reżyser podczas próby przedstawienia na koniec pierwszego roku. - A nie damą! Weź chustkę i wysmarkaj się porządnie! -

Zaczerwieniła się wtedy aż po obszyty białą koronką obfity dekolt.

W tłumie piękności czuła się mała i pulchna jak kucyk. Miała piegi, ciemne, proste włosy i jak dotąd, po trzech semestrach studiów, grała tylko dziwki, dziewczki i służące, a raz, kiedy się na to poskarżyła, dostała rolę podstarzałej matki.

- Neli? - Charlie wzięła ją za rękę. - Posłuchaj, mam pomysł. Może się do mnie przeprowadzisz?

-Ja?

- Tak cię proszę! Będzie fajnie! Mogłabyś już w niedzielę, kiedy Rob zabierze rzeczy. Albo przedtem. Kiedy tylko chcesz. Miałabyś dla siebie cały pokój, ten gościnny. Neli zagryzła wargę. Musiałyby wypowiedzieć mieszkanie. Ale to betka, no i nie musiałyby już znosić nocnych pogaduszek z właścicielem domu, który w rozpiętym szlafroku pojawiał się pod drzwiami łazienki, kiedy wracała późno do domu.

- OK - odparła. - Dobrze. Za dwa tygodnie.

- Dzięki. - Charlie wytarła łzy. Jej policzki powoli przybrały normalny kolor: wystarczył jeden uśmiech i znowu była piękna.

Charlie mieszkała na najwyższym piętrze domu w Wil-lesden. Z zewnątrz dom wyglądał całkiem zwyczajnie - nie licząc ram okiennych, z których obłaziła farba, i zabitego deskami okna w drzwiach - dlatego pełną skalę zaniedbania dostrzegało się dopiero w środku. Wilgoć, zgnilizna i ostry zapach butwiejącego drewna - Charlie nie zwracała na to uwagi. Kopniakiem zamknęła drzwi, wbiegła na schody i minawszy po drodze kilka pustych, bo opuszczonych mieszkań, weszła do swojego, gdzie cicho grało radio, gdzie stała dobita sofa przykryta kremową kapą i parę niskich stoliczków, zastawionych brudnymi kubkami i zawalonych zdjęciami, spośród których wyrastały bukiety zasuszonych kwiatów. Ale można tam było znaleźć i coś

ładnego, butelkę z niebieskiego szkła czy złoty posążek jakiegoś bóstwa.

Neli była u niej kilka razy, choćby wtedy, kiedy po zajęciach powtarzały razem tekst. Był środek zimy, więc owinęła się białą narzutą i usiadła przy gazowym kominku, w wygodnym piankowym fotelu, podczas gdy Charlie, w męskiej kamizelce i bojówkach, z podkurczonymi nogami usiadła bosy na sofie, demonstrując białe, gładkie ramiona i wydatny mostek. Neli nigdy dotąd nie była w pokoju gościnnym - widziała tylko ten, w którym Charlie mieszkała z Robem. Stało tam wiecznie rozbebeszone niskie łóżko, w oknach wisiały stare koronkowe firanki, a na gwoździach sukienki z ciucholandu i bury płaszcz przeciwdeszczowy. Ale tego dnia Charlie zaprowadziła ją do małego pokoju na poddaszu. Miał okno z widokiem na ogród i gazowy kominek wbudowany w pękniętą ścianę komina. Stało tam łóżko i szafa, a pod warstwą kremowo-białej farby widać było wybrzuszoną tapetę.

Neli rzuciła torbę i usiadła na brzegu łóżka. Charlie ukucnęła, trzasnęła zapalką i pod kominkiem zamigotał wąty płomyczek.

- To bezpieczne? - spytała Nelly, przypominając sobie mgliście słowa matki, która ostrzegała ją przed takimi kominkami. Ale Charlie podmuchała na ogień i odparła, że wiele razy spała tu po awanturach z Robem i że nigdy nie gasiła ognia na noc.

- Sukinsyn. Co za sukinsyn. - Położyła się na łóżku. - Dzięki Bogu, że sobie poszedł. Nie uwierzysz, co to za palant. Wiesz, jaki był próżny? Miał obsesję na punkcie swoich uszu. Mówił, że za bardzo odstają. Zawsze przyciskał je do głowy i pytał, czy tak jest lepiej.

Neli wyobraziła to sobie i parsknęła śmiechem. Rozmawiała z nim trzy czy cztery razy, a on nigdy jej nie pamiętał. Należał do facetów, którzy zauważają tylko te ładne. Te nadające się do zaliczenia - tak by pewnie powiedział.

- Fakt - przytaknęła mściwie. - Rzeczywiście mu od-stawały. Nie myślał o zabiegu? Zaproponuj, że sama mu je poprawisz. - Leżały na łóżku ze splecionymi palcami i śmiały się do sufitu. - I co teraz? - spytała po chwili Nelly. - Jesteś wolna i swobodna. Minęły dwa tygodnie. Masz kogoś na oku?

Charlie westchnęła i przysunęła się bliżej. Ogień już płonął - na jej twarzy zatańczyły cienie i nagle się rozpląkała. Zmarszczyła twarz, ucisnęła pięściami powieki, żeby powstrzymać łzy i syknęła:

- Skurwiel. Jak on mógł? Myślałam, że mnie... - Słowo „kocha” utknęło jej w gardle i gniewnie wytarła oczy, podczas gdy Neli patrzyła na nią i myślała: gdybym była mężczyzną, nigdy bym jej nie zostawiła. Czy cokolwiek ma sens, skoro facet zostawia tak piękną dziewczynę?

- To idiota - powiedziała łagodnie. - Jeszcze tego pożałuje. - I pod wpływem nagłego impulsu objęła przyjaciółkę i pocałowała ją w policzek. Charlie pociągnęła nosem i przysunęła się jeszcze bliżej. Wtuliła mokrą twarz w zagłębienie jej ramienia, wcisnęła ramię między piersi i płytko oddychając, leżały tak, aż w pokoju zrobiło się ciemno.

W końcu wstały i poszły do kuchni, gdzie Charlie bez słowa nastawiła wodę.

- Pomóc ci? - Neli rozejrzała się wokoło.

- Nie, nie. - Charlie kroїła cebulę. - To twoja powitalna kolacja. Idź, usiądź sobie.

Neli poszła do saloniku i usiadła, słuchając radia, z którego płynęły rzewne, kojące melodie przeplatane niewyraźną gadaniną, zbyt cichą, żeby cokolwiek zrozumieć. Tu też sennie syczał kominek, więc siedziała w miękkim piankowym fotelu i po prostu czekała.

Wreszcie weszła Charlie z dwoma talerzami ryżu. Usmażyła go z boczkiem, zieloną papryką i kilkoma listkami pietruszki. Postawiła talerze na podłodze i przyniosła z kuchni butelkę białego wina i dwa kieliszki, które napełniła po sam brzeg.

- Wypijmy - powiedziała. - Za wolność. Ryż był ohydny, tłusty i niedogotowany.

- Przepraszam. - Charlie skrzywiła się z niesmakiem. - Nie jedz tego. - Odsunęła talerz najdalej jak mogła i wypła duży łyk wina, żeby zabić smak.

Z grzeczności - i dlatego, że umierała z głodu - Neli zjadła jeszcze trochę, po czym odsunęła swój talerz.

- Wiesz, kto mi się od nas podoba?

Charlie zapaliła papierosa. Neli też, a potem usiadła w fotelu z podkulonymi nogami. W nowym mieszkaniu było zdecydowanie przyjemniej niż w starym, gdzie po powrocie z zajęć nie miała z kim porozmawiać, nie licząc ponurego właściciela i jego krostowatego syna.

- Kto? — spytała, wyobrażając sobie studentów ich roku siedzących w półkołu.

- Gdybym miała wybierać, tak wiesz, żeby zaszaleć... Gdybym już musiała, to chyba wybrałabym Dana.

- Dana? - Neli ścisnęło w brzuchu. - Żartujesz! - Jej twarz zalała fala gorąca. - Przecież wiesz, co do niego czuję. Kocham się w nim od początku studiów!

- O Chryste! - Charlie zasłoniła sobie usta. - Zapomniałam. Przepraszam. W ogóle tego nie powiedziałam, dobrze? - Błagalnie zmrużyła oczy i na wszelki wypadek dołała im wina.

- Zresztą on chodzi z Beth - mruknęła ponuro Neli, wiedząc, że Charlie mogłaby poderwać Dana jednym szybkim spojrzeniem. - Boże, dlaczego nie ma u nas ani jednego porządnego chłopaka?

Wciąż ścisnęło ją trochę w brzuchu, ale krew odpłynęła już z twarzy i było jej teraz zimno. Objęła kolana i spojrzała w ogień.

Charlie wyciągnęła się na sofie.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam - powiedziała. - Ostatnio za dużo myślę o sobie. - Neli milczała. - Hej, a może go uwiedziemy, co? Opracujemy plan i uwiedziemy. To znaczy, dla ciebie.

Neli zmarszczyła brwi.

- Ale jak? Przecież on jest z Beth. Zawsze są razem.

- Hmm... Zaczekaj, zrobię sobie kąpiel. W wodzie lepiej mi się myśli. Chodź.

Łazienka była w korytarzu, obok kuchni i kiedy wypeł-

nil ją truskawkowy zapach bąbelków, Charlie zdjęła kamizelkę. Była bez stanika i miała małe, białe piersi z różowymi sutkami, które zaczynały powoli twardnieć z zimna. Majtek też nie miała. Ściągnęła spodnie, odsunęła je nogą na bok i Neli zobaczyła jej włosy łonowe, tak rzadkie i delikatne, że prawie niczego nie zakrywały.

- Aj, aj, aj! - wykrzyknęła wesoło Charlie, wchodząc do wody. - Gorąca. - Już wkrótce na jej twarzy i piersi spłynął rumieniec i włosy zaczęły pięknie kontrastować ze skórą. Neli przysiadła na brzegu wanny i zaczęła bawić się pianą. Charlie zamknęła oczy i położyła się wygodnie.

- Hmm... - Po chwili zobaczyła, że Neli na nią patrzy. - Właż! Jest cudownie. - I odsunęła nogi, żeby pokazać, ile jest miejsca.

Neli odwróciła się, żeby się rozebrać. Była w rajstopach, dżinsowej spódnicy, botkach, w kilku kamizelkach i podkoszulkach. Walczyła z nimi w ciasnej łazience o zaparowanej podłodze i ścianach, wreszcie zdjęła wszystko i stanęła nago z przykrą świadomością, że między nogami ma trójkąt gęstych, ciemnych włosów, grube uda i ciężkie, bo uwolnione ze stanika piersi. Chociaż była prawie trzynaście centymetrów niższa od przyjaciółki, zdawało się, że jest jej znacznie więcej. Charlie podkurczyła nogi i Neli weszła do wody. Gorąco, słodki zapach truskawek, śliski dotyk jej uda - było przyjemnie. Z uśmiechem oparła się o ścianę między kranami.

- Dobra - powiedziała Charlie. - W takim razie jak zaciągniemy go do twego łóżka?

Neli nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia jak. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że to od niej zależy. Zawsze uważała, że o wszystkim zdecyduje los.

- Może by tak - myślała na głos Charlie - zaprosić go do nas na próbę. Po zajęciach. Potem pójdziemy do pubu, wrócimy na kolację, otworzę wino, a ty oprowadzisz go po mieszkaniu i kiedy znajdziecie się w twoim pokoju... bach! przyatakujesz. Zaczekaj. - Wyszła z wanny. Jej błyszczące od wody ciało było pokryte kłaczkami piany. - Zaraz wracam.

Z pokoju popłynęła głośna muzyka i Charlie rzeczywiście wróciła - z nową butelką wina. Weszła do wody. - I co na to powiesz? Neli wypła łyżeczek zimnego wina.

- Dobra - odparła z uśmiechem i chociaż kręciło jej się w głowie, podniosła kieliszek jak do toastu i wypła do dna.

- Wiesz co? - Charlie uśmiechała się do niej. - Masz cudowne ciało.

- Przestań! - zaprotestowała z niedowierzaniem, podekscytowana. Ale nie odwzajemniła komplementu, bo nie mogłaby zrobić tego, nie czerwieniąc się jak nastolatka, nie mogłaby patrzeć, jak Charlie nabiera na rękę piany i wciera ją pod pachy, w szyję i różowe sutki. Dan miał słodki, błazeński uśmiech i ciemne, rozczochrane włosy. W tym właśnie tkwił jego urok, w tym oraz w tym, że nie miał na roku prawie żadnej konkurencji, bo pozostali chłopcy albo byli gejami, albo mieli świra na

punkcie joggingu, albo niskim, donośnym głosem recytowali sonety Szekspira. Większość dziewczyn miała chłopaków z roku wyżej, niesprawiedliwie zdominowanego przez heteroseksualistów, możliwe nawet, że utalentowanych, albo - tak jak Charlie - szukała ich poza murami szkoły. Ale ona od pierwszego dnia pierwszego semestru kochała się w Danie. Czekala, uśmiechając się do niego od czasu do czasu, ocierając się o niego w kolejce po lunch, aż pewnego popołudnia stwierdziła, że czekała za długo, bo oto proszę, na przystanku stała z nim Beth, oto Beth trzymała go za rękę i była w jego szaliku. To prawda, czasem ze sobą zrywali, ale już po kilku dniach dochodziło do burzliwego pojednania i znowu spóźniali się na zajęcia, zmieszani i potargani.

- Dan. - Złapała go na korytarzu.

- Cześć. - Uśmiechnął się łagodnym, szerokim uśmiechem i przestąpił z nogi na nogę. Był w biodrówkach i kiedy ziewnął, a ziewał często, zobaczyła kawałek jego płaskiego, gładkiego brzucha.

Mówiła szybko, bo czuła, że może stchórzyć. Powiedziała, że ćwiczy z Charlie kilka scen z - tu się zawahała - męskimi wstawkami i zaproponowała wtorek. Przyszły wtorek. Po zajęciach.

Dan wzruszył ramionami.

- Dobra.

- Potem ma to nakręcić znajomy Charlie - dodała Neli, żeby zabrzmiało to jeszcze bardziej kusząco.

Dan kiwnął głową, jakby było mu wszystko jedno.

- No to na razie - powiedział i począł dalej.

- Udało się! - syknęła do Charlie przy drążku na zajęciach z baletu, ryzykując, że dostrzeże ją sokoło oko wrednej Olinki, nauczycielki tańca, która raz dźgnęła ją kijem, głośno krzyząc, żeby wciągnęła brzuch. Do tej pory czerwieniła się na to wspomnienie: miała ochotę zbić ją tym samym kijem, a potem wrzasnąć jej do ucha: „Chcę być aktorką, a nie pieprzoną baletnicą!”. Oczywiście nie krzyknęła, tylko, upokorzona, stanęła prosto, bojąc się chwili, kiedy w podskokach z obrotem będą musiały przetańczyć po skosie przez całą salę.

W poniedziałek wieczorem znowu leżały razem w wannie. Charlie rozstawiła w łazience waniliowe świece, a ona dodała do wody dwa razy więcej olejku.

- Co będziemy próbować? - wymamrotała. - Musimy mieć chyba jakiś tekst albo coś.

Charlie zanurzyła się i wynurzyła śliska jak foka.

- Zawsze możemy wziąć kilka stron z... - Zawahała się. - Spoko, coś znajdę. - Wtarła szampon we włosy, zgięła nogi i znowu się zanurzyła, mocno napierając udami na ramiona przyjaciółki. Na jej włosach łonowych zaroilo się od malutkich bąbelków i Neli pomyślała, że gdyby przesunęła rękę - tylko troszkę, kilka centymetrów - mogłaby dotknąć ją między nogami. Pomyślała o tym i wstrząsnął nią tak silny dreszcz, że aż sapnęła. Dreszcz był tak rozkoszny, że niemal bolesny i wbił się w nią jak nóż.

- Przepraszam. - Charlie wynurzyła się i roześmiała, a ona szybko dała nura pod wodę, żeby przyjaciółka nie

zauważyła rumieńców na jej twarzy. Przyłgnęła plecami do dna wanny, ale za nic nie mogła zanurzyć piersi, które pozostały na powierzchni z twardniejącymi sutkami. Poczuć, jak Charlie muska je dłonią, pomyślała, jak bierze je do ust... Ale wychynęła spod wody, jakby nigdy nic i zaczęła energicznie myć łokcie flanelową myjką.

- Dobra. - Charlie już wstawiała, już wychodziła z wanny. Owinęła głowę ręcznikiem i wyszła z łazienki. Neli oklapła jak pęknięty balon. Umyła się pod pachami i między nogami, wprawnie i bez entuzjazmu. Miały to zrobić już nazajutrz i zaczynała się bać. Bać się tego idiotycznego „ataku”.

Stały na schodach college'u, udając, że nie patrzą, jak Dan żegna się z Beth. Beth tuliła się do niego, a on szeptał jej coś do ucha - stanowczo za długo, pomyślała Neli. Odwróciła się i przewróciła oczami, żałując, że nie przychodzi jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć dla zabicia czasu, ale wtedy Dan ruszył w ich stronę, biegiem, w podskokach, z torbą zwisającą niedbale z ramienia, w biodrówkach, których nigdy dotąd nie nosił tak nisko. W samą porę, bo zza rogu wyjechał autobus.

- Szybko! - zapiszczała Charlie i popędzili na przystanek wolni i rozkrzyczani.

Wbiegli na górę i usiedli z przodu, gdzie Charlie z okrutnym błyskiem w oku zaczęła naśladować grubą, rudą Samanthę, która chciała występować w wodewilach.

- „Jestem dziewczyną, która nie potrafi odmówić - zaśpiewała. - Która nie potrafi odmówić nikomu...”.

- To był koszmar. - Dan wybuchnął śmiechem. Wtedy Neli sparodiowała niezdarnego Kevina i jego interpretację *Somewhere Over the Rainbow*.

- Myślałam, że skonam! - Charlie chwyciła się za brzuch, po czym tkając się własnej wyższości, zaczęli analizować każdą minutę popołudniowych zajęć, każdą fałszywą nutkę i niezgrabny ruch - aż dojechali do ich skrzyżowania i krzycząc: „Wysiadamy!”, zbiegli na dół, by wyskoczyć z autobusu, gdy tylko zwolnił.

- Drinka? Czy od razu zaczynamy? - spytała Charlie i nie czekając na odpowiedź, weszła do pubu. Zaczęli od piwa, od kwarty dla niej i Dana i połówki dla Neli, która usiadła między nimi przy stole i wytłumaczyła im, co i jak: że kiedy będą gotowi, nakręci ich reżyser z college'u, nakręci i pokaże wszystkim najważniejszym decydentom, tak że będą sławni jeszcze przed ukończeniem studiów, cała ich trójka, Charlie, ona i Dan! Kiedy mówiła, Charlie znacząco dotykała ją ramieniem, a kiedy zaczęli pić, piwo za piwem, szkocką za szkocką, objęła ją i wsunęła rękę w jej włosy, jakby Neli była wyśnionym dziełem sztuki, a ona chciała je bardziej wyeksponować albo - pomyślała z nadzieją Neli - jakby dawała wszystkim do zrozumienia, że prawo do niej ma ona i tylko ona.

Dochodziła dziesiąta, kiedy wreszcie wytoczyli się z pubu.

- W którą stronę? - Dan trochę się chwiał, więc Charlie wzięła go pod rękę, a drugą ręką objęła w talii Neli.

- Czy ona nie jest cudowna? - szepnęła głośno. - Czy

ona nie jest wspaniała? - I kiedy Dan zaczął coś mówić, a raczej bełkotać, przyciągnęła ją do siebie i pocałowała w usta. Zaskoczona Neli poczuła dotyk jej delikatnych jak świt warg, poczuła w buzi jej język, twardy, wąski i gorący jak whisky. Całując ją coraz mocniej i głębiej, Charlie pociągnęła Dana w bok, żeby je zasłonił i włożyła jej rękę pod kurtkę, i zaczęła ugniatać pierś.

- O kurwa... - wymamrotał Dan.

Neli zakręciło się w głowie. Pragnęła, żeby Charlie dotknęła jej skóry, miała ochotę rozpiąć stanik i wepchnąć sutek do jej ust, ukłęknać na chodniku i przesunąć językiem po jej udzie, miała ochotę lizać, drażnić i pieścić jej doskonałą różową szparkę. Chciała poczuć, jak Charlie drży, poczuć na języku wilgoć jej orgazmu, ale ona zapanowała już nad sytuacją i poprowadziła ich do domu.

- O kurwa... - mruknął znowu Dan, kiedy zatrzasnęły się drzwi i kiedy zobaczył popękane schody i połamane poręcze. Śmierdziało gazem i zgnilizną, więc zatkał sobie nos i ruszył za nimi dziwnie blady. Na półpiętrze wziął Neli za rękę, ale jej już przeszło i miała wrażenie, że dotyka czegoś lepkiego i obcego.

- Chłopcy i dziewczęta - zawołała wesoło Charlie. - Wino czy piwo? - Wyszła z kuchni z jednym i drugim i poprowadziła ich do saloniku.

W korytarzu zamajaczył mroczny cień.

- Hej. - Głos jakiegoś mężczyzny, niski i rozbawiony. - Która to godzina?

- Rob! - Charlie stanęła jak wryta i stała tak, dopóki

Rob nie wziął jej za rękę i nie pociągnął do sypialni. Trzasnęły drzwi i Neli została sam na sam z Danem.

- Mieszkam na górze. - Nie jadła kolacji i kiedy weszła na schody, zrobiło jej się zimno i niedobrze.

Dan usiadł na łóżku, a ona spróbowała zapalić gaz pod kominkiem, tak jak Charlie dmuchając na ogień, który ciągle syczał i gasł.

- To bezpieczne? - spytał Dan. - Z gazem trzeba ostrożnie. - Spiorunowała go wzrokiem i zrezygnowała. Stojąc tyłem do siebie, rozebrali się na tyle, na ile mieli odwagę, potem się położyli i w końcu Dan spytał: - Obrazisz się, jeśli tego nie zrobimy? Wiesz, chodzi o Beth...

- Nie, coś ty. Przepraszam. - Odwrócili się do siebie plecami, próbując nie słuchać dochodzących z dołu jęków i stęków Roba i Charlie.

Gdy nazajutrz rano wychodziła z Danem na zajęcia, drzwi do pokoju Charlie były zamknięte, a kiedy wróciła do domu - wciąż na potężnym kacu, po całym dniu oskarżycielskich spojrzeń Beth i jej przyjaciółek - Charlie siedziała na sofie, paląc papierosa.

- Dasz wiarę? - Rzuciła jej paczkę. - Wrócił. I to na dobre! Mam nadzieję, że się nie obrazisz. Oczywiście możesz zostać do końca tygodnia, ale potem będziesz musiała się wyprowadzić.

Neli wytrzeszczyła oczy. -Ale...

Charlie podpełzła do niej po dywanie.

- Rzucił ją. Czy to nie wspaniale? I przeprosił mnie

dodała z uśmiechem. - Przepraszał chyba z dziesięć razy. Boże, jak było wczoraj?

- Wczoraj?

- Z Danem. Jak było? - Twarz Charlie płonęła z niecierpliwego wyczekiwania.

- Świetnie. - Neli wzięła się w garść. Nawet się uśmiechnęła. - Naprawdę świetnie.

- I co? - Charlie wyduła wargi. - Nie podziękujesz mi? Za to, że was ze sobą spiknęłam?

- Tak, oczywiście. Dzięki. - Neli szybko wstała, poszła do siebie i nie bardzo wiedząc, co robić, kopnęła kominek tak mocno, że rozsypał się na kawałki i została z niego tylko gazowa rura z dwoma pękami wygiętych w kabłąk drutów.

QUINCEY PARK

Pas de deux

Londyn 1861

Nie powinnam była się zgodzić, ale w takich okolicznościach trudno jest rozsądnie myśleć. Chodzi o to, że kabrioletem rzucało tak, jakby koń upił się razem z woźnicą i bałam się, że zrobię Esmondowi krzywdę - mama zawsze mi powtarzała, że mam ostre zęby - i utyliłam sobie pelerynę na podłodze. Dlatego powiedziałam: „Tak”, a raczej tylko kiwnęłam głową, bo było mi trochę ciasno i nie mogłam mówić, i parę dni później do drzwi mojej garderoby załomotał goniec z liścikiem.

Nikt nie zwrócił na to uwagi. Była środa, połowa stycznia, i wszyscy byli zmęczeni popołudniowym występem i tym, że jest dopiero środa. No i było gorąco, bo napadało tyle śniegu, że dach teatru wyglądał jak pierzyna, a my, baletnice, przez cały dzień harowałyśmy w gazowym świetle. Byłam już trochę spóźniona. Otworzyłam kopertę, wzięłam łyżeczkę i czytając, zaczęłam podgrzewać tusz nad gazem.

Kochana Pearl,

Mam nadzieję, że mieszkanie Ci się spodoba. Mieści się przy Gordon Square nr 15 i możesz urządzić je tak, jak zechcesz, jestem pewien, że Twoja mama nie zaprotestuje, kiedy zrozumie, że będzie Ci stamtąd o wiele bliżej do pracy. Dom prowadzi bardzo porządna dama, niejaka pani Munday, która będzie nam gotowała i sprzątała, jeśli sobie zażyczymy. Możesz wysłać tam swoje rzeczy, kiedy tylko zechcesz - pani Munday już czeka. Muszę wyjechać do Birmingham w interesach ojca, ale chciałbym wrócić przed sobotą i zawieźć Cię do nowego domu. Nie mogę się już doczekać, kiedy będę mógł wziąć w ramiona moją najdroższą dziewczynkę.

Twój kochający Esmond Straker

PS Jeśli mieszkanie nie przypadnie Ci do gustu, natychmiast mi o tym powiedz, a wynajmę inne.

Coś takiego! Nie spodziewałam się, że tak szybko mnie weźmie, polegając na słowie, którego w sumie nie wypowiedziałam. Upuściłam łyżeczkę i tusz zabryzgał cały stół. Gertie aż podskoczyła.

- Ty głupia krowo! Zobacz, co zrobiłaś!

- Przepraszam - powiedziałam.

Na szczęście byłam tylko w rajtuzach i czepeczku i nie ubrudziłam sobie stroju, bo musiałabym zapłacić karę. Ale Gertie wyglądała jak Indianin, bo zamiast malutkiej kropeczki w kąciku między powiekami, dzięki której oczy ładniej błyszczą, miała na policzku długi, tłusty pasek. Zachichotałam, ale wtedy ogłoszono, że za pięć minut wychodzimy i musiałyśmy się pospieszyć, żeby w porę zbiec na dół. Był początek sezonu -

Kopciuszek - i czekało nas mnóstwo pracy. Żadna z nas nie miała czasu na myślenie, bo najważniejsze było dopracowanie układów. Poza tym nie da się myśleć o czymś innym, kiedy się tańczy. Nawet jeśli chodzi tylko o kilka kroków, kiedy czyszczę ten wielki kocioł w komórce. Tańczyłam z moim braciszkiem John-niem, kiedy był mały, ale zrobił się za ciężki, chociaż jeszcze długo potem podnosił rączki i prosił, żebym go wzięła. Mama zawsze powtarzała:

- Nie frasuj się tak, Polly. Johnnie musi się nauczyć, że niektórych rzeczy nie będzie mógł robić, choćby tańczyć. Nie po febrze w nogach. - Bo widzicie, „Pearl” to moje imię sceniczne. Tak naprawdę to jestem Polly, od Margaret, ale Esmond lubi mnie tak nazywać. Na czym to ja skończyłam? Aha, na *Kopciuszku*. To był dobry angaż, ale Boże, jaka ja byłam obolała, i to ledwie po tygodniu. No i nie znałam dobrze pozostałych dziewczyn, dlatego żadna mnie nie ostrzegła, chociaż mogły. Mogła choćby Maisie, ale wzięła wolny dzień, bo musiała pojechać do Hammersmith, żeby pozbyć się pewnego kłopotu, no i potem źle się poczuła i nie było jej do końca tygodnia.

- Że też pozwoliła mu sobie wsadzić! - prychnęła Gert. -I to gdzie! W usta, w tyłek, ale tam? Głupia dziwka. - Gert też była głupia, plotkując za kulisami, bo usłyszał to pan Cartlon i wkrótce rzecz się rozniosła. Tego roku Cartlon

grał drugą brzydką siostrę, chociaż, tak jak mówił pan Leno, był do niczego - brakowało mu iskry - więc gdy dwa tygodnie później dostał wymówienie, Gert powiedziała, że dobrze mu tak, że to kara za podsłuchiwanie.

Ale wracając do Esmonda. Bo to jest tak: kiedy dżentelmen zauważy cię z parteru i wyśle liścik do garderoby, wszyscy wiedzą, co się święci. Oczywiście, zawsze znajdzie się jakaś niedoświadczona smarkula, która nic nie kojarzy i myśli, że to Miłość przez duże „M”. Ale jak się już to przeżyje, nauuczka jest na całe życie, i to cenna. Bo taki dżentelmen zaprasza cię na kolację i odwozi do domu elegancką dorożką, co jest miłą odmianą po letnich pasztecikach i podróży ostatnim dyliżansem do Stepney. W zamian musisz tylko umilić mu czas, oczywiście w miarę potrzeby. A ponieważ ty też to lubisz, a on dobrze się bawi na kolacji, wszyscy są zadowoleni. Nawet mama, bo kiedy zobaczy, że dżentelmen jest prawdziwym dżentelmenem, przestaje się zastanawiać, dlaczego wychodzisz z domu z samego rana, skoro występ masz dopiero o ósmej wieczorem. Jeśli jesteś sprytna, możesz nawet odłożyć trochę grosza na lata, kiedy zaczną sztywnieć ci kolana, a na twarzy pojawią się pierwsze zmarszczki i kiedy nie będzie już dla ciebie miejsca nawet w ostatnim rzędzie. Wszystkie wiemy, że to nas czeka.

Nie zrozumcie mnie źle: Esmond był naprawdę kochany. Niewiele starszy ode mnie, przystojny i wysoki, prawdziwy dżentelmen. Kiedy się uśmiechał, uśmiechał się szczerze, dlatego było to takie miłe. I kazało ci to być miłym i szczerym wobec niego. No i był hojny.

W sobotę po południu trochę nawaliliśmy, bo posypały się reflektory. Ekipa oświetleniowa uwijała się jak w ukropie, gazownicy też, i scena czarodziejskiej przemiany strasznie się opóźniła. Skutkiem tego opóźniła się cała reszta, i to tak bardzo, że przed wieczornym spektaklem dyrektor przysłał nam kanapki, bo nie zdążylibyśmy zjeść na mieście, no i siedzieliśmy w teatrze aż do jedenastej. A zanim się przebiorę, zawsze lubię się porządnie umyć, nawet jeśli muszę stać w kolejce do umywalki. Wraz z innymi dżentelmenami Esmond czekał pod drzwiami dla artystów, wśród polujących na autografy uczennic i widzów, którzy wciąż schodzili z balkonu. Na Drury Lane panował niemal tłok, bo pełno tam było wytwornych dam w wieczorowych strojach, ulicznic, gazeciarzy, kieszonkowców i dziewczynek z zapalkami.

Powiedziałam mu o tych światłach.

- Jedźmy prosto do domu - szepnął mi do ucha, a ja kiwnęłam głową. Byłam bardzo rozbudzona, jak to po występie, wszystko jedno, udanym czy nie. - To niedaleko, ale weźmiemy dorożkę. Poprosiłem panią Mundy, żeby zostawiła nam coś zimnego na kolację.

Ale dorożki nigdzie nie było, wiał za to wredny wiatr znad rzeki, taki, co to gwizdże pod mostem, podwiewa sukienkę i chwyta za gardło, żebyś nie wiem, jak bardzo opatulila się peleryną.

- Na Charing Cross na pewno będą - powiedział Esmond. - Nie jesteś zmęczona?

- Nie - zełgałam. - Przez ten śnieg musieli odwołać

przedpołudniowe przedstawienie. I miło jest pomyśleć, że nie muszę już tłuc się aż do Stepney.

- Właśnie, ja też tak pomyślałem - odparł, a ja dobrze wiedziałam, że pomyślał nie tylko o tym.

Na Strandzie było puściej. Rozmawialiśmy o spektaklu,

o nowym mieszkaniu i o tym, co robił po południu: grał w tenisa, a potem pojechał pociągiem do Harlow, żeby odwiedzić swego szkolnego nauczyciela, który był już stary i lubił, jak uczniowie go odwiedzali. Jeszcze potem wpadł do klubu, żeby pogadać z kolegami.

- Ale tak naprawdę to zabijałem tylko czas - dodał -czekając na ciebie.

Jedną rękę miałam w mufce z szynszyli, którą dał mi na gwiazdkę, a drugą ścisnął mi w swojej kieszeni. Miał cudowne ręce i tak cienkie rękawiczki, że czułam dotyk jego palców, długich, wąskich - i bardzo zwinnych. Na myśl o tych zwinnych palcach zrobiło mi się ciepłej. Jemu też, od samego patrzenia na mnie, dlatego nie przestając się uśmiechać, wysunęłam czubek języka - ale tylko tak troszkę, sam czubeczek - wysunęłam i musnęłam nim dolną wargę, jakbym chciała musnąć jego. Wtedy spojrzał na mnie tak, że ja też poczułam, jak budzą się we mnie żądze, ale w tym momencie nadjechała czterokółka i Esmond ją zatrzymał.

Kiedy tylko wsiedliśmy i ruszyliśmy, jak zwykle mnie objął, a ja wtuliłam twarz w ciepłutki, mięciutki kołnierz jego palta. Był tyle ode mnie większy, że w jego objęciach czułam się, jakbym tonęła, ale tak rozkosznie, stopniowo:

jego usta na moich ustach, ciepłe czarne sukno, bielutka koszula i ten męski zapach czystości, świeżości i wody toaletowej. Trochę niezdarnie rozpiął mi pelerynę, a ponieważ tak dobrze smakował - musiał przedtem pić whisky - zaczęłam badać językiem wnętrze jego ust, takich ciepłych i mokrych. Wsunął mi rękę pod żakiet, pod żakiet i muślinową bluzeczkę, aż dotknął palcami krawędzi gorsetu, który wciskał się w moje krągłe piersi. Głośno sapnął, tak przez nos, więc już wiedziałam, że się podniecił i chce czegoś więcej, i zastanawiałam się właśnie, czy nie pocałować go gdzie indziej, gdy nagle dorożka stanęła. Dom był bardzo szykowny; chociaż nikt nas nie widział, cieszyłam się, że zdążyłam zapiąć pelerynę i poprawić czepek. W holu była nawet lampa - Esmond powiedział, że pali się przez całą noc, dla wygody lokatorów - a na schodach leżał dywan. Było tak, jakbym próbowała wślizgnąć się do domu, nie budząc dzieci, ale nie, bo Esmond coś cicho mówił, zresztą czułam, że za tymi pięknymi, błyszczącymi drzwiami wszyscy już dawno śpią. A on tłumaczył mi, że pani Mundy mieszka w suterenie, że jest tu kobieta do sprzątania i że kiedy tylko zechcę, mogę zamówić coś do jedzenia. Gdy doszliśmy do drzwi mieszkania - „do naszych drzwi”, jak powiedział, ściskając mi rękę - gdy otworzył je i niezgrabnie wziął mnie ze śmiechem na rękę, ja też zaczęłam się śmiać, bo był taki słodki i niezdarny - zupełnie przeciwieństwo tancerza - ale bardzo, bardzo szczęśliwy, więc szczęśliwa byłam i ja. Przez salonik zaniósł mnie prosto do sypialni i posadził na łóżku w pelerynie, butach,

czepku i całej reszcie. Och, sypialnia była przepiękna: był tam mały kominek i wielkie mosiężne łóżko z największą, najbardziej puszysta pierzyną, jaką kiedykolwiek widziałam. Przewoźnik przywiózł z domu mój kufer, który stał teraz pod oknem gotowy do rozpakowania. Esmond zdjął palto.

- Przepraszam, kochanie. Musisz umierać z głodu.

- Nie. Jedliśmy w teatrze, już ci mówiłam. - Rozwiązałam wstążki, zdjęłam czeppek i rzuciłam go na krzesło. - Ale chętnie wypiłabym kieliszek wina.

Nachylił się i pocałował mnie, tak leciutko, ale kiedy skubnęłam go w dolną wargę, roześmiał się i z krótkiego pocałunku zrobił się bardzo długi. Wreszcie wyprostował się i poszedł do kuchni. Zapaliłam lampę gazową, zdjęłam pelerynę i rozwiązałam sznurowadła.

Zanim Esmond wrócił z winem, zdążyłam zdjąć prawie całą górę i spódnicę. Był w koszuli, bez kołnierzyka i krawata, i w skarpetkach. Podał mi kieliszek i pocałował mnie w usta; po smaku poznałam, że w kuchni już sobie łyknął.

- Za nas! - powiedział i trąciliśmy się kieliszkami. Pijąc, rozpięłam halkę i kiedy opadła na podłogę, stanęłam przed nim tylko w gorsecie, pończochach i moich najładniejszych dessous. Położyłam rękę na górnej krawędzi gorsetu i kiedy tylko rozpięłam kilka pierwszych haftek, wyskoczyły mi piersi.

Esmond znieruchomiał, ale tylko na chwilę. Bo zaraz potem ostrożnie wziął mój kieliszek, postawił na stole, odwrócił się i pchnął mnie na łóżko. Zapadłam się w pierzynę, w te wszystkie poduszki, i wybuchnęłam śmiechem. A on rzucił się na mnie, chwycił za kostkę u nogi i ciepłą ręką przesunął po udzie. Powiódł palcami po podwiązce -do tańca noszę

oczywiście pas, ale on uwielbiał widok i dotyk podwiązek, dlatego często je wkładałam. Sunął ręką coraz wyżej, coraz głębiej, aż podwinęły mi się koronki. Musnął brzeg pończochy, potem gładką skórę na udzie. Uwielbiam, kiedy mężczyzna to robi - przechodzi mnie wtedy gorący dreszcz i już wiem, że będzie przyjemnie. Usłyszał, jak wciągam powietrze i przywarł ustami do moich ust. Smakował winem, zaczynał pachnieć mężczyzną, więc wygięłam się jak kotka i przylgnęłam do niego całym ciałem. Znieruchomiał i drżącą ręką sięgnął w dół, żeby się rozpiąć. Pomogłam mu, pomacałam i kiedy prosto na moje ręce z kalesonów wypadł wielki, twardy kogut, wiedziałam już, że nie powstrzymam go, nawet gdybym chciała. Nie próbował się nawet rozebrać, tylko rozchylił mi nogi i wszedł we mnie tak szybko, że aż krzyknęłam. Ale chociaż nie byłam jeszcze gotowa, czułam się cudownie, bo tak głęboko się we mnie wciskał, tak mocno mnie dźgał, bo tak przyjemnie drapały mnie między nogami jego szorstkie spodnie, tak rozkosznie drapał mnie w podbródek swoim delikatnym zarostem. Wypięłam biodra, ale to nie wystarczyło - nie wystarczyło i to, że zgięłam nogi w kolanach. Chciałam, żeby wszedł jeszcze głębiej. Więc kiedy znowu mnie dźgnął, podniosłam nogi i skrzyżowałam je na jego plecach.

Szeroko otworzył oczy i spojrział na mnie, choć mnie nie widział. Było to spojrzenie ślepego, spojrzenie zupełnie nieświadome, bo w chwili takiej jak ta mężczyzna wie tylko jedno, to, że jego ptasior tkwi głęboko w myszce, a kiedy się tego mężczyznę lubi, jest cudownie, bo spojrzenie to sprawia, że tak bardzo się go pożąda. Wszystko co teraz może - on i ona - to pchać razem i rozpierać, znowu i znowu, aż kochanek wygnie grzbiet, zadrze głowę, aż wyjdzie z ciebie, znowu cię zobaczy, głośno krzyknie i wytryśnie z kogutem wciśniętym między wasze brzuchy.

Kiedy się obudziłam, ogień już prawie wygasł. Weszliśmy pod pierzynę, ale tak naprawdę to nie położyliśmy się jak trzeba i Esmond wciąż spał na brzuchu. Ja nie, ale koc był chropowaty i jak zawsze zaczynało mnie poboлеwać tam w środku. Miałam ochotę tylko na jedno, na to, żeby pójść spać, jak Pan Bóg przykazał, w pościeli i w koszuli nocnej. Wstałam i rozebrałam się, ciesząc się, że choć raz Esmond tego nie widzi. Umywalka była przepiękna

- z chińskiej porcelany w kwiatki, ze złotymi brzegami

- ale ponieważ woda w mosiężnym zbiorniku już dawno wystygła, umyłam tylko ręce i twarz, no i wytarłam do czysta brzuch. Wyjęłam z kufra koszulę i szorując zęby, zastanawiałam się, co słyhać u mnie w domu: czy Alice poradzi sobie z maluchami, czy będzie musiała ściągnąć mamę ze sklepu, czy Nellie znowu nie zechce pójść do szkoły, czy Bert da radę zanieść tam Johnniego, czy się nie spóźni... Och, myślałam o wszystkim naraz. Dobrze chociaż, że miałam Esmonda, że był taki hojny i że wciąż

graliśmy *Kopciuszka*, bo inaczej nie mogłabym podsyłać im pieniędzy.

Położyłam się ostrożnie, żeby go nie obudzić, wpadłam w chmurę z lnu, lawendy i gęsiego puchu - naprawdę boską - i leżałam w niej, czując się tak, jakby na dobre opuściły mnie wszystkie troski.

Obudził mnie tygrysek Esmonda, który dźgał mnie w plecy. Początkowo myślałam, że to jeszcze noc i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że zasłony są tak grube i szczelne, że prawie nie przepuszczają światła.

Esmond pocałował mnie w kark.

- Dzień dobry, kochanie. - Obejmował mnie lewą ręką i kiedy odwróciłam się, żeby go pocałować, zaczął bawić się moim sutkiem. Serce mi zamarło, bo pod kołdrą było tak ciepło i przyjemnie, ale zabawa w łóżku jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, to znaczy z samego rana, zanim wstanę, poruszam się trochę i napiję herbaty.

- Czy to nie wspaniałe? - szepnął mi do ucha. - Nie musimy nigdzie wychodzić ani nic robić i wreszcie możemy się sobą nacieszyć. Wiedziałem, że to dobry pomysł. Prawda, kochanie? - Z tymi słowami wsunął pode mnie prawą rękę, żeby dalej bawić się piersiami, podczas gdy lewą głaskał mój bok. Potem podwinął mi koszulę, wepchnął palce między nogi i zaczął mnie dotykać. - Prawda?

Kiwnęłam głową. Było mi przyjemnie, oczywiście, że było. No i wiedziałam, że do tego przywyknę. Tak jak do tego, że mama i maluchy mieszkają na drugim końcu miasta, że będę ich odwiedzała, nawet gdyby miało zepsuć mu to niedzielę,

że nawet jeśli o nic mnie nie poprosi, to i tak wyczuję, na co ma ochotę, bo będzie to aż do bólu oczywiste.

Te grube dywany, ta jedwabista pierzyna, pani Mundy czekająca w suterenie na rozkazy - dał mi to wszystko, bo był dżentelmenem, bo zawsze pragnął, żebym była szczęśliwa i żeby było mi wygodnie. Ale zrobił to i dla siebie, dla własnej wygody, żeby dostać to, czego chciał, kiedykolwiek sobie zażyczy.

Przewróciłam się szybko na brzuch i podpełzłam do stóp łóżka, mijając po drodze mój zapach na jego palcach. Musiałam odrzucić na bok pierzynę, żeby móc oddychać, gdy wzięłam do ust jego koguta. Chyba nie spodziewał się, że to zrobię. Usłyszałam, jak ze świstem wypuszcza przez zęby powietrze i zaczęłam wodzić językiem po krawędzi główki, układając czubek w małe „V” - wiedziałam, że nie potrafi się temu oprzeć. Nie potrafił się również oprzeć, kiedy pieściłam mu jądra, masowałam ukryty za nimi mięsień, dlatego już wkrótce zaczął jęczeć i omal nie przestałam w porę ssać, bo chociaż uwielbiał, kiedy to połykałam i chociaż mniej przez to bałaganu, kiedy jest się gdzieś, gdzie nie powinno się być, naprawdę, ale to naprawdę nie lubię tego smaku.

Jednakże to, że mieszkałam teraz o wiele bliżej teatru, bardzo mi się opłaciło. Byłam mniej zmęczona i lepiej tańczyłam, jakbym znowu znalazła to, co pani LeMaitre, moja stara nauczycielka, nazywała *ballon*. Kiedy Maisie wydobrzała, nadawała się tylko na statystkę - ta biedna, głupia krowa bardzo się z tego ucieszyła - ale zamiast

przesunąć wszystkich rząd w górę, pan Greenley od razu wstawił mnie na jej miejsce. A tydzień później dziewczyna z pierwszej ósemki skreśliła nogę w kostce, zeskakując ze schodów w dylizansie akurat wtedy, kiedy woźnica zdzielił batem konie, i weszłam w skład pierwszej grupy. Wszyscy należeliśmy do towarzystwa wzajemnej pomocy, więc dziewczyna poszła na płatny urlop i nie miałam z tego powodu wyrzutów sumienia, poza tym nie udawałam, że parę szylingów więcej mi się nie przyda, bo nie uwierzycie, ile tancerki zużywają butów, pończoch i rajtuzów.

Tego roku *Kopciuszka* wystawiano tak, że dziewczętom z pierwszej ósemki przez cały czas ktoś partnerował. Moim partnerem był chłopak o imieniu Joe, którego prawie nie znałam, bo zespół mieliśmy bardzo duży, a pierwsza ósemka zawsze jest odcięta od reszty. W żadnym innym zawodzie nikt nie nazwałby go „chłopakiem” - był starszy ode mnie, stosownie wyższy i naprawdę dobrze zbudowany -ale dla nas oni zawsze są „chłopakami”, tak jak my dla nich „dziewczynami”, chociaż pracują u nas mężatki z tuzinem dzieci. Naturalnie niektórzy z nich są „chłopcami” na inny sposób, ale z drugiej strony mamy w zespole i takie, którym blisko na ulicę. Są ludzie i ludziska i nigdy nie wiadomo, co byśmy zrobili, gdybyśmy musieli.

Tak czy inaczej, tak jak powiedziałam Esmondowi, zawiadamiając go, że nie będzie mnie przez całą niedzielę, musiałam ćwiczyć i ćwiczyć, ćwiczyć w każdej wolnej chwili, nie wspominając już o przymiarkach kostiumu. W pierwszej ósemce nie ma się za kim schować.

W teatrze było prawie pusto. Schodami, na których rozbrzmiewało echo, weszliśmy na najwyższe piętro, do przydzielonej nam sali. W środku panował półmrok; zapadał zmierzch i mimo krzywo zawieszonych lusterek dzienne światło prawie tam nie dochodziło. Ale ponieważ paliło się w piecu, było nawet przytulnie: signorina Benelli ćwiczyła z nami kroki, a pan Gordon, nasz akompaniator, bębnił na pianinie, czytając w gazecie o znalezionym w kufrze trupie. Przyszedł Joe - on też chciał trochę poćwiczyć - i już pół godziny później pierwszy układ mieliśmy z głowy, z wyjątkiem momentu, kiedy to pod koniec taktu ze skrzyżowanymi rękami odwracaliśmy się tyłem do siebie na czubkach baletek - musieliśmy się dobrze zgrać, bo inaczej na początku następnego taktu łądowaliśmy na złą nogę. Zawaliłam trzy razy z rzędu i omal nie wyrwałam mu ręki ze stawu.

- Ty głupia zdiro! - wrzasnął, masując sobie ramię. - Zrób to jeszcze raz, a do końca tygodnia nie podniesiesz się z podłogi.

- Przepraszam - szepnęłam. Wtedy objął mnie i uściskał.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Wystarczy trochę poćwiczyć.

Parę godzin później po raz setny skoczyłam mu na ręce, ale ponieważ byliśmy złani potem i drżeliśmy ze zmęczenia, źle mnie chwycił i ześlizgnęły mu się palce. Od razu straciłam równowagę i upadłam. Dzięki Bogu, niczego sobie nie skręciłam, ale bolał mnie trochę łokieć i piekło kolano, a w miejscu, gdzie pończocha jest przypięta do pasa, poszło oczko. Musiałam być bardziej zmęczona, niż myślałam, bo nagle się rozplakałam.

- Dziesięć minut przerwy, panie i panowie - zarządziła signorina Benelli. - Czy jest tu dzisiaj jakiś posługacz? Zawołam go. Napijemy się herbaty.

Joe i ja usiedliśmy na sofie, której nie naprawiano chyba od wojny krymskiej. A herbata, którą nam podano, smakowała tak, jakby przez miesiąc stała w dzbanku za kulisami. I pewnie stała. Mimo to trochę odżyłam. Poczułam się lepiej.

- Chyba cię tu nie widziałem, Pearl - powiedział Joe. - Jesteś nowa?

- Tak naprawdę to mam na imię Polly. Nie, nie jestem nowa. Przez cały sezon występowałam w *Wesołej dziewczynie* i wypadłam z obiegu. Podobno mają częściej je wystawiać, komedie muzyczne. Wystąpiłbyś w komedii?

- Gdyby mnie tylko zaangażowali. Poza sezonem tańczyłem głównie w rewiach. Jeśli długo grają, można nieźle zarobić. Marzenie.

- Może... - Wypiłam łyk herbaty, pomyślałam o Esmon-dzie, o nowym mieszkaniu i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właściwie nie zgadzam się z Joem. - Nie, sama nie wiem. Jeśli występujesz w balecie i jeśli dostaniesz angaż, tylko od ciebie zależy, gdzie zagrasz i ile razy. Jesteś panem samego siebie, nawet jeśli krucho stoisz z pieniędzmi. No i sezon baletowy trwa w sumie przez cały rok. A wodewile, rewie, komedie... Tak, można zarobić, ale jesteś związany

z jednym spektaklem, aż przestaną go grać, a wtedy koniec. Pucha.

Zegar w St Mary-le-Strand wybił piątą. Signorina Benelli podniosła głowę.

- Czy to już piąta?

- Salę mamy tylko wpół do szóstej. - Pan Gordon złożył gazetę.

- O siódmej musimy być na przymiarce - wtrąciłam - i chciałabym się przedtem umyć.

- Powtórzmy tylko ostatnią część - zdecydowała signorina, więc podeszłam do pudła z kalafonią i porządnie się natarłam, zwłaszcza podeszwy i palce u nóg. Nie chciałam znowu upaść, wszystko, byle nie to. Im bardziej jesteś zmęczona, tym bardziej możesz się połamać. - Od „H”, signor Gordon. - Joe i ja przyjęliśmy postawę. - Gotowi? - Pan Gordon zaczął grać. - I raz, i dwa, i trzy i cztery. I raz...

Układ nie był trudny, efektowny, ale stosunkowo prosty. Z wyjątkiem jednego podniesienia, tego ostatniego, kiedy to miałam skoczyć Joemu na rękę, jakbym dawała nurka do wody. A on musiał chwycić mnie między nogami i trochę to trwało, zanim wszystko wyszło jak trzeba. Niektóre dziewczyny wolą, kiedy partner chwytą je pod udo, ale ja zawsze czułam się bezpieczniej z ręką między nogami. I kiedy Joe już to opanował, przekonałam się, że on też ma dobre udo, bo idealnie przywierało do moich pleców, a moja pupa do jego krocza. Byliśmy jak zrosnięci i moglibyśmy stać tak godzinami.

- Trzymaj, trzymaj i... puść. Tak - powiedziała signorina Benelli. - Dobrze. Odpocznijcie.

Panie i panowie, bardzo wam dziękuję. Do zobaczenia jutro. - Pan Gordon schował nuty do teczki i też wyszedł.

Wytarłam ręcznikiem twarz.

- Będiesz się myła? - spytał Joe.

- Chyba tak. Ale nie w garderobie. Zimno tam jak w psiarni.

- Jak chcesz, umyj się tutaj. - Wskazał umywalkę w kącie. - Ja się umyję.

-Ale...

- Wyjdę i poczekam na schodach. Potem się zmienimy. I tak zrobiliśmy: najpierw umyłam się ja, potem on.

W dzbanku była nawet gorąca woda, a posługacz zostawił trochę węgla w koszu.

- Jesteś głodny? - spytałam, kiedy ściągnęliśmy już przepocone kostiumy. Nie warto było się ubierać, bo mieliśmy iść na przymiarę, dlatego ja byłam w dessous i szlafroku, a on w spodniach i koszuli, bez kołnierzyka i krawata - było za ciepło na żakiet czy marynarkę.

Wyjęłam z torby kanapki. - Z szynką czy z serem? Uf, lecę z nóg. Mogę się położyć?

- Dzięki. - Joe wybrał szynkę. - Jasne, kładź się. Usiądę na drugim końcu. Takie drobniutkie jak ty nie zajmują dużo miejsca.

Jedliśmy w milczeniu, jedząc, próbowałam rozruszać palce u nóg. Kiedy skończyłam kanapkę, podniosłam nogę, żeby rozmasować sobie stopę. Pierwsza ósemka ha-

ruje bardziej niż te z tyłu, a najbardziej odczuwają to właśnie stopy.

- Pomasować ci? - Joe zadał to pytanie tak, jak zadałaby je Maisie czy mama, więc po prostu wyciągnęłam nogę. Ujął stopę za podbicie i przesunął kciukiem po podeszwie, ale tak mocno, że wcale mnie nie załaskotało. Robił to wspaniale, tak jak trzeba, lepiej nawet niż Maisie, bo miał silniejsze ręce. Potem rozmasował mi kostkę i ponaciągał wszystkie palce, mocno i łagodnie, jakby ciągnął za końskie ucho, następnie zajął się drugą stopą i gdy skończył, przestałam wreszcie czuć się tak, jakbym chodziła po rozżarzonych węglach. Nogi miałam ciepłe i rozluźnione, całą resztę też.

Kiedy otworzyłam oczy, uśmiechnął się do mnie, ale po jego pochylonych ramionach poznałam, że on też jest zmęczony, a ponieważ wiedziałam, że w garderobie wciąż siedzi pan Leno i upłynie dużo czasu, zanim nas przyjmą, usiadłam i spytałam:

- Może teraz ja pomasuję tobie? - Sofa była bardzo duża; mogłoby tam usiąść sześć tancerek w krynolinach i zostałyby jeszcze miejsce dla mopsa.

- Pewnie - odparł tak jak Johnnie, kiedy pytam go, czy chce przyjść do mnie do łóżka.

Przysunął się bliżej i położył. - Co myślisz o pani Benelli?

- Jest w porządku.

Podniósł ręce, wyciągnął je za głowę i skrzywił się.

- Boli? Ramię? Przepraszam.

- Przeżyję. Szybko się uczysz. Jesteś naprawdę dobra.

Miło było to słyszeć, ale kiedy tylko poruszył ręką, znowu się skrzywił. - Daj, rozmasuję. Musiał przysunąć się jeszcze bliżej, żebym mogła dosięgnąć przeciwległego ramienia. Był naprawdę silny, co wcale mnie nie zaskoczyło, bo wszyscy tancerze są silni -muszą - nawet jeśli tańczą tak, jakby nie byli chłopcami, co niektórym panom bardzo się podoba. Tylko że nigdy nie leżałam obok tancerza i nie wdychałam czystego zapachu jego skóry, czując, jak powoli uspokaja mu się oddech, jak rozluźniają się mięśnie.

Nie pamiętam, żebym zastanawiała się, czy jest jednym z nich, ale teraz wiedziałam już na pewno, że nie jest. Nasze ciała pasowały do siebie nawet wtedy, kiedy dosłownie lecieliśmy z nóg. Ręce trzymał mi na krzyżu, a jego usta tak idealnie przywierały do moich, że kiedy spotkaliśmy się językami, roześmiałam się głośno, tylko że śmiech ten zabrzmiał jak cicha melodia, jak muzyka, gdy naprawdę dobrze mi się tańczy. Wyczułam, że on też się uśmiecha. Kiedy łagodnie i stanowczo zarazem dotknął moich piersi, tak jak dotykał moich stóp, poruszyły mu się mięśnie na plecach. A kiedy przesunęłam niżej ręce i przytuliliśmy się do siebie jeszcze mocniej, poczułam jego jędrne, cudownie zaciśnięte pośladki. I było tak jak w tańcu, bo nasze ciała znowu się z sobą zlewały, znowu do siebie przywierały... Tak, idealnie do siebie pasowaliśmy.

Daję słowo, że nawet o tym nie pomyślałam - do tej chwili. I nawet kiedy zdałam sobie sprawę, co się dzieje -

że będzie cudownie, że bardzo tego pragnę - nawet wtedy nie przypuszczałam, że do tego dojdzie. Miałabym wyrzuty sumienia ze względu na Esmonda. Tylko że konałam ze zmęczenia, a Joe był taki słodki.

Rozwiązał tasiemkę, zsunął halkę, pochylił głowę i polizał moje sutki, mrużąc przy tym, jakby bardzo mu smakowały. A ja z przyjemnością patrzyłam na jego włosy, takie krótkie i sztywne za uszami, na umięśniony kark, ale wtedy pochylił niżej głowę i zaczął pieścić mnie zębami, podskubywać piersi, ale tak delikatnie, jakby nie mógł się powstrzymać.

Zsuwał się coraz niżej, całował mnie w brzuch, aż zapragnęłam czegoś więcej, a kiedy ukrył twarz w moich włosach łonowych, pomyślałam pewnie

o tym co on. Wtedy wszedł we mnie, ale nie palcami, tylko językiem tak śliskim i gorącym, że zamiast zadrzeć, po prostu się rozpląnęłam. Pasował tam nawet językiem - jakby przeszedł mnie prąd, ale prąd ciepły i łagodny, i czując, że wzbiera we mnie fala, poruszyłam się pod jego ustami, choć wcale nie chciałam.

Wtedy zamarł, jakbym zdjęła z niego urok, i pożałowałam, że to zrobiłam. Po chwili, wciąż leżąc między moimi nogami, przesunął się do góry i przygniótł mnie swoim ciężarem, tak że poczułam na piersiach jego ciepłą pierś. Podniósł rękę, wytarł ramieniem usta, pocałował mnie

1 chociaż smakował trochę mną, bardziej smakował sobą.

- Polly? - szepnął. - Moja piękna Polly. Czy... mogę? Będę uważał. - Kiwnęłam głową, wiedząc, że gdybym powiedziała „nie”, niczego by nie zrobił. Bo tak właśnie

z nami było. Więc nie musiałam nic mówić. Wsunął się we mnie gładko i bez najmniejszego trudu, jak ręka do rękawiczki, tyle tylko że wrażenie było bez porównania lepsze: pasował wprost idealnie, jakby dawał mi piękny, kosztowny prezent, chociaż sądząc po jego twarzy, to ja dawałam prezent jemu.

Przez chwilę po prostu leżeliśmy, napawając się sobą. Ale to nie wystarczyło, bo nawet przy najmniejszym ruchu wybuchalo we mnie tysiąc fajerwerków, no i byliśmy zachłanni, on i ja, chcieliśmy się poruszać, chcieliśmy te fajerwerki podpalać, chwytac je, gdy jeden po drugim szybowały w niebo, udo na udzie, usta na ustach, znowu i znowu, tańcząc w powietrzu, wirując pośród gwiazd, dopóki nie eksplodowały mi w głowie, dopóki jak przez mgłę nie wyczułam, że eksplodowały i jemu.

Leżeliśmy razem, wciąż jak ręka w rękawiczkę. Nie było mi ciężko i chciałam, żeby tak leżał. Milczeliśmy, jakbyśmy nie wiedzieli, co powiedzieć. Z drugiej strony niełatwo jest ująć to w słowa, tak jak trudno jest zrozumieć, co tak naprawdę kryje się pod nazwą tego czy innego kroku: *ronie dejambe, pas de chat, tourne en l'air...* Bo każdy z nich powie ci, jakie to uczucie.

OLIVIA PAINSWICK

Roma

We włoskiej restauracji w zachodniej części Londynu rozmowa nieuchronnie schodzi na Rzym. Goście wymieniają się uwagami na temat tamtejszych knajpek. Zachwycają się Panteonem.

- Czy przepych Świętego Piotra jest stosownym ziemskim hołdem Bogu? - pyta ktoś mądry.

Ja sącę barolo, a on opowiada o barze jazzowym w Trastevere. Moja wolna ręka leży na stole obok talerza. On bierze ją, ściska i mówi:

- Wrzesień to świetna pora na wypad do Rzymu. Uśmiecham się. On uśmiecha się do mnie i uświadamiam sobie, że chyba przyjąłam zaproszenie.

- Jeśli chcecie szybko zwiedzić Koloseum, musicie dołączyć do wycieczki z przewodnikiem - mówi jego znajomy. - Inaczej będziecie stali w kolejce przez tydzień.

- Koloseum jest upiorne. Gdy się pomyśli o tych wszystkich ludziach, których rzucono tam na pożarcie lwom...

- Albo oddano w ręce karłów z maczugami - dodaje pan Mądry.

- *Morituri te salutant* - mówi on, wciąż trzymając mnie za rękę.

I nagle przypomina mi się, jak stałam przed Koloseum i czułam się tak, jakbym miała zaraz umrzeć.

To ty trzymałeś mnie za rękę tamtego popołudnia. Nasz romantyczny weekend w Rzymie.

Trzymaliśmy się za ręce już w porannym samolocie z Londynu, szepcząc o krótkiej „drzemce” w apartamencie, który zamówiłeś ze służbową zniżką. Przylecieliśmy za wcześnie, żeby od razu się zameldować, więc poszliśmy prosto na Schody Hiszpańskie.

Zrobiłam ci tam zdjęcie. Wciąż je mam. Masz przymknięte oczy, ale się uśmiechasz.

Pamiętam, że zaraz potem zaczęło padać. Wraz z innymi turystami schroniliśmy się w bramie angielskiej herbaciarni. Na oczach dwudziestu matron z rosyjskiej wycieczki włożyłeś mi rękę pod bluzkę.

Kiedy deszcz ustał, wciąż trzymając się za rękę, przebiegliśmy przez plac Hiszpański do Via Condotti. Zaprowadziłeś mnie do La Perła. Nieomal wzięłeś mnie w La Perła. W przebieralni chwyciłeś od tyłu za piersi, gdy wahałam się między brzoskwiniową i różową koronką. Przywarłeś do mnie biodrami i szepnąłeś, że zaraz nie wytrzymasz i zrobisz to w spodnie. Rudowłosa sprzedawczyni, która doskonale znała angielski, przez cały czas stała tuż za zasłoną i kiedy wyszliśmy z kabiny, obydwójce nieśmiało uśmiechnięci i trochę roztargani, jakimś cudem zdołała zachować kamienną twarz.

Namówiłam cię, żebyś kupił żółtą marynarkę u Brio-niego. Wyglądałeś w niej tak dobrze, że ogarnęła mnie zazdrość. Wyobraziłam sobie, że inne kobiety widzą to, co ja, i zastanawiałam się nawet, czy nie kazać ci kupić czegoś innego. Choćby skafandra.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, pokój był już gotowy. Kierowniczka wsiadła z nami do windy, nie wiedząc, że dla mnie i dla ciebie winda była okazją do pocałunku. Posłałam ci całusa za jej plecami. Przez całe wieki pokazywała nam, jak obsługiwać klimatyzację.

Kiedy wreszcie wyszła, puściłam wodę do wanny, a ty zacząłeś się rozpakowywać. Nie uwierzysz, ale zawsze uważałam, że twoje kompulsywne zamiłowanie do porządku jest bardzo seksowne. Byłam jak szef, który pożądliwie wodzi oczami za schludną sekretarką w okularach. To, że tak bardzo lubiłeś dominować, sprawiało, iż perspektywa tego, że w końcu i tak ulegniesz, jeszcze bardziej mnie podniecała.

Usiadłeś za mną w wannie i obłożyłeś mi ramiona pachnącą pianą. Zdmuchnąłeś ją i pocałowałeś naga, mokrą skórę. Powiedziałeś, że cieszysz się, że jesteś ze mną w Rzymie, w hotelu, gdzie mieszkałeś kiedyś ze swoją byłą żoną. Udałam, że mi to nie przeszkadza.

Oparłam głowę o twoją pierś, a ty pogłaskałeś mnie po policzku, jakbym była kimś najcenniejszym w świecie.

Wciąż wilgotna położyłam się na szerokim łóżku. Ukląk-

łeś między moimi nogami, pochyliłeś głowę i zacząłeś całować mnie od pępka w dół. Pokochaliśmy się szybko i przez trzy godziny spaliśmy objęci.

Tamtego wieczoru jedliśmy w Osteria del Pesce. Nie znaleźliśmy włoskiego i skończyło się na tym, że podano nam dwa talerze surowych krewetek. Podpuszczaliśmy się wzajemnie, żeby choć jedną zjeść. Tak bardzo śmiałam się z twoich min, że nie mogłam nic przełknąć. Kelner przyniósł nam coś strawniejszego. Ugotowanego. Piliśmy pinot grigio - więcej niż zwykle, żeby spłukać smak krewetek. W drodze do hotelu mijaliśmy Panteon i podziękowałam wszystkim bogom, którzy tam mieszkali, że jestem w Rzymie z moim kochankiem i najlepszym przyjacielem.

Zasnąłeś z ustami na moim ramieniu, łaskocząc mnie oddechem.

Obudzić się obok ciebie - to był dla mnie najlepszy początek dnia. Zawsze. Ale nazajutrz rano było wprost cudownie. Obudziły mnie dzwony Trinita dei Monti i wczes-nomajowe słońce, które grzało mnie w plecy. Ty wciąż spałeś. Tyłem do mnie. Twoja brązowa skóra na tle białej pościeli wyglądała tak ładnie, że nie mogłam się oprzeć i cię dotknęłam.

Położyłam rękę między łopatkami, tak jak robiłam to, ilekroć śniło ci się coś złego. Nie wiem dlaczego, ale to zawsze skutkowało, bo wybudzałeś się na tyle, żeby uciec przed potworami.

Poszłam zrobić siusiu. Wracając do łóżka, przystanąłam między łazienką i sypialnią, żeby zrobić ci w myśli zdjęcie i schować je do albumu ulubionych wspomnień. Poruszyłeś się i spojrzawsz na mnie. Powoli się uśmiechnąłeś. Chciałeś wstać.

- Nie wstawaj - powiedziałam.

Obiecałam, że zrobię ci masaż. Obiecałam tobie i sobie. Okazja, żeby cię dotknąć, zawsze była dla mnie taką samą przyjemnością, jaką zdawała się dla ciebie. Rzadko kiedy mogłam zadbać o ciebie tak, żebyś sam tego chciał, żebyś nie powiedział „nie”, tak jak na widok moich koszmarnych potraw.

Nalałam pachnącej oliwki na rękę i zaczęłam od stóp. Twoich doskonałych stóp.

Rozchylałam ci palce, wciskałam kciuk w podeszwy. Potem zajęłam się łydkami, tak pięknie wyrobionymi od gry w tenisa. Westchnąłeś; od tenisa były też sztywne.

Obydwoma rękami zaczęłam ugniatać ci uda. Moje palce wbijały się głęboko w ciało; jęknąłeś z zadowolenia. Długimi, posuwistymi ruchami rozmasowałam ich wewnętrzną stronę, za każdym pociągnięciem ocierając się kciukami o jądra. Potem skupiłam uwagę na pośladkach. Na mojej ulubionej pupie. Pucie, którą podziwiałam i w spodniach od garnituru, i w bokserkach od braci Brooks - a najbardziej bez niczego.

- Mógłbyś stać na każdym cokole w tym mieście - powiedziałam, gryząc cię delikatnie w prawy pośladek.

Zdjęłam koszulę, taką z majtkami, i dopiero teraz wzięłam się do roboty. Wlałam trochę oliwki w dołeczek nad pupą. Potem, żeby lepiej rozłożyć ciężar ciała i nie stracić równowagi, oparłam ręce na twoich ramionach i uklęknęłam

na pośladkach. Uklękłam i ześlizgnęłam się z nich, a ty głośno sapnąłeś, wybuchnąłeś śmiechem i poprosiłeś:

- Jeszcze!

Dotykanie twojego ciała zawsze mnie podniecało. Dlatego masując ci ramiona, nie mogłam się powstrzymać i zaczęłam całować brązową skórę na twoich plecach, całować znowu i znowu, bez końca.

- Na plecy.

Przewróciłeś się z wymownym uśmiechem. Miałeś już wzwód. Jak zwykle zażartowałeś, że „członki ci zeszywniały”. Usiadłam na twoich udach i znowu nasmarowałam rękę oliwką.

- Nie ruszaj się - rozkazałam. - Jeszcze nie skończyłam.

Ale ty już objąłeś mnie w talii. Potem wziąłeś buteleczkę i nałóż trochę oliwki na palce. Wsunąłeś rękę między nasze ciała i zacząłeś swój masaż.

Próbowałam się odsunąć. Nie skończyłam jeszcze z ramionami. Nie pokazałam, ile dla mnie znaczysz. Ale ty przyciągnąłeś mnie bliżej i uciszyłeś moje protesty pocałunkiem. Wtedy przestałam udawać nawiedzoną fizjoterapeutkę i przytrzymałam ci głowę, żebyś nie przestał mnie za szybko całować.

Twoje ręce znowu powędrowały do mojej talii. A w drodze powrotnej ujęły w dłonie piersi. Moje sutki stwardniały już, czekając na dotyk palców.

Przez otwarte okno wpadł leciutki podmuch chłodnego wiatru i zadrżałam z zimna.

Przytuliliś mnie. Ciepło twego ciała szybko mnie ogrzało. Przewróciłeś mnie na plecy, żeby być na górze.

Pochyliłeś głowę i zacząłeś całować piersi. Wygięłam się, odsłaniając szyję, żebyś pocałował mnie i tam. A kiedy nie mogłam już dłużej wytrzymać, objęłam cię i przyciągnęłam do siebie tak mocno, że nareszcie poczułam ciężar twojego ciała. Rozchyliłam nogi i dotknąłeś mi podbrzusza twardym penisem.

Chciałam poczuć cię całego. Wsunęłam między nas rękę i wymacałam członek. Tymczasem twoje palce przesunęły się już do jedwabistego trójkąta moich włosów łonowych i szybko odnalazły drogę do środka. Głośno wciągnęłam powietrze, gdy dotknęły łechtaczki i gdy przeszedł mnie dreszcz podniecenia.

Byłam już mokra. Od samego dotykania i masowania. A teraz, kiedy pieściłeś mnie palcami, pragnęłam tylko jednego: mieć cię w sobie. Ale nie twoje palce. Twoją najbardziej żywotną część.

Objęłam członek palcami i zaczęłam powoli poruszać tą mięciutką skórką, w górę i w dół, w górę i w dół, podczas gdy drugą ręką masowałam ci jądra. Już po sekundzie stwardniałeś tak bardzo, że mogłam wypiąć biodra i powoli wprowadzić cię do środka.

Zawsze wtedy wzdychałam. Kiedy we mnie wchodziłeś. Odczuwałam olbrzymią ulgę, gdy moje ciało rozluźniało się wokół twojego i kiedy zaczynałeś się poruszać. Miałam ochotę objąć cię rękami i nogami, objąć tak mocno, że aż się w ciebie wtopić. Uwielbiałam, kiedy całowałeś mnie

wtedy z twarzą wtuloną w moją szyję. Uwielbiałam smak twego potu, gdy ja całowałam ciebie.

Nie mogłam trzeźwo myśleć, kiedy we mnie byłeś. Za dużo doznań. Gdy czasem zamykałam oczy, miałam wrażenie, że zaraz zemdleję. A kiedy wchodziłeś we mnie naprawdę głęboko, czułam się tak, jakbym z sercem w gardle zjeżdżała ze szczytu kolejki górskiej w lunaparku. Jakby moje ciało mówiło ci wszystko to, czego ja nigdy bym nie powiedziała: że nie mogę ci się oprzeć, że jesteś cudowny, że ilekroć cię widzę, jestem podniecona i zdenerwowana tak jak tamtego wieczoru, gdy zapukałeś do moich drzwi i gdy pierwszy raz się pocałowaliśmy. Ilekroć byłam z tobą, zawsze chciałam cię dotykać. Sunąć palcami wokół twych ust, wdychać kojące ciepło twego ciała. A kiedy byłeś we mnie, wbić palce w twoje pośladki i przyciągnąć cię jeszcze bliżej. Usiąść na tobie i patrzeć na twoją twarz, kiedy dochodzisz, wyzwalając reakcję łańcuchową ekstatycznego śmiechu w moim ciele. Pragnęłam, żebyś robił to przez całą wieczność.

- Przytul mnie - powiedziałeś tamtego ranka w hotelu de Russie. Przytuliłam cię i doszedłeś. Objęłam cię za szyję, oplotłam cię nogami.

Potem leżeliśmy razem, ty wciąż we mnie, i czułam, jak tam w środku pulsuję.

- Czujesz mnie? - spytałam.

Kiwnąłeś głową w moje ramię. Zostałeś tam bardzo długo.

Czułam się kochana.

Dlatego myślałam, że żartujesz, gdy wieczorem oznajmiłeś, że już nie możesz się ze mną widywać. Że nagle dopadły cię potwory. Że nie jesteś gotowy stawić czoła przyszłości. Że nie możesz. Ręka między łopatkami już nie wystarczy. Zawaliłeś w przeszłości, zawalisz i

teraz. Musimy się rozstać, zanim naprawdę mnie skrzywdzisz. Nie możesz dać mi tego, czego chcę. Bo sama tego nie wiem. Kiedy próbowałam ci to powiedzieć - kiedy powiedziałam, że ciebie - odparłeś, że się mylę.

Nie spałam całą noc. Szerokość łóżka, do niedawna rzadki luksus, była teraz wybawieniem. Zwinąłeś się w kłębek i zasnąłeś.

Nazajutrz, pewnie oszalała z niewyspania, zaproponowałam, żebyśmy mimo to spróbowali nacieszyć się Rzymem. Nie musimy wracać wcześniej, powiedziałam. Ale w Koloseum omal nie umarłam. Ty zjadłeś solidny lunch i wypięłeś trzy kieliszki wina, a mnie żołądek podjeżdżał do gardła.

Na Forum wzięłeś mnie za rękę. Dotrzymałeś obietnicy, żeby całować mnie przed każdym posągiem i pomnikiem. W Rzymie jest mnóstwo pomników. W hotelu poszliśmy spać. Przytuliłeś mnie, tak jak kiedyś. Poczułam twój członek na pupie. Pocałowałeś mnie w kark, myśląc, że zasnęłam. Ale kiedy odwróciłam się, by sprawdzić, czy uda mi się cię odzyskać, powiedziałeś, że nie zmienisz zdania. No i pokłóciliśmy się. Nazajutrz rano przebukowałeś bilety.

Poszliśmy na kolację. W Camponeschi na Piazza Farne-se trąciłeś się ze mną kieliszkiem prosecco i powiedziałaś,

że skończyły ci się „łatwe toasty”. Przy sąsiednim stoliku grupa Amerykanów obchodziła złote gody. Kiedy zaczęli wznosić „łatwe toasty” za miłość i śmiech, wstałam i wyszłam. Zostawiłam cię z twoimi karczochem i moją capre-se. Zgubiłam się w drodze do hotelu. Mijając Panteon -znowu - wyobraziłam sobie, że jakiś bóg bierze twój posążek i go ode mnie odsuwa.

Wróciłeś przemarznięty bardziej niż kiedykolwiek. Przeprosiłam cię. Nie chciałam wprawić cię w zażenowanie. Odparłeś, że jesteś przyzwyczajony. Że twoja była żona wychodziła z restauracji cały czas. Pierwszy raz porównałeś nas jawnie i otwarcie. Nazajutrz poleciliśmy do Londynu. Bieliznę z La Perłą wrzuciłam do kosza na śmieci w terminalu British Airways. Pożegnaliśmy się na postoju taksówek na Heathrow. Taksjarsz powiedział, że chyba mnie rzuciłeś, tak po prostu. Że nie ma się co oszukiwać. Potem opowiedział mi o swoim rozwodzie.

I tak, teraz, siedzę we włoskiej restauracji w zachodniej części Londynu z mężczyzną, który chce mnie pokochać. Dać mi wszystko to, czego według ciebie powinnam oczekiwać od życia. Potrafi wyobrazić mnie sobie w białej sukni i wcale go to nie przeraża. Widzi swoje dzieci w moich oczach.

Ściska mi rękę, a ja czekam, aż poczuję coś więcej niż tylko mechaniczny ucisk na śródrećce. Nie czuję niczego.

Odwozi mnie do domu, ale nie wpuszczam go do środka.

- Pewnego dnia cię uwiodę - zapewnia. Całuje mnie w usta i czeka, aż oddam pocałunek. Obejmuje mnie. Moje ręce zwisają bezwładnie wzdłuż boków. Ale kiedy cofa się i patrzy mi w oczy, zdaje się zadowolony z tego, co w nich widzi. Jest pewny, że następnym razem spędzi ze mną noc.

A ja, że już go nie zobaczę.

Wchodzę do pustego domu i nalewam sobie kieliszek prosecco. Na „łatwy toast”. Siadam na sofie, gdzie pierwszy raz się pocałowaliśmy. Które z nas zrobiło pierwszy ruch? Nigdy nie mogliśmy sobie tego przypomnieć. Ja pamiętam to tak, że początkowo siedzieliśmy obok siebie jak dwie ciotki. To, że tak bardzo cię pragnę, zaskoczyło mnie już we włoskiej restauracji, gdzie zjedliśmy kolację. Pewnie wtedy, kiedy wzniosłeś jeden ze swoich legendarnych toastów za moje brązowe oczy (które zawsze były niebieskie).

Pamiętam, że podkurczyłam nogi i obróciłam się, żeby usiąść twarzą do ciebie. Ty zrobiłeś to samo. Potem pogłaskałam cię po udzie, że niby masz tam jakiś paproch. Wtedy odstawiłeś kubek i...

Smakowałeś tak jak trzeba i pamiętam, że bardzo mi ulżyło. Tamtego wieczoru całowaliśmy się chyba trzy godziny. Jak nastolatki - tak potem powiedziałeś. Rozebrałiśmy się tylko do pasa. Następnego dnia mój podbródek wyglądał jak po peelingu. Nie mogłam się doczekać, kiedy to powtórzymy. Wspomnienie moich rąk na twojej nagiej piersi przyprawiło mnie o dreszcz w kolejce do kasy w su-

permarkecie. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, jak leżysz na mnie z wielkim namiotem w dżinsach. Pięć dni później kochaliśmy się pierwszy raz.

- Zawsze się z tobą kochałem - powiedziałeś mi w Rzymie. - Nigdy nie uprawiałem z tobą seksu. Kochaliśmy się. Zawsze, od pierwszego razu.

Przerywam milczenie. Podnoszę słuchawkę i twój głos jest jak delikatny pocałunek.

- Chyba powinniśmy się spotkać - mówię. A ty się zgadzasz.

CASSANDRA BEDWELL

Przepisowy strój

Poniedziałek, 19:00. Barbican Conservatory, Londyn. Koronkowy stanik koloru kości słoniowej z miseczką 3/4 i różowym przybraniem; majtki do kompletu.

Czekała cierpliwie i spokojnie w delikatnej, wilgotnej mgle, która otulała wierzchołki palm, spływając kroplami na liście szerokie i płaskie jak liście lilii wodnej. Lekko się poruszyła, wyciągając szyję, by spojrzeć na kępę purpurowych bugenwilli w kącie po drugiej stronie oranżerii. Ścieżka była mokra i chrzęszcząca. Zza szerokich liści *Brahea edulis*, palmy gwadelupiańskiej, która muskała wierzchołkiem strzelisty szklany dach, wyglądał blady księżyc. Dochodziły ją głosy niewidocznych w zielonym gąszczu ludzi, ale praktycznie rzecz biorąc, była zupełnie sama pod chłodnym lazurem wieczornego nieba. Zadrżała, bo zaczynało być jej zimno w kremowym kostiumie, obcisłym, lecz dość cienkim. Nagle usłyszała ciche kroki kogoś idącego w jej stronę i zeszywniały jej ramiona.

Chwilę później poczuła na karku jego oddech. Chwytał ją za ręce i naparł na nią całym ciałem. Głośno wypuścił powietrze i przez kilka sekund przytrzymał ją tak, sunąc dłońmi w dół. Dotarłszy do talii, znieruchomiał, z przyspieszonym oddechem badając kształt jej ciała.

- Gotowa?

- Oczywiście.

Odwrócił się i poprowadził ją wąską ścieżką między zwisającymi do ziemi liśćmi palm, których wystrzępione końce ocierały się o nią jak palce duchów. Na schodach do oranżerii stało dwóch mężczyzn, młodszy i starszy. Na widok obcych zaczęli się od siebie odsuwać, ale wtedy ten młodszy pochwycił jej spojrzenie i na ułamek sekundy nawiązała się między nimi nić porozumienia. Mężczyzna uśmiechnął się i z ręką na rękawie tego starszego oparł się

o poręcz, robiąc im przejście. Bez wahania skrzyła w stronę wind i nacisnęła guzik na ścianie. Otworzyły się drzwi

1 z kabiny wybiegło dziecko, a za nim młoda kobieta, która zaczęła coś mówić, lecz ujrawszy ich twarze, szybko odwróciła głowę. W windzie stanął tuż za nią, a ona znowu znieruchomiała i stała tak, aż zjechali na parter. Drzwi się otworzyły i ruszyli w stronę wyjścia, gdzie wyprzedził ją i szybko wyszedł na mroźne powietrze. Zadrzała.

- Taks!

Podał taksówkarzowi adres i usiadł obok niej, patrząc przed siebie. Położył rękę na jej kolanie i podwinąwszy spódnicę, dotknął skóry. Czując dotyk silnych palców, zamknęła oczy i leciutko rozchyliła nogi. Po chwili stanęli

na światłach. Usiadła prosto i spojrzała w okno, czytając znajome nazwy ulic i niedługo potem zatrzymali się przed rzędem wiktoriańskich domów.

- Jeszcze kawałek... Tutaj.

Obrotowe drzwi, markiza - wysiadł, otworzył drzwiczki, a kiedy wysiadła i ona, wyjął portfel i zapłacił za kurs. Mężczyzna i kobieta za ladą w recepcji mieli na twarzy zawodowe uśmiechy.

- Sto dziewiętnaście.

Recepcjonista podał mu klucz i kartkę z hotelowego bloczku.

- Wiadomość dla szanownego pana.

Zmiał kartkę, schował ją do kieszeni i ruszyli w stronę schodów. Na pierwszym piętrze skręcili w prawo, w korytarz z malunkami weneckich masek na ciemnoczerwonych ścianach, słabo oświetlony i wyłożony grubą wykładziną. Z pokojów nie dochodził żaden dźwięk, nie słyhać było nawet stłumionego jazgotu telewizorów. Przeszedłszy dwie trzecie korytarza, zatrzymali się przed drzwiami z numerem 119 i na jej równo obcięte blond włosy padło dyskretne światło ściennej lampy. Szczęk klucza w zamku, otwarte drzwi - gestem ręki zaprosił ją do środka. Weszła i rozejrzała się, ogarniając wzrokiem antyczne meble - stylowe, z połyskiem kosztownego litego orzecha - podczas gdy on zaczął zaciągać grube kotary. Jedna się zacięła i chwilę trwało, zanim udało mu się zgasić żółte światło ulicznej latarni. Skończył, odwrócił się i spojrzał na nią z uniesionymi brwiami.

- Dobrze - rzuciła obojętnie.

Przez jego twarz przemknął wyraz ulgi. W kubelku z lodem na stoliku chłodziła się butelka szampana; cicho wystrzelił korek, w kieliszku wezbrała piana. Nalał drugi, podał jej i nie odrywając od niej oczu, zaczekał, aż wypije pierwszy łyk. Kilka sekund później weszła do łazienki i cicho zamknęła drzwi. Tymczasem on przysunął bliżej fotel, odwrócił go w tamtą stronę i usiadł. Mijały minuty, a z każdą gęstniała cisza, jakby sam pokój czekał na to, co miało za chwilę nastąpić.

Otworzyły się drzwi. Niespiesznie wyszła z łazienki w samej bieliźnie i szpilkach. Przystanąła, zastygła bez ruchu, a potem obróciła się dookoła. Kiedy znowu stanęła przodem do niego, zobaczył, że jest w koronkowym staniku ze sterczącym do góry różowym przybraniem i że przez cieniutki materiał miseczek prześwitują jej twarde sutki. Ujęła piersi, pogłaskała je, pomasowała i przesunęła dłońmi po brzuchu. Polizała palec, odchyliła delikatne majteczki, wsunęła go między nogi i dotknęła się tam, zadzierając głowę. On siedział i patrzył. Gdy to zrobiła, głośno wciągnął powietrze, patrzył jeszcze przez chwilę i w końcu nie wytrzymał.

- Chodź tu - powiedział drżącym głosem.

Wstał, gdy podeszła bliżej. Podniósł ręce i naśladowując jej ruchy, zaczął pieścić jej krągłe ciało. Odsunęła się, odwróciła i oparła o niego, podczas gdy on wciąż ścisnął palcami jej nagie sutki. Nagle pociągnął je do góry tak mocno i gwałtownie, że musiała stanąć na palcach i opadła na pięty dopiero wtedy, gdy puścił ją, obrócił ku sobie i ssąc sutek, włożył rękę do jej majtek. Jej mokre palce splotły się na chwilę z jego palcami, a potem przesunął dłonią po szorstkich włosach na jej podbrzuszu. Zdjął jej majtki, a ona odrzuciła je na bok,

nie przestając się pieścić. Podeszli do szerokiego podwójnego łóżka ze stertą poduszek, a wtedy zsunęła mu marynarkę z ramion i rozpięła koszulę. Potem rozpięła pasek i rozporek i przez kilka sekund masowała mu członek, by w końcu zdjąć mu spodnie. Na łóżku usiadła na nim i wprowadziła go do środka. Odrzuciła do tyłu głowę, a on chwycił jej wylewające się ze stanika piersi. Wtedy pochyliła się do przodu, a gdy zaczął je łapczywie ssać, pochyliła się jeszcze bardziej, przygniatając mu nimi twarz. Uniosła biodra, aż prawie z niej wyszedł. Odczekała kilka sekund, gwałtownie opadła, znowu uniosła biodra i znowu opadła, powtarzając te ruchy i za każdym głębiej się nań nabijając. W końcu nie wytrzymał: zdarł z niej stanik, rzucił go na podłogę, szarpnął się i napałł krocem na jej krocze. Wtedy krzyknęła, przeraźliwie głośno w cichym pokoju, i chwilę później doszedł w fali gorących skurczów. Opadła na niego, a on przytulił ją, czując na sobie jej rozpląszczone piersi. Członek zmiękł mu i wypadł, i obydwójce znieruchomieli złączeni potem i spermą. Po kilku minutach wrócił im normalny oddech.

Nagle stoczyła się z niego i leżąc na plecach, ze wzrokiem wbitym w sufit, powiedziała:

- Muszę iść.
- Szampan...

Usiadła i niecierpliwie pokręciła głową.

Patrzył, jak chodzi po pokoju, zbierając bieliznę. Kiedy weszła do łazienki i puściła prysznic, też wstał, żeby napić się szampana. Gdy kilka minut później wyszła, już ubrana, siedział w szortach na łóżku. Z pytającą miną podniósł kieliszek. Popatrzyła na niego obojętnie i ruszyła do wyjścia.

Powiedział:

- Nie...

- Znasz zasady.

Westchnął i opadł na poduszki.

- Jutro? -Nie.

- To kiedy?

- W środę. Może.

- Tutaj?

- Dam znać.

Otworzyła drzwi. Ogarnęła spojrzeniem pokój, jakby chciała coś dodać. Potem wyszła na korytarz, przepuściła pokojówkę ze Sri Lanki z ciężkim wózkiem i zniknęła mu z oczu.

Pożądliwym wzrokiem patrzył na jej kształtne biodra z nadzieją, że może się jednak odwróci. Ale drzwi się zamknęły i odeszła.

Środa, 16:00. Muzeum Brytyjskie. Czekoladowe botki z klamerkami na ośmioipółcentymetrowym obcasie.

Kiedy przyszła, w galerii było pełno dzieci, które biegały tam i z powrotem, zasypując pytaniami dwie zmęczone

nauczycielki. Zmarszczyła czoło, zerknęła na zegarek i z ulgą spostrzegła, że ma jeszcze dziesięć minut czasu. Kiedy nauczycielki zapędziły dzieci do innej części muzeum, mogła spokojnie pooglądać eksponaty. Przystanęła przed *Centauromachią*, gdzie spleceni w uścisku ludzie i na wpół ludzie zmagali się ze sobą w odwiecznej walce. Nachyliła się, żeby obejrzeć kamienną płytę z reliefem przedstawiającym brodatego centaura z kobietą. - „Południowa metopa 29” - przeczytała na głos, wyczuwając jego obecność. - „Centaur, czasem identyfikowany jako Sokrates, wprowadzający kobietę”.

Wziął ją pod rękę.

- Naoglądałaś się? -Tak.

Przeszli przez galerię przy akompaniamencie stukotu jej botków. Otworzyła ciężkie drzwi i zauważył, że paznokcie ma pomalowane na błyszczący brąz pasujący kolorem do butów. Zaczekał, aż odbierze płaszcz z szatni i włoży go, omijając grupę francuskich turystów. Zeszli razem po schodach i przeciąwszy dziedziniec, doszli do bramy.

- Taksówka?

- Nie trzeba.

Skręcili w lewo i musiał przyspieszyć, żeby dotrzymać jej kroku. Niedługo potem zatrzymała się przed nierzucającym się w oczy domem z czarnymi balustradami i balkonami z kutego żelaza. Wyjęła pęk kluczy, wybrała jeden i włożyła do dziurki. Za drzwiami był wyłożony terakotą korytarz i szerokie schody prowadzące na ciemne półpię-

tro. Zawahała się, rozejrzała i ruszyła do pierwszych drzwi po prawej stronie. Otworzyła je ostrożnie i z ulgą westchnęła. Za drzwiami był pokój, cieplejszy niż korytarz, salonik ze złocistymi jedwabnymi zasłonami i kominkiem z włoskiego marmuru, w którym płonął ogień. Lampy rzucały dyskretne światło na sofę, krzesła i półki pełne starych książek. On wciąż stał w progu. Ona zdjęła płaszcz. - Drzwi.

Zamknął drzwi, zdjął palto i powiesił je na oparciu fotela. Ona podeszła do kominka, żeby się trochę ogrzać, potem pochyliła się i chwyciła skraj sukienki. Zdjęła ją ostrożnie przez głowę i rzuciła na podłogę, uwolniwszy kaskadę brązowych włosów. Pod spodem była zupełnie naga, bez bielizny, i stanęła przed nim lekko pochylona do przodu, jak to na wysokich obcasach. Podeszedł do niej z niecierpliwie spiętą twarzą i sięgnął do jej piersi. Gdy wypełniła całą dłoń, drugą rękę włożył między jej nogi. Uda rozchyliły się lekko, gdy rozepchnął palcami wargi sromowe, które zwilgotniały pod jego dotykiem. Zaczęła ścisnąć go w środku niewidocznymi mięśniami, ścisnąć i puszczać, jednocześnie pieszcząc przez spodnie jego penis. Rozpięła rozporek, musnęła palcami jądra i cofnęła się kilka kroków.

Odwróciła się tyłem i różowozłociste światło najbliższej lampy zmieniło jej plecy w cienisty krajobraz. On obserwował ją przez chwilę, wyjmując ze spodni członek, i zobaczył, że oparła ręce na biodrach. Miała bardzo wąską talię i już miał objąć ją dłońmi, gdy nagle pochyliła się do przodu i obiema rękami chwyciła za uda. Jej nogi utworzyły odwróconą literę „Y”, literę prawie doskonałą, z wierzchołkiem wskazującym pochwę. Wtedy chwiejnie podeszedł bliżej, przytrzymał ją za biodra i wbił się między jej obfite pośladki. Omal nie upadła po serii długich, silnych pchnięć.

Po każdym głośno sapała, napierając na niego ze wszystkich sił. Pewny, że utrzyma ciężar jej ciała, opuścił ręce i chwycił ją za rozkołysane piersi. Gdy gwałtownie przyspieszył, przytrzymała się kominka i jęknęła, czując, jak wypełnia ją sperma. Na kilka sekund zastygli bez ruchu, potem odsunęła się i musiał z niej wyjść. Próbował ją objąć, ale ona już się wycierała, już sięgała po sukienkę. Podniosła ręce, włożyła ją i potrząsnawszy głową, żeby uwolnić włosy, wygładziła materiał na biodrach. Podeszła do oprawionego w złoconą ramę lustro, poprawiła fryzurę i pociągnęła szminką usta. Zanim odwróciła się do niego z twarzą, na której nie było już smug rozmazanego makijażu, zdążył ubrać się i odejść od kominka.

- Gorąco tu. - Wytarł czoło. - Czyj to dom? Ruszyła do wyjścia.

-Zaczekaj. Jutro? Pokręciła głową.

- W piątek?

- Może.

Otworzyła drzwi i ze zmarszczonymi brwiami spojrzała w stronę schodów, jakby usłyszała coś na półpiętrze. Słuchała przez chwilę, ale hałas już się nie powtórzył. Odprężyła się i wyszła na zimny korytarz.

Sobota, 19.50. Rue des Francs Bourgeois, Le Marais, Paryż. Długie, czarne rękawiczki z koźlęcej skóry z guziczkami z gagatów.

Restauracja zaczynała się zapełniać. Przez podwórze szły spiesznie pary i grupki gości, chcących jak najszybciej uciec z zimna i znaleźć się za podwójnymi, malowanymi drzwiami. W środku było ciepło i przytulnie, mimo strzelistego sufitu i balkonu dla orkiestry po drugiej stronie sali. Była w czarnej sukience i miała rude włosy, upięte z tyłu dwoma szylkretowymi grzebykami, których od czasu do czasu dotykała ręką w rękawiczce. Rękawiczki były idealnie gładkie, z rzędem malutkich guziczków na nadgarstkach i opinały palce jak druga skóra. Złożył zamówienie, gdy tylko przyszli i teraz leniwie sączyła saint-veran, a on burgunda. Przy stoliku obok usiadło małżeństwo w średnim wieku, powiedzieli im dyskretnie: *Bonsoir* i zaczęli rozmawiać, często pomagając sobie rękami.

Nadszedł kelner z dwoma wielkimi, białymi talerzami i lekko się zawahał, zanim postawił przed nią ten z carpac-cio. Niespiesznie rozpięła guziczki rękawiczek, wysunęła palce i podwinęła czarną skórę na nadgarstki. Wtedy zauważył, że jej paznokcie połyskują czerwono, tak jak włosy. Nabiła na widelec zwinięty plasterek mięsa i wraz z listkiem rukoli włożyła go do ust. Miała małe, ostre zęby i przez kilka sekund dyskretnie żuła, delektując się smakiem surowej wołowiny.

- Rzymianie... - Przełknął ślinę. - Rzymianie uważali, że to afrodyzjak.

Podniosła wzrok.

- Rukola. - Wskazał jej talerz.

Nie odpowiedziała, choć pozwoliła sobie na leciutki uśmiech. On zaczął jeść rybę. Jadł za szybko, mimo to skończyła pierwsza i odsunęła talerz.

Spojrzał na jej pusty kieliszek.

- Wina?

- Nie, dziękuję.

W milczeniu wypła trochę wody, podczas gdy on oddzielał białe mięso od ości. W końcu odłożył sztucce i przywołał kelnera.

- *Deux cafes, s'il vous plait.*

Zgięła ręce i rozłożywszy palce, na powrót włożyła rękawiczki. Potem pozwoliła mu zapiąć guziki. Chciał coś powiedzieć, ale pokręciła głową i znacząco zerknęła w stronę balkonu dla orkiestry. Odczekała chwilę, by mieć pewność, że zrozumiał.

- Za minutę.

Wstała i przeszła przez salę, przyciągając pełne podziwu spojrzenia mężczyzn. Strzałka nad tabliczką z napisem *Toilettes* wskazywała do góry, więc weszła na schody i szybko zniknęła mu z oczu. Zerknął na zegarek, cicho zabębnił palcami w stół i zerknął raz jeszcze. W pobliżu był kelner.

- *Je vais retourner dans un instant.*

Wszedł na górę i przystanął na szczycie schodów. Druga strzałka wskazywała w prawo, gdzie był krótki korytarz z drzwiami po obu stronach, ale wtedy kątem oka dostrzegł jakiś ruch po lewej stronie. Z palcem na ustach przywołała go bliżej, więc spojrzął nerwowo na balustradę oddzielającą balkon od sali. Gestem ręki kazała mu się pospieszyć, więc obszedł ostrożnie stertę połączonych krzeseł z futerałem do gitary niebezpiecznie balansującym na szczycie. Wciągnęła go w mrok i rozpięła mu rozporek.

- Mmm... - wymruczała, biorąc do ręki członek i sunąc po nim czubkiem palca.

Zesztywniał pod dotykiem kożłcej skóry, szorstkiej w porównaniu z jego wrażliwą w tym miejscu skórą. Jęknął zahipnotyzowany widokiem penisa w odzianych w czarne rękawiczki dłoniach i znowu zerknął w stronę balustrady pewny, że ktoś to usłyszał.

Rozbawiona jego obawami pokręciła głową i jej ruchy stały się szybsze. Nagle uklękła, jedną ręką ujęła jego jądra, a drugą włożyła do ust połowę członka. Zamarł i robiąc wszystko, żeby nie krzyknąć, spojrzął na jej głowę podskakującą rytmicznie nad czarnymi rękawiczkami. Przez kilka sekund drażniła mu językiem jądra i wyczuwając, że dłużej nie wytrzyma, wzięła go do ust całego. Poczul dotyk małych, ostrych zębów, chwycił ją za włosy, żeby nie upaść i wytrysnął. Odczekała chwilę, żeby doszedł do siebie, uwolniła włosy i odsunęła się. Wstała, wytarła usta i poprawiła sukienkę. Rękawiczki się zmarszczyły, więc naciągnęła je silnym szarpnięciem.

Nabrawszy pewności, że wygląda tak jak przedtem,

wykrzywiła usta w półuśmiechu i odeszła. Na szczycie schodów lekko odwróciła głowę, posłała mu ostrzegawcze spojrzenie i głośno powiedziała:

- *Ah oui, monsieur, vous avez raison.*

Przywarł do ściany. Usłyszał, jak wymienia z kimś uprzejmości, więc zaczął się szybko zapinać i w tym momencie zobaczył siwą głowę jakiegoś mężczyzny. Mężczyzna bez wahania skręcił w prawo, tam, gdzie wskazywała strzałka, i zniknął w męskiej toalecie. On odczekał jeszcze kilka sekund, żeby wrócił mu normalny oddech, po czym zszedł na dół. Ona piła już kawę, ja z etui z czerwonej skóry na środku stolika wystawał rai chunek. Sięgnął po niego, siadając, ale odepchnęła jego rękę. Przyjrzał się uważniej i zobaczył pod rachunkiem plik euro.

Wyczerpany odchylił się do tyłu.

- Kawa jest dobra - powiedziała. Spojrzał na nią zaskoczony. Podniósł filiżankę i jednym łykiem wypił całą, chociaż wolał gorętszą. Filiżanka zagrzecotała na spodku.

- Cholera - mruknął. Pytająco uniosła brwi. Zaczerwienił się.

- Przepraszam, muszę siusiu. Przewróciła oczami.

Wstał, przeszedł przez salę i u stóp schodów przystanął, żeby przepuścić starszą panią.

Tymczasem ona przywołała kelnera.

- *Mon manteau, et un bout de papier.*

- *Bien sur, madame.*

Kelner zabrał pieniądze i po chwili wrócił z bloczkiem firmowego papieru. Kiedy pomógł jej włożyć płaszcz, nachyliła się i napisała kilka słów. Podała mu złożoną kartkę.

- Zechce pan dać to mojemu mężowi.

- Oczywiście.

Ściągnęła poły płaszcza, zawiązała pasek i ruszyła do wyjścia. Inny kelner podbiegł, by otworzyć jej drzwi i do sali wpadł podmuch zimnego powietrza. Włożyła ręce do kieszeni i przez kilka sekund patrzyła w czyste nocne niebo. Potem wyszła, nie oglądając się za siebie.

Podziękowania

Z samego dna szuflady z damską bielizną dziękujemy:

Agencji literackiej CURTIS BROWN Muffy Kendall (Pippa Masson) Buffy the Rock (Fiona Inglis) Bilbo Waldemarowi (**Jonathan** Lloyd)

Wydawnictwu LITTLE, BROWN Bunny Hutchinson (Joe Dickinson) Sue-Sue Dorchester (Louise Davies) Honey-Biscuit Lincoln (Kerry Chappie) Fudge Rectory (Helen Gibbs) Judy Pearson (Alison Lindsay) Dante Reach (Alex Richardson) Goldie Well Lane (Emma Grey) Marilyn Lascelles (Caroline Hogg) Domino Chestnut (Emma Stonex)

Wydawnictwu PENGUIN AUSTRALIA Kim Roslyn (Ingrid Ohlsson) Harry Shepherd's Hill (Julie Gibbs) Patricii Bruncker (Allison Colpoys) Amos Rowallen (Belinda Byrne) Agencji literackiej WILLIAMA MORRISA Sooty Bowlhead (Eugenie Furniss) Guinea Manor (Alice Ellerby) Shadow Pendene (Rowan Lawton)

Autorzy

Jessica Adams prowadzi rubrykę horoskopów w zagranicznych wydaniach „Vogue” i „Cosmopolitan” i napisała sześć powieści. Jest redaktorką bestsellerowej serii wydawniczej „Girls' Night In”.

Maggie Alderson urodziła się w Londynie, wychowała w Staffordshire i ukończyła uniwersytet St Andrews. Jest autorką czterech bestsellerowych powieści: *Pants on Fire*, *Mad About the Boy*, *Handbags and Gladrags* i *Censt and Sensibility*, które przetłumaczono na wiele języków. Była również współredaktorką dwóch antologii, wydanych w celu wspomnienia organizacji charytatywnej War Child. Zanim została zawodową powieściopisarką, była redaktorką „Elle” i „ES”; pracowała również w „Evening Standard” i „Sydney Morning Herald”. Jest mężatką, ma córkę i mieszka w Hastings.

Emma Darwin studiowała aktorstwo i zanim została pisarką, pracowała w branży wydawniczej. Swoją pierwszą powieść *Matematyka miłości* wydała w 2006 roku. Louise Doughty jest autorką pięciu powieści, pięciu słuchowisk radiowych i jednej pozycji niebeletrystycznej. Mieszka w Londynie.

Stella Duffy napisała dziesięć powieści, ponad trzydzieści krótkich opowiadań, siedem sztuk teatralnych, wiele artykułów i recenzji. Jej najnowszą powieść *The Room of Lost Things* wydaje Virago. W 2002 roku zdobyła nagrodę CWA Short Story Dagger za opowiadanie *Martha Grace* z antologii Tart Noir, którą redagowała wraz z Lauren Henderson. Obecnie, na zamówienie Fiesta Productions i Zentropa, pisze scenariusz na podstawie swojej powieści *State of Happiness*. W międzynarodowej ankiecie The Big Gay Read jej *Calendar Girl* zajęła piąte miejsce. Jako aktorka występuje w Keith Johnson's Lifegame, sztuce wystawianej przez komediowy zespół teatralny Spontaneous Combustion; grała również w wielu słuchowiskach radiowych i sitcomach BBC Radio 4.

Imogen Edwards-Jones napisała dwanaście książek, w tym cykl Babylon (na jego podstawie nakręcono popularny serial telewizyjny *Hotel Babylon*), który stał się światowym bestsellerem. Jest mężatką, wydaje mnóstwo pieniędzy na utrzymanie córki i mieszka w Londynie.

Esther Freud była aktorką, zanim w 1992 roku napisała swoją pierwszą powieść *Hideous Kinky*. Od tamtej pory wydała pięć kolejnych, w tym najnowszą *W pułapce miłości*. Mieszka w Londynie z mężem i trojgiem dzieci.

Joanne Harris mieszka w West Yorkshire. Żeby zostać zawodową pisarką, porzuciła zawód nauczycielki. Napisała dziesięć powieści, w tym *Czekoladę*; wydała również zbiór krótkich opowiadań i dwie książki kucharskie.

Rachel Johnson pisze dla „Sunday Timesa”, „Spectatora” i „Easy Living”. Jest autorką powieści *Notting Heli*; jej najnowsza książka została wydana w USA i Wielkiej Brytanii w 2008 roku.

Kathy Lette rzuciła szkołę w wieku szesnastu lat (mówi, że jedynym testem, jaki kiedykolwiek zaliczyła, jest cytologia), mimo to napisała dziesięć bestsellerowych powieści, które przelożono na siedemnaście języków i wydano w ponad stu krajach.

Chris Manby jest autorką dwunastu bestsellerowych komedii romantycznych, w tym *Szukam męża, szukam żony* i *Sekretne życie Lizzie Jordan*.

Santa Montefiore napisała dziewięć powieści, w tym *Cygańską Madonnę* i *Ostatnią podróż „Valentiny”*, które przetłumaczono na ponad dwadzieścia pięć języków i sprzedano na całym świecie. Jej najnowszą książkę, *Francuski ogrodnik*, wydał Hodder & Stoughton. Santa mieszka w Londynie z mężem, historykiem i powieściopisarzem Simonem Sebag-Montefiore, i dwojgiem dzieci.

Jane Moore jest felietonistką, autorką pięciu bestsellerowych powieści, kilku programów dokumentalnych i mamą dwojga dzieci.

Odkąd w 2000 roku „Evening Standard” zaliczył Adele Parks do grona „Dwudziestu londyńczyków wartych uwagi”, Adele napisała siedem bestsellerowych powieści, w tym *Skok w bok* (nagroda za debiutancki bestseller tysiąclecia), *Opowieści młodych mężatek* I *Na jej miejscu*. Sprzedała ponad milion książek w Wielkiej Brytanii I za granicą. Na podstawie jej dwóch powieści nakręcono film. Adele publikuje artykuły i krótkie opowiadania w wielu czasopismach I gazetach. Wykłada na Uniwersytecie Surrey. Mieszka w Guilford w Surrey z mężem i synem. Uważa, że są oni najbardziej czarującymi istotami na świecie. Jest Wodnikiem i chciała zostać pisarką już jako dziecko.

Justine Picardie jest autorką kilkunastu książek, w tym // *the Spirit Moves You*. Jej najnowszą powieść. *Daphne*, wydaje Blooms-bury.

Bella Pollen, pisarka i dziennikarka, publikuje w wielu gazetach i czasopismach, między innymi w „The Sunday Times”, „Sunday Telegraph”, „American Vogue” i „Spectatorze”. Jest autorką czterech powieści: *All About Men*, *B Movies*, *Blue.Love*, *Hunting Unicorns* i *Midnight Cactus*. Mieszka w Londynie i Kolorado.

Ali Smith urodziła się w Inverness w 1962, mieszka w Cambridge. Jest autorką *Free Love, Like, Hotel World, Other Stories and Other Stories, The Accidental, Girl Meets Boy*. Opowiadania *The First Person and Other Stories* opublikowano w 2008 r.

Joan Smith jest powieściopisarką, felietonistką i obrończynią praw człowieka. Jej najnowszą powieść, *What Will Survive*, wyda Arcadia.

Najnowsza książka Daisy Waugh, *Bordeaux Housewives*, wydana przez Harper Collins, jest dziełem prawdziwego geniuszu, ostro przyprawionym seksem.

Fay Weldon jest jedną z najbardziej wpływowych, poczytnych i wszechstronnych angielskich pisarek. Mając w dorobku ponad dwadzieścia powieści, przetłumaczonych na wiele języków, pisze również sztuki teatralne oraz scenariusze telewizyjne i radiowe. Jej *Diablica* przeszła do historii, jej najnowsza pozycja

niebeletrystyczna, *What Makes Women Happy*, wzbudziła olbrzymie zainteresowanie. Ma reputację, choć kontrowersyjną, najbardziej znaczącej postaci brytyjskiej rewolucji feministycznej. Często występuje w telewizji i w radiu.

Spis treści

Dwadzieścia siedem materaców, czyli bajka na nowo odkryta.....	5
Anioł Gabriel.....	19
Nornik.....	39
Na farmie.....	61
Życie na wsi.....	81
Paw.....	99
Usłużny ogrodnik.....	119
Przecież tu jestem.....	133
Po pogrzebie.....	147
Frajda.....	167
Zamknij oczy i myśl o Anglii.....	185
Wstyd x dwa.....	197
Pamiętasz Paryż?.....	215
Łamiąc zasady.....	231
Ten, któremu się udało.....	247
Obudzić wspomnienia.....	263
Próba.....	281

Pas de deux.....	297
Roma.....	319
Przepisowy strój.....	331
Podziękowania.....	345
Autorzy.....	347